

Gill Judy

Niewinne kłamstwa

Douglas Fountain, który wcale nie myśli o ożenku, potrzebuje narzeczonej, ale tylko na miesiąc. To wystarczy, by jego dziadek pozostawił rodzinną firmę w rękach "odpowiedzialnego przedstawiciela rodu". Bez większego trudu znajduje kobietę gotową wziąć udział w intrydze. Marilyn Ross przyjmuje propozycję Douga Fountaina. Hojnie wspomógł fundację dobroczynną, poza tym uznała, że pokazywanie się przez miesiąc w towarzystwie przystojnego playboya będzie świetną zabawą.

Ale jeden tylko pocałunek sprawia, że w sercach obojga budzi się uczucie. Teraz wspólnie muszą zdecydować, czy dojrzeli do tego, by ich niewinne kłamstwa stały się początkiem prawdziwej miłości...

Telefon odebrała Marilyn, ponieważ jej sekretarka akurat rozmawiała przez drugi aparat.

- Perfect Partners, mówi Marilyn Ross.

- Dzwonię z JetCorp, moje nazwisko Parsons. -Rozmówczyni tonem głosu wyraźnie dawała do zrozumienia, że Marilyn powinna docenić, jak wielki zaszczyt oznacza dla jej firmy ten telefon. - Pan Douglas Fountain junior chce rozmawiać z panem Edwinem Watsonem. Proszę się nie rozłączać.

- Pan Wat... - Marilyn zazgrzytała zębami, kiedy usłyszała w słuchawce piskliwy sygnał. Dyrektorzy, polecający swoim podwładnym, by najpierw wybierali numer telefonu rozmówcy, a dopiero potem ich łączyli, wywoływali u niej szczególną irytację. Z miejsca poczuła antypatię do Douglasa Fountaina juniora, który najwyraźniej uważał, że jego czas jest cenniejszy od czasu innych ludzi. Ale ponieważ zajmowała się pośrednictwem pracy, nauczyła się z tym żyć. Co nie znaczy, że jej się to podobało.

W słuchawce znów rozległo się piknięcie, a potem przez kilka sekund panowała cisza. Po chwili, po serii pisków, Marilyn usłyszała jedną z najbardziej fascynujących rozmów w swojej dotychczasowej karierze zawodowej.

- Doug, jestem absolutnie pewna, że Perfect Partners to nie firma, o jaką ci chodzi - powiedziała panna Parsons jeszcze bardziej zarożumiałym tonem, niż kiedy zwracała się do Marilyn.

- Nie? A twoim zdaniem co to za firma, Emmo? - rozległ się męski głos, lekko chrapliwy, ale przyjemny dla ucha. Marilyn się domyśliła, że powiedział to pan Douglas Fountain junior. Słyszając jego lekko rozbawiony ton, natychmiast wyobraziła sobie uniesioną brew, półuśmiech. Klasyczny przykład dobrze się zapowiadającego, młodego dyrektora, pomyślała. Po chwili ciszy w słuchawce rozległo się pogardliwe prychnięcie panny Parsons.

- Myślisz, że to... biuro matrymonialne, prawda? - spytała z nieukrywanym oburzeniem.

- Właściwie nie. - Powiedział to tak poważnie, że Marilyn podejrzliwie zmrużyła oczy. Jego następne słowa wywołały uśmiech na jej twarzy. - O ile się orientuję, to jedna z tych firm, które eufemistycznie określa się jako „agencje towarzyskie” - oświadczył w taki sposób, że Marilyn od razu się zorientowała, że wcale tak nie uważał. Łobuz! Podpuszczał swoją sekretarkę. Kolejne pełne irytacji prychnięcie sekretarki upewniło Marilyn, że panna Parsons jest świętoszką, a młodemu panu dyrektorowi sprawia ogromną przyjemność pokpiwanie sobie z niej.

Naprawdę powinna im jakoś dać do zrozumienia, że słyszy ich rozmowę. Ale zanim zdążyła cokolwiek zrobić, w słuchawce znów rozległ się głos mężczyzny.

- Moim zdaniem właśnie w firmie o takiej nazwie znajdę to, czego szukam: kobietę marzącą o lukratywnej posadzie na półstałe, a może nawet na stałe. Ostatecznie, czy w tym filmie nie skończyło się na tym, że ten, jak mu tam, poznał panienkę lekkich obyczajów?

- Nie wiem. - Emma nie prychnęła, ale mało brakowało. - Nie oglądam filmów, których bohaterkami są... panienki lekkich obyczajów. - Wyraźnie słowa te z trudem przeszły jej przez gardło.

Marilyn omal nie wybuchnęła głośnym śmiechem,

tym samym zdradzając sekretarce i Douglasowi Fountainowi juniorowi, że jest świadkiem ich rozmowy, kiedy mężczyzna powiedział:

- Ponieważ kobieta, której szukam, jest przyzwyczajona do oferowania tego, czym dysponuje, wielu osobnikom, nie powinna mieć oporów przed zaoferowaniem towaru jednemu mężczyźnie na zasadzie wyłączności na czas nieokreślony.

Wielkie nieba! Może mówił całkiem poważnie! Marilyn szeroko otworzyła oczy i usta i nastawiła uszu. Nie byłaby teraz zdolna do odłożenia słuchawki, nawet gdyby ktoś zagroził jej miotaczem ognia.

- Zamierzam zaproponować odpowiedniej kobiecie bardzo atrakcyjne warunki - ciągnął Douglas Fountain.

„Naprawdę? - miała ochotę zapytać Marilyn. - Jakie to warunki, a przede wszystkim jaka ma być owa »odpowiednia« kobieta?"

To drugie pytanie zadała za nią Emma.

- Na ile atrakcyjna ma być ta kobieta? Czy bierzesz pod uwagę jej przeszłość?

Mężczyzna się roześmiał.

- Nie mam najmniejszych zamiarów angażować się uczuciowo ani obcować z nią fizycznie, więc nie obchodzi mnie jej przeszłość. Moje wymagania są jasne. Musi być ładna, zdrowa, obyta towarzysko i gotowa urodzić mi syna, może dwóch.

- Jak to sobie wyobrażasz bez... obcowania fizycznego?

No właśnie! Dzięki, panno Emmo Parsons. Marilyn właśnie sama się nad tym zastanawiała.

- Słyszałaś o sztucznym zapłodnieniu? - spytał mężczyzna jedwabistym głosem. - Z radością zatrudnię nianię do wychowywania dzieci. To sprawi, że ciąża będzie oznaczała tylko chwilową niedogodność, za którą

zostanie bardziej niż godziwie wynagrodzona, zanim się jej pozbędę. I tyle.

- To obrzydliwe! - Emma wyjęła te słowa Marilyn z ust. - Nie mówisz tego poważnie.

- Nie mówię tego poważnie? Czy kiedykolwiek traktowałem interesy niepoważnie? Czy wynajęcie kogoś nie stanowiłoby rozwiązania problemu, który, jak spodziewa się mój dziadek, szybko rozwiążę?

- Sam sobie jesteś winny. - Ton głosu Emmy stał się bardziej poufały. - Nie powinieneś był rozstawać się z Caroline.

Odpowiedź mężczyzny zagłuszył odgłos otwieranych drzwi i słowa sekretarki:

- Rozmawia przez telefon, proszę pa...

- To lepiej niech się rozłączy. Mamy do omówienia ważną sprawę, o czym Doug dobrze wie - przerwał jej zniecierpliwiony, szorstki głos starszego mężczyzny.

Rozległo się trzaśnięcie drzwiami, a po chwili:

- No i cóż, mój chłopcze? Dziś w południe minęły trzy miesiące. Co masz mi do zakomunikowania?

- Przepraszam - powiedział Douglas Fountain. - Proszę, usiądź, dziadku. Za chwilę porozmawiamy.

Właśnie mam ważny telefon. Emmo, proszę, połącz mnie.

W słuchawce znów rozległo się parę piskliwych sygnałów, a potem słowa:

- Najdroższa! Tęskniłem za tobą i czekałem na twój telefon.

Marilyn, kompletnie ogłuszona, przez chwilę gapiała się na aparat, nim odpowiedziała:

- Mówi Marilyn Ross z Perfect Partners i chyba albo źle się pan połączył, albo ma pan absolutnie błędne informacje o tym, czym się zajmuje nasza firma. - Już się miała rozłączyć, kiedy rozmówca rzucił pośpiesznie:

- Marilyn, moja droga, mam nadzieję, że udało ci się

zmienić rozkład dnia i będziesz mogła zjeść ze mną obiad. Mój dziadek bardzo chciałby cię poznać. Czy Edwin też do nas dołączy?

Oszołomiona, zupełnie nie wiedziała, co odpowiedzieć. Najwyraźniej to nie kwestia wybrania złego numeru, o czym wiedziała od samego początku, a jedynie błędne wyobrażenie o firmie. Chociaż jeśli znał Edwina, jej wujka i byłego właściciela Perfect Partners, musiał wiedzieć, jakie usługi świadczą, a jakich nie.

Po chwili ciszy w słuchawce znów rozległ się jego głos.

- Nie tylko chcę się z tobą zobaczyć... - rzekł ciszej, przybierając bardziej poufały ton, jakim rozmawiają kochankowie - ...a raczej muszę się z tobą zobaczyć. Potrzebna mi również rada Edwina. Mam do zaproponowania wyjątkowo lukratywną posadę i wiem, że potrafi znaleźć odpowiednią osobę. Czy możesz mnie z nim połączyć albo poprosić go, by zjadł razem z nami obiad?

Marilyn starała się nie wybuchnąć śmiechem. Gdyby zaczęła się śmiać, trudno byłoby się jej pohamować, a jej śmiech brzmiałby nieco histerycznie. Najwyraźniej wujek Edwin miał rację: potrzebny jej urlop. Wielka szkoda, że ten oryginał nie zaczekał ze swoim telefonem do przyszłego poniedziałku. Wtedy miały do czynienia z wujkiem Edwinem, a ona rozkoszowałaby się zasłużonym odpoczynkiem, wylegując się we własnym ogrodzie, zajęta ocenianiem, które rośliny są chwastami, a które nie. To była jej pierwsza wiosna na wybrzeżu północno-zachodnim, nie poznała jeszcze wszystkich tajników tutejszej flory. Wiedziała jedynie, że wszystko rośnie tu w zdumiewającym tempie, a różnorodność gatunków przyprawia o zawrót głowy.

- Proszę posłuchać, kimkolwiek pan jest - powiedziała, choć doskonale znała przynajmniej imię i na-

zwisko swego rozmówcy, ale nie mogła się do tego przyznać, bo wtedy zorientowałyby się, że podsłuchiwała. - Nie wiem, jaką grę pan prowadzi, ale najwyraźniej nie wie pan, że mój wuj Edwin prawie rok temu odszedł na emeryturę i teraz ja prowadzę firmę. Jeśli ma pan lukratywną posadę i chciałby pan kogoś zatrudnić, może mógłby mi pan o tym powiedzieć coś bliższego? Zobaczę, czy mogę coś zrobić. Zawsze chętnie służę pomocą wszystkim stałym klientom naszej firmy.

Urwała na moment, a potem diabeł ją podkusił, żeby zapytać:

- A więc jak się pan nazywa?

Doug przez chwilę czuł kompletną pustkę w głowie. Jak w obecności dziadka miał przedstawić się swojej rzekomej ukochanej?

W słuchawce rozległ się śmiech, a potem łagodne, kpiące pytanie, które wywołało mimowolny uśmiech na jego ustach.

- Chyba wie pan, jak się pan nazywa?

Pewnie, że wiedział. Uświadomił sobie również, że ona prawdopodobnie także to wie. Jasne, że tak. Emma z pewnością poinformowała, z kim łączy, więc ta kobieta, Marilyn Ross, niewątpliwie miała teraz przed sobą egzemplarz „Kto jest kim w świecie biznesu” i uważnie czytała zamieszczoną tam informację o nim.

Już się zdążyła dowiedzieć, że był raz żonaty, że się rozwiódł, że ma trzydzieści osiem lat, jest dyrektorem naczelnym i prawdopodobnym dziedzicem JetCorp, rodzinnego konsorcjum o wartości miliardów dolarów. Mimo usilnych starań, odkąd został dyrektorem, nie udawało mu się pozostawać w cieniu. Sęk w tym, że prawie wszyscy znali historię jego rodziny, wiedzieli, jak on wygląda, i aż nadto często tylko z tych dwóch po-

wodów kobiety uważały go za mężczyznę godnego bliższego poznania.

Naturalnie nie miał nic przeciwko kobietom ani ich wdzięk, ale już dawno temu stwierdził, że będzie nie lada sztuką znaleźć taką, która się zainteresuje nim jako takim, a nie z uwagi na nazwisko, które nosi, czy posiadany majątek.

Czuł, że Marilyn Ross się z nim przekomarza, ale go nie kokietuje. To go ucieszyło. Żałował, że nie wie, jak ona wygląda. Jej głos, sposób zachowania, ciepły śmiech sprawiły, że stworzył sobie w wyobraźni wyrazisty, choć być może daleki od rzeczywistości portret tej kobiety.

- Marilyn, moja droga - zaczął i zorientował się, że jego głos obniżył się o oktawę. - Jeśli wuj Edwin nie potrafi znaleźć osoby, jakiej szukam, to nie nazywam się Douglas Ellery Fountain junior.

Znów się roześmiała.

- Świetna robota, panie Fountain. Zgrabnie pan wybrnął. Proszę mi wytłumaczyć, co by pan zrobił, gdyby to mój wujek odebrał telefon, kiedy zaczął pan rozmowę od: „Najdroższa”? A raczej co, pana zdaniem, zrobiłby mój wujek?

Nie mógł na to odpowiedzieć w obecności dziadka, więc udał, że nie usłyszał pytania, choć wiedział, że daje owej Marilyn kolejną okazję do drwin ze swej osoby.

- Poproś Edwina, by zjadł razem z nami obiad w Fountainhead. I żeby cię zwolnił do końca dnia.

Chyba nie zapomniałaś, że mamy razem szukać wyjątkowego brylantu?

Jej śmiech sprawił mu prawdziwą przyjemność. Dzięki Bogu, że ta kobieta odznacza się poczuciem humoru. Zaczynał nawet mieć cichą nadzieję, że pomoże mu wybrnąć z tarapatów, w jakie popadł, jeśli odpowiednio wszystko rozegra.

- Szczerze mówiąc, wolę szmaragdy, kochanie -oświadczyła.

Zachichotał.

- W takim razie będzie to szmaragd, moja droga. Ale może otoczony brylantami? Od naszego pierwszego spotkania uważam, że blask brylantów uwydatni blask twych oczu.

- Panie Fountain, jeśli to zaproszenie na obiad, to jest ono bardzo oryginalne. Coś panu powiem: zadzwonię do swojego wujka i spytam go, czy pana zna i czy uważa za człowieka przy zdrowych zmysłach. Jeśli tak, pójdę z panem i pańskim dziadkiem na obiad, ponieważ ostatecznie interes to interes i nie chciałabym stracić klienta. Ale wątpię, czy wujek Ed do nas dołączy. Przeszedł na emeryturę i większość czasu spędza w swoim letnim domku w słonecznej Kalifornii.

- Ach, tak, w tym swoim cudownym letnim domu! Miałem zamiar go spytać, czy pozwoli się nam tam skryć podczas miesiąca miodowego. Jak myślisz?

-> Może nie będę mu zawracała głowy telefonem. -Marilyn się roześmiała. - To jasne, że brak panu piątej klepki. Brylanty i szmaragdy to jedno, ale ślub i miesiąc miodowy? To zaczyna wyglądać zbyt poważnie, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że nigdy dotąd się nie spotkaliśmy, nieprawdaż?

- Niczego mi nie brak, kochanie. Moje metr dziewięćdziesiąt jeden wzrostu i dziewięćdziesiąt pięć kilo żywej wagi należy w całości i wyłącznie do ciebie.

- A pański dziadek przysłuchuje się tej zwariowanej rozmowie i z jakiejś przyczyny chce pan, żeby myślał, iż jestem pańską narzeczoną, więc moja odmowa zjedzenia z panem obiadu spowoduje szereg komplikacji, prawda?

- Marilyn, zawsze twierdziłem, że zaintrygowałaś mnie przede wszystkim swoją inteligencją.

- Jak to? Nie metrem pięćdziesiąt wzrostu i niebieskimi oczami? Ani stu czterdziestoma kilogramami bujnych, kobiecych wdzięków?

Stu czterdziestoma kilogramami? Doug głośno przełknął ślinę.

- Świetnie - ciągnęła. - A więc w Fountainhead. O której? Mam nadzieję, że na deser podają mus czekoladowy.

- O wpół do drugiej - powiedział. Czy jego głos rzeczywiście zabrzmiał tak głucho, jak mu się to wydawało?

- A więc do zobaczenia, kochanie.

Josie, sekretarka Marilyn, zajrzała przez otwarte drzwi do gabinetu Marilyn.

- O co tu chodzi z tymi blond włosami, niebieskimi oczami i stu czterdziestoma kilogramami wagi?

- Rozmawiałam z jakimś dawnym klientem wujka - wyjaśniła Marilyn. - Chce, żebym poszła z nim na obiad. Trochę się z nim bawię.

- Wydawało mi się, że jesteś przeciwniczką łączenia spraw zawodowych z zabawą.

- To prawda, ale nigdy jeszcze nie miałam takiego telefonu. - Zmarszczyła czoło. - Słyszałaś kiedykolwiek o niejakim Douglasie Fountainie?

Josie aż rozdziawiła usta ze zdumienia.

- Pewnie, że słyszałam! Każdy o nim słyszał. - Gwałtownie potrząsnęła głową. - Chodzi o juniora czy seniora? Jasne, że o juniora. Przecież słyszałam, jak zwracałaś się do niego „najdroższy”. To mi bardziej wygląda na zabawę niż na sprawę służbową.

- To sprawa czysto służbowa. Chodzi o juniora i on wyskoczył pierwszy z tymi pieśczośliwymi określeniami. - W kilku słowach streściła podsłuchaną rozmowę Douga Fountainy z jego sekretarką.

Josie opadła na fotel, stojący obok biurka Marilyn, i zaniósła się śmiechem.

- Rodzenie dzieci jako chwilowa niedogodność? Muszę to powiedzieć Ronowi, kiedy znów oświadczy, że powinniśmy się wstrzymać kolejny rok, nim nie stanie pewnie na nogach. - Po chwili spoważniała i dodała: -Mówimy o pieniądzach, Marilyn. Znasz go na tyle dobrze, by się do niego zwracać per „najdroższy”?

- Wcale go nie znam, chociaż chce, żebym ja, bądź jakaś inna kobieta, odegrała rolę jego narzeczonej. Nie jestem do końca pewna. W jednej chwili proponuje lukratywną posadę dla osoby, zarejestrowanej w Perfect Partners, a w następnej mówi o tym, że razem ze mną pójdzie po obiedzie na poszukiwanie pierścionka ze szmaragdami i brylantami Domyślam się, że chodzi o pierścionek zaręczynowy. Ale zarazem utrzymuje, że jest stałym klientem firmy. Nie chciałabym go obrazić, póki wszystkiego nie sprawdzę. Czy mogłabyś się tym zająć?

- Nie ma takiej potrzeby. Chociaż działo się to na długo przed tym, niż zaczęłam tu pracować, wiem, że Edwin w ciągu ostatnich piętnastu lat załatwił u nich pracę przynajmniej kilku kobietom. Kiedy Frank Fountain objął po ojcu zarządzanie firmą, szukał wykształconych kobiet na stanowiska kierownicze i zwrócił się z tym do Perfect Partners. Trzy z nich są dziś wiceprezesami, każda co miesiąc otrzymuje okrągłą sumkę, zakończoną sześcioma zerami. To ci powinno coś powiedzieć o samej firmie. Jest solidna i nie dyskryminuje kobiet. Przynajmniej odkąd zaczęło ją kierować młodsze pokolenie Fountainów - najpierw starszy brat, a później Doug. Przypuszczam, że tylko dzięki temu zdobyli sporo zamówień rządowych.

Marilyn rozłożyła ręce, wciąż nie kojarząc, o jaką firmę chodzi.

- JetCorp, dawniej Fountain Enterprises - wyjaśniła Josie. - Vancouver Fountains Hotel cztery przecznice stąd. Fraser Fountains Hotel w pobliżu lotniska, jeden z wielu na świecie. Podobnie jak sieć domów towarowych Fountain Emporium. To tylko dwa przykłady z brzegu. Ich rozległe, rodzinne konsorcjum zajmuje się wszystkim - od awiacji do... do zamków błyskawicznych!

- Och! - Marilyn w końcu załapała. Spędziła weekend w Naples Fountains Hotel, i - o ile dobrze pamiętała - kilka dni w jednym z hoteli tej samej sieci w Tokio. W Bostonie, gdzie mieszkała przed przeniesieniem się tutaj, też był Fountains Hotel. Zaliczały się do hoteli najwyższej klasy, w których często zatrzymywały się koronowane głowy i szefowie państw.

Josie zrobiła figlarną minę i zaproponowała, nie kryjąc nadziei:

- Może będę ci potrzebna do robienia notatek? Firma jest z tradycjami, poważna, w przeciwieństwie do Douga Fountaina, jeśli wierzyć temu, co o nim mówią. Jest czarujący, może wybierać pośród najlepszych panien na wydaniu, nie gardzi również mężatkami. Złamał serce już niejednej kobiecie. Marilyn się roześmiała.

- Bogaty, czarujący, przystojny... i taki facet tak desperacko potrzebuje narzeczonej, że gotów jest zaproponować spotkanie każdej babie, która akurat odbierze telefon? Zdaje się, że to będzie bardzo ciekawe doświadczenie.

Josie wybałuszyła oczy.

- Chyba nie zamierasz poważnie potraktować jego propozycji?

Marilyn potarła brodę ręką.

- Nie wiem. Bogaty facet, szmaragdy, brylanty? Dwie chwilowe niedogodności i niania, wykonująca najgor-

szą robotę? Miesiąc miodowy w letnim domku wujka Eda? Czy ktoś mógłby się temu oprzeć?

- Najwyraźniej nasz pan Fountain o tym nie wie. - Marilyn znów wyszczerzyła zęby w uśmiechu. -

Mimo iż rzekomo byliśmy tam razem i w miłosnym uniesieniu właśnie tam poprosił mnie o rękę.

- A ty rzekomo zgodziłaś się go poślubić.

- Zdaje się, że chce, żeby jego dziadek w to uwierzył.

- Dlaczego?

- Nie mam zielonego pojęcia. Chyba że... - Marilyn zmarszczyła czoło. - Staruszek, jak tylko wszedł, coś wspomniał, że właśnie minęły trzy miesiące, jakie miał Doug. Może dostał tyle czasu na znalezienie narzeczonej?

- Niewykluczone. Wiem, że od pokoleń firma należy do rodziny. Może w sytuacji, gdy został tylko Doug, nie licząc jakiegoś pociotka, najbliżsi wywierają na niego presję, by coś złowił albo przynajmniej zarzucił przynętę.

Marilyn się roześmiała.

- Jeśli twoje przypuszczenia są słuszne, moim zdaniem przestał zarzucać wędkę, bo wydaje mu się, że złapał rybę. Może zgodzę się przez jakiś czas brać udział w tej zabawie. Zawsze zdążę urwać się z haczyka, kiedy spróbuje mnie wyciągnąć z wody.

- Co zamierzasz zrobić? - spytała Josie. Marilyn wzruszyła ramionami.

- Jeszcze nie wiem. Ale mogę cię zapewnić, że arogancki pan Douglas Fountain junior będzie żałował, że zadzwonił do Perfect Partners w poszukiwaniu osoby do towarzystwa. Chyba zdołasz w ciągu pół godziny pójść do biura prasowego i zrobić mi kilka fotokopii jego zdjęć?

Doug siedział na skraju krzesła. Popił ał szkocką z wodą, na którą wcale nie miał ochoty, świadom, że będzie musiał zachować trzeźwy umysł, ale zamówił ją odruchowo jego dziadek. Starszy pan Fountain nie powinien pić alkoholu, lecz osiągnąwszy wiek dziewięćdziesięciu pięciu lat, uważał zakazy lekarzy za lekką przesadę.

Spojrzał ukradkiem na zegarek. Pierwsza trzydzieści osiem. Czy przyjdzie? Co kilka chwil rozglądał się po sali, wypatrując niskiej, bardzo pulchnej blondynki. Na próżno. Miała nad nim poważną przewagę. Jego twarz znał każdy w mieście, a on wiedział o niej jedynie to, że jest od niego ponad trzydzieści centymetrów niższa i waży przynajmniej pięćdziesiąt kilogramów więcej.

Restauracja obróciła się, z ich miejsc nie było już widać Royal Vancouver Yacht Club z lotu ptaka, tylko wysadzoną drzewami główną ulicę Gastown, a Marilyn Ross jeszcze się nie pojawiła.

- ...nie uważasz, chłopcze? Spojrzał na dziadka.

- Oczywiście, dziadku.

Staruszek odchylił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem

- Rzeczywiście musisz być zakochany.

- Dlaczego? O czym mówiłeś?

- Spytałem, czy twoim zdaniem to dobry pomysł, by w każdym pokoju hotelowym zainstalować automat do sprzedaży gumy do żucia. No wiesz, żeby wyciągać od gości drobne.

- Przepraszam. Jestem trochę... roztargniony.

- Powiedz mi coś o tej swojej Marilyn Ross - odezwał się dziadek. - Gdzie ją poznałeś? Od jak dawna się znacie? Jak wygląda? I, na Boga, dlaczego znajomość z nią utrzymywałeś w takiej tajemnicy?

Wiesz, że twoja matka ci nie daruje ogłoszenia waszych zaręczyn podczas jej nieobecności.

Doug skinął głową, pociągnął kolejny łyk ze swojej szklaneczki, a potem jeszcze jeden, większy.

- Tym razem nie chciałem, by ktokolwiek się wtrącał.

Do diabła, tym razem nie chciał nawet, by angażowała się Marilyn Ross. Sam nie chciał się angażować. Rozum mu podpowiadał, że przysięgi, składane przy łożu śmierci, są pułapkami i powinny być zabronione przez prawo albo przynajmniej ignorowane, ale nie potrafił się zdobyć na zlekceważenie obietnicy, uczynionej swemu bratu Frankowi.

Tyle mu zawdzięczał. A sam przyczynił się do jego śmierci.

Dziadek pokiwał głową.

- Może samodzielnie, bez presji z naszej strony, tym razem dokonałeś lepszego wyboru.

Doug pomyślał, że gorzej już nie mógł wybrać. Jego dziadek mówił dalej:

- Przykro mi, że cię musiałem tak poganiać, ale stało się to konieczne z chwilą, kiedy Kerry OToole zaczął się kręcić koło tej kobiety, która u ciebie pracuje.

Doug po raz tysięczny pożałował, że jego dziadek przyszedł do biura cztery miesiące temu i zobaczył Kerry'ego OToole'a siedzącego na skraju biurka Kelly. Wiedział, że ta jedna krótka wizyta doprowadziła do sytuacji, w jakiej się teraz znalazł. Chociaż powiedział Kerry'emu, żeby się nie pokazywał, dał mu do zrozumienia, by wrócił do Europy, Kerry, z powodów znanych tylko sobie, został w mieście i zbyt często wpadał do biura.

Najwidoczniej Emma albo inny członek starej gwardii donosili o tym Franklinowi, bo o ile Doug się orientował, jego dziadek widział Kerry'ego w biurze tylko tamten jeden raz. A jednak uważał, że Kerry „kręcił się” koło Kelly.

- Wiem, do czego zmierza - ciągnął Franklin. - Dałeś tej kobiecie zbyt dużą władzę, mianując ją wiceprezesem, czyniąc udziałowcem firmy. Ona i Kerry O'Toole tworzą razem niebezpieczną parę. Doug uśmiechnął się drwiąco. Gdyby jego dziadek znał całą prawdę o Jennifer Kelly i Kerry'm O'Toole'u, byłby o wiele bardziej zaniepokojony, chociaż całkiem niepotrzebnie. Cholera, żałował, że nie może powiedzieć staruszkowi prawdy!

Świadomość, jak daremne są próby przekonania dziadka, że się myli, nie powstrzymała Douga przed uczynieniem jeszcze jednej próby. Jeśliby mu się udało, cała ta maskarada z narzeczoną byłaby niepotrzebna.

- Gdyby nie wiedza i umiejętności „tej kobiety”, która według ciebie ma zbyt wielką władzę, w ciągu ostatnich ośmiu lat nasza firma wielokrotnie znalazłaby się w tarapatach. Ile razy, na ile sposobów mam ci powtarzać, dziadku, że to dzięki niej po śmierci Franka nadal wszystko dobrze funkcjonuje?

- Nie bądź śmieszny i nie pomniejszaj swojej roli. Może nie masz tak dobrego przygotowania do piastowanego stanowiska jak twój brat, ale całkiem dobrze sobie radzisz. Wiem, że nie masz do tego serca, wiem, że wolałbyś robić coś innego, ale u steru musi stać ktoś, kto nosi nazwisko Fountain.

- A co byś powiedział na kobietę o nazwisku Fountain? Franklin zbył tę uwagę machnięciem ręki.

- Nie ma takiej kobiety. Nie licząc twojej matki, ale ona nie interesuje się firmą, a w statucie jest mowa o mężczyźnie.

- Mylisz się, dziadku. Wspomniane jest tam jedynie, że ma to być Fountain.

- Po moim trupie będzie to kobieta! I po trupie twojego ojca! - zagrział, żyły nabrzmiały mu na skro-

niach, poczerwieniał na twarzy. - Przekazując firmę Kerry'emu OToole'owi, zabijesz swego ojca, mój chłopcze.

- Nie zamierzam niczego przekazywać Kerryemu OToole'owi. Chcę...

- Pewnie, że tego nie zrobisz! Bo ja do tego nie dopuszczę, pokrzyżuję mu szyki, udaremnię jego plany, których nie zauważasz, bo jesteś zbyt naiwny. Z chwilą, kiedy on i jego siostra-bliźniaczka skończą trzydzieści pięć lat, Kerry wróci do nazwiska rodzowego i poślubi tę twoją Jennifer Kelly. Ona ma wiedzę, on - nazwisko, razem mogą nas wyeliminować z gry! Nie pozwolę na to. - Sękata, koścista pięść Franklina Fountaina z głuchym odgłosem wylądowała na stole, aż zabrzęczały srebra, jego twarz z czerwonej stała się purpurowa. -Słyszysz mnie, mój chłopcze? Nie pozwolę im na to!

- Dziadku, uspokój się. Masz, napij się trochę. -Doug wcisnął ciężką, kryształową szklaneczkę w dłoń dziadka i pomógł mu ją unieść do ust. Do diabła, staruszek jeszcze dostanie apopleksji.

Ale to nie słowa Douga uspokoiły Franklina, tylko widok kierownika sali, zmierzającego w stronę ich stolika.

- Skończymy tę rozmowę później - powiedział, usiadł prosto i szybko rozejrzał się dokoła, jakby szukał świadków swojego zdenerwowania, by ich obrzucić gniewnym wzrokiem.

Ale nikt nie patrzył na Franklina, natomiast oczy wielu osób utkwione były w atrakcyjnej kobiecie, podążającej za kierownikiem sali.

Miała lśniące, ciemne włosy, podwinięte pod spód na pazia, ale na tyle długie, że opadały na ramiona marynarki z drukowanego jedwabiu, idealnie dobranej kolorem do purpurowej sukienki. Sukienka, według oce-

ny Douga rozmiar sześć, kończyła się prawie dziesięć centymetrów nad kolanami. Kobieta mierzyła przynajmniej metr siedemdziesiąt i zdziwiłby się, gdyby ważyła więcej niż sześćdziesiąt kilogramów. Zrobił zaciekawioną i rozbawioną minę. Szeroki uśmiech nieznajomej, jej wyciągnięte ręce sprawiły, że szybko zerwał się na nogi, niemal przewracając krzesło.

- Przyszła pani Ross - zakomunikował kierownik sali, zdaniem Douga zupełnie niepotrzebnie, kiedy szczupła, ciemnowłosa kobieta przesunęła dłońmi wzdłuż jego ramion, by objąć go za szyję. Potem odchyliła do tyłu głowę i przycisnęła swe usta do jego ust.

- Najdroższy - zaszczebotała, a jej śliczna buzia przybrała figlarny wyraz. - Dwadzieścia cztery godziny bez ciebie to zbyt długo.

2

Kobieta pocałowała go namiętnie. Dougowi aż przeszły ciarki po całym ciele i tak mocno ją objął, że zastanawiał się, czy ktoś będzie musiał na nich wylać kubel zimnej wody, by ich rozdzielić.

- Bardzo za tobą tęskniłam - powiedziała, kiedy wypuściła go z objęć. - Cały dzień i noc bez ciebie to wieczność.

Dougowi przez chwilę zakręciło się w głowie. Nie mógł oderwać wzroku od jej roześmianej twarzy. Ale teraz przynajmniej wiedział, dlaczego kobieta woli szmaragdy. Miała zielone oczy! Nie mógł się zdecydować, czy jak najszybciej wybiec z nią z restauracji, by w jakimś kąciku znowu rozkoszować się jej pocałunkiem, który trwał za krótko, czy też w tym samym kąciku zażądać od niej wyjaśnień, jaką to grę, do diabła, prowadzi.

Gdzie była przysadzista blondynka? I dlaczego ta kobieta mówi, że za nim tęskniła?

Z opóźnieniem uświadomił sobie, że jego dziadek też wstał, z uwagą przyglądając się nieznajomej, a kierownik sali nie odszedł od ich stolika, czekając, by pomóc jej usiąść.

- Siadaj, kochanie - zaproponował Doug, kiedy odzyskał mowę. - Przedstawię cię dziadkowi. Ale najpierw mi powiedz, czego się napijesz?

Uśmiechnęła się i bezczelnie oświadczyła:

- Tego, co zawsze, kochanie.

- Perrier z sokiem z limony - złożył zamówienie kierownikowi sali, a następnie przedstawił Marilyn swe-

mu dziadkowi. Chcąc się trochę odegrać, dodał: - Ponieważ obydwójce pragniemy jak najszybciej mieć dziecko, Marilyn unika alkoholu.

Widział, że z wrażenia omal się nie udławiła, ale udało jej się zamaskować to śmiechem.

- Doug, najdroższy, nie wybiegajmy zanadto w przyszłość. Jeszcze się nawet oficjalnie nie zaręczyliśmy. Chciałabym, żebyśmy się nawzajem trochę lepiej poznali, nim założymy rodzinę.

Doug uśmiechnął się czule.

- W takim razie chyba powinniśmy podczas ostatniego weekendu być bardziej ostrożni, kochanie. Uśmiechnęła się równie słodko, ale spojrzała na niego lodowato, a w jej głosie dało się dosłyszeć groźbę, kiedy powiedziała:

- A ja myślę, że wprawiasz w zakłopotanie swego dziadka, mówiąc przy nim o takich rzeczach.

Klepnęła go, a on poczuł się, jakby go użądliła osa.

- Panie Fountain - zwróciła się do jego dziadka. - Doug tyle mi o panu mówił. Chwalił się, że zna pan z najdrobniejszymi szczegółami dzieje imperium Fountainów. Bardzo mnie to interesuje. Wiem, że podczas jednego obiadu nie dowiem się wszystkiego, ale czy mógłby mnie pan przynajmniej zapoznać z tym, co najważniejsze?

Starszy pan nachylił się do niej nad stolikiem i oświadczył:

- Zrobię to z największą przyjemnością, ale pod jednym warunkiem: że będziesz do mnie mówiła „dziadku”.

Marilyn skromnie spuściła wzrok, a potem spojrzała na dziadka Douga z niewinnym uśmiechem.

- No cóż, dziękuję - odparła. - To dla mnie zaszczyt, ale musimy poczekać... rozumie pan, nie czuję się jeszcze do tego uprawniona.

Doug widział, że Marilyn Ross podbiła serce jego

dziadka. Uśmiech starszego pana świadczył o tym, do jakiego stopnia go zawojowała.

- W takim razie proszę tymczasem zwracać się do mnie po imieniu. Jak wiesz, starszy brat Douga nosił po mnie imię Franklin. Franklin McLean Fountain III. Zmarł osiem lat temu w wyniku obrażeń, poniesionych podczas awaryjnego lądowania samolotu. Naturalnie wasz pierwszy syn będzie Franklinem McLeanem Fountainem IV. To rodzinna tradycja.

- Rozumiem. Tradycja jest najważniejsza, prawda?

Franklin się rozpromienił, jakby kobieta właśnie wyraziła zgodę na nadanie swemu pierworodnemu imienia po nim, a po chwili przyjrzał się jej uważniej i powiedział:

- Moja droga, wiesz, że mi kogoś przypominasz? Twoja twarz, włosy... Wiem! - Pstryknął palcami. - WÓZEK.

- WÓZEK? - powtórzył za nim jak echo Doug. - Widziałeś jej samochód?

Marilyn kopnęła go pod stołem.

- Och, Doug, cóż za poczucie humoru! To jedna z tych rzeczy, które w tobie ubóstwiam.

Uśmiechnęła się do jego dziadka.

- Doug bardzo dobrze wie, że parę miesięcy temu wygłaszałam odczyt na temat WÓZKA w Izbie Handlowej Vancouver. Być może tam mnie pan widział? A może wcześniej, kiedy przemawiałam w klubie Rotary?

Starszy pan się rozpromienił.

- Rzeczywiście, brałem udział w spotkaniu w Izbie Handlowej. Jestem jej byłym prezesem i naturalnie tam panią widziałem. Pani wystąpienie było wspaniałe. Jest pani urodzonym mówcą.

- Dziękuję. - Urwała, bo właśnie przyniesiono per-riera dla niej, a dla mężczyzn nowe drinki. - Lubię swoją pracę dla WÓZKA.

- Pracę dla WÓZKA? - Franklin prychnął. - Doug, nie możesz pozwolić, by ta dziewczyna była zanadto skromna. Wcześniej zebrałem informacje i wiem, że sama wszystko zainicjowała i prowadziła niemal samodzielnie, dopiero kilka miesięcy temu zaczęła korzystać z pomocy innych. Doug spojrzął na Marilyn z ukosa, pociągając ze swojej szklaneczki.

- No cóż, moja droga, nigdy mi nie mówiłaś, że jesteś taką potęgą w WÓZKU.

Marilyn podziwiała sposób, w jaki jej nowy „narzeczony” odparowywał kolejne ciosy w tym naprawdę niebezpiecznym pojedynku. Nigdy niczego mu o sobie nie mówiła. Rzuciła mu uśmiech i wzruszyła ramionami.

- Zaangażowanych jest w to mnóstwo ludzi, wszyscy pracują równie ofiarnie jak ja.

- I słusznie - powiedział Franklin. - Przyświeca wam szczytny cel, chyba się ze mną zgodzisz, Doug?

Doug skinął głową, ale miał niepewną minę. Marilyn z trudem się powstrzymała, by nie wybuchnąć głośnym śmiechem. Doug Fountain w pełni sobie zasłużył na męki, które teraz przeżywał.

Dlaczego okłamywał - i chciał, żeby i ona okłamywała - tego uroczonego staruszka?

Przyszedł kelner i zamówili potrawy. Po jego odejściu Marilyn nachyliła się do Franklina, celowo ignorując obecność Douga.

- No więc jak to będzie z tą obiecaną opowieścią o dziejach rodziny Fountain?

Zaczął snuć swoją historię, kiedy sączyła perriera,

i ciągnął ją, gdy zajadała się przepyszny obiadem - smażonymi owocami morza - a także wtedy, kiedy pojawił się kelner z wózkiem pełnym wymyślnych

smakołyków. Lecz Marilyn zrezygnowała z deseru.

- Ależ, kochanie - sprzeciwił się Doug, patrząc na nią żartobliwie - uwzględniając fakt, że ostatnio straciłaś kilka kilogramów, z pewnością możesz sobie pozwolić na zjedzenie musu czekoladowego?

Pokręciła głową, starając się zachować powagę mimo jego dowcipnej uwagi.

- Być może, ale za bardzo się już objadłam. Poproszę tylko kawę - zwróciła się do kelnera.

- Bez kofeiny - powiedział Doug.

- Dla mnie zwykła - podkreśliła Marilyn. - Jestem pewna, że pamiętasz, Doug, że jeśli mniej więcej co godzina nie dostarczę swojemu organizmowi niezbędnej dawki kofeiny, staję się bardzo drażliwa. -

Uśmiechnęła się. - Chyba nie chcesz, żebym straciła cierpliwość, kiedy będziemy robili zakupy, prawda? To może się okazać bardzo... kosztowne.

Oddał jej uśmiech.

- Potrafię znieść twoje zrzęczenie i stać mnie na zaspokajanie twoich zachcianek. Kofeina może zaszkodzić dziecku.

- Przy założeniu, że jestem w ciąży - odparowała szybko.

Dziadek Douga, w najmniejszym stopniu nie zakłopotany tą wymianą zdań, z zadowoleniem zatarł ręce.

- Moja droga, czy już uzgodniliście datę ślubu?

- Jeszcze nie. Cóż, jeszcze nawet nie powiadomiłam swojej matki o zaręczynach. Nie wiem dokładnie, gdzie w tej chwili przebywa. - Ani trochę nie kłamała. Jej matka z całą pewnością była teraz w Bostonie, ale mogła robić zakupy, grać w brydża albo spacerować ze swoimi złośliwymi, małymi pieskami o rozpląszczonych pyskach.

- To znaczy, że podróżuje? A twój ojciec?

- Ojciec zmarł kilka lat temu, a matka, owszem, dość często podróżuje.
 - Przykro mi, że twój ojciec nie żyje. Ojciec Douga ma rozrusznik, więc musimy być przy nim bardzo ogłędni. Musiał odziedziczyć słabe serce po matce, bo, jak widzisz, ja nadal świetnie się trzymam. - Staruszek westchnął ciężko. - No cóż, poczekamy z oficjalnym ogłoszeniem zaręczyn, póki obydwójce nie poinformujecie o tym swoich rodziców.
 - Uważam, że to bardzo rozsądne. - Ponieważ Marilyn nie miała najmniejszego zamiaru o czymkolwiek powiadamiać swojej matki, a już szczególnie o fikcyjnych zaręczynach, ich ogłoszenie nie nastąpi zbyt prędko.
 - Doug, twoja matka będzie chciała urządzać huczne przyjęcie z tej okazji - rzekł Franklin. - Będziesz jej musiał dać trochę czasu, więc nie zdołamy zbyt przyspieszyć ślubu. Ale teraz, gdy poznałem Marilyn, wiem, że mogę być spokojny. Kiedy wracają twoi rodzice? - spytał wnuka.
 - Na doroczne zebranie udziałowców - powiedział Doug. - Tata twierdził, że nie zamierza wrócić przed całkowitym zakończeniem remontu domu, by mama nie doprowadziła architekta do szaleństwa zmianami, wprowadzanymi w ostatniej chwili.
 - Widzę, że udało mi się wychować twojego ojca na rozsądnego mężczyznę - rzucił Franklin, odsuwając krzesło. Doug zerwał się, by pomóc mu wstać.
- Starszy pan uśmiechnął się czule do nich obojga.
- Zostawię was teraz samych. Najwyższa pora, żebym się zdrzemnął po obiedzie.
- Pochylił się i pocałował Marilyn w czoło.
- Witaj w rodzinie Fountainów, moja droga. Wiem, że będziesz wielkim skarbem nie tylko dla mojego wnuka, ale dla nas wszystkich.

- Dziękuję, Franklinie. Miło mi było ciebie poznać. - Marilyn siedziała, zagryzając dolną wargę, podczas gdy Doug odprowadzał dziadka do głównego wyjścia z restauracji. Sprawy zaczynały się toczyć nie po jej myśli.

To już nie był żart. Polubiła Franklina Fountaina. Co gorsza, polubiła również jego wnuka. Doug wrócił razem z kelnerem, niosącym tacę z dwiema filiżankami z cieniutkiej porcelany i wysokim, srebrnym dzbankiem z kawą i dwoma lampkami brandy.

- Pomyślałem sobie - oznajmił, siadając - że obydwójgu nam przyda się coś na wzmocnienie. Marilyn spojrzała na niego i skinęła głową.

- Święta racja.

- Co to za WÓZEK, o którym rozmawiałaś z moim dziadkiem? - spytał Doug.

- Mniejsza o to. - Miała świadomość, że powiedziała to zbyt ostrym tonem, ale nie zamierzała go zmieniać. - Lepiej ty mi wytłumacz, dlaczego tak ci zależy, żeby przekonać swego dziadka o swych zaręczynach i zamiarze jak najszybszego ożenku. No i co, na Boga, skłoniło cię do zwrócenia się do Perfect Partners w poszukiwaniu narzeczonej?

Zawahał się i Marilyn uniosła brwi.

- Naprawdę myślałeś, że o to nie spytam?

Przez chwilę sprawiał wrażenie skruszonego, ale potem wzruszył szerokimi ramionami. Marilyn zauważyła, że nawet wtedy na jego idealnie skrojonym jasnoszarym garniturze nie pojawiły się najmniejsze fałdki.

- Zawsze można mieć nadzieję, prawda? - spytał z uśmiechem.

Marilyn starała się nie widzieć wesołych iskerek w jego spojrzeniu. Sięgnęła po ciężką, srebrną łyżkę i siedziała, stukając nią w stolik w oczekiwaniu na odpowiedź.

- No dobrze już, dobrze. To skomplikowane, ale postaram się jakoś ci to wytłumaczyć. Pamiętaj tylko, że dziadek ma dziewięćdziesiąt pięć lat i jest niezwykle uparty.

Marilyn przypuszczała również, że jest przyzwyczajony do tego, by decydować o wszystkim. Skinęła głową. Jej dziadek był taki sam.

- Trzy miesiące temu - zaczął Doug - postawił mi ultimatum: albo znajdę sobie żonę lub przynajmniej udowodnię, że poważnie jej szukam, albo na następnym dorocznym zebraniu udziałowców, które odbędzie się za miesiąc, będzie głosował za tym, by przekształcić firmę w spółkę akcyjną. Obawiam się, że udziałowcy mogliby go poprzeć.

Marilyn wlała swoją brandy do kawy. Aromat alkoholu przyjemnie połąskotał ją w nos, kiedy pociągnęła pierwszy łyk. Przez chwilę rozkoszowała się kawą, nim spytała:

- Macie udziałowców, ale firma nie jest spółką akcyjną?

- Wszyscy udziałowcy są członkami rodziny, nie licząc paru starych, zaufanych pracowników, których w chwili przejścia na emeryturę obdarowano niewielkimi pakietami udziałów, i kilku aktualnych wiceprezesów. Dziadek ma jakieś podejrzenia wobec jednego z moich dalekich kuzynów, który w dniu swoich trzydziestych piątych urodzin zyska prawo uczestniczenia w głosowaniu w imieniu własnym, swojej siostry-bliźniaczki i matki.

- Matka i siostra nie mają takiego prawa? Doug pokręcił przecząco głową.

- Tak stanowi statut. Marilyn lekko prychnęła.

- Coś mi się wydaje, że wasza firma powinna zmienić statut.

- Zgadza się, ale nie dojdzie do tego, póki dziadek będzie przewodniczącym rady nadzorczej. Nie ma nic przeciwko kobietom, ale uważa, że ich miejsce nie jest w sali posiedzeń zarządu. Podczas głosowania traktuje udziały, należące do rodziny Kerry'ego, jak swoje własne. Jest święcie przekonany, że z chwilą, gdy Kerry zdobędzie prawo głosu, będzie próbował doprowadzić do przejęcia spółki.

Kerry musi być tym „pociotkiem”, o którym wspomniała Josie. Marilyn pociągnęła kolejny łyk kawy, wzmocnionej brandy.

- A zrobi to? - spytała, odstawiając filiżankę. Doug parsknął śmiechem.

- Nie! Ani mu to w głowie. Siostra Kenyego nie mniej ode mnie pragnie, żeby firma pozostała w rodzinie, ale dziadek o tym nie wie i mi nie uwierzy, kiedy mu to powiem. Woli przekształcić firmę w spółkę akcyjną, niż pozwolić, by Kerry miał coś do powiedzenia w kierowaniu nią. Uważa go za człowieka nieodpowiedzialnego. - Wzruszył ramionami. - Może i ma rację, ale nie w tym rzecz.

-Jakie znaczenie mają w tej sytuacji twoje zaręczyny?

- Żadnego. Tylko dziadkowi wydaje się inaczej. Jego zdaniem czyni mnie to człowiekiem bardziej statecznym w oczach pozostałych członków rady nadzorczej, którzy w innym wypadku daliby się nakłonić do głosowania za Kerryem, gdyby próbował przejąć kierownictwo.

Pociągnął łyk brandy, spoglądając na Marilyn znad kieliszka.

- W statucie firmy jest również zapisane, że w razie braku potomka z rodu FoUntainów, zdolnego lub chętnego do kierowania przedsiębiorstwem, przewodniczący rady nadzorczej ma obowiązek przekształcić firmę w spółkę akcyjną.

Marilyn zmarszczyła czoło.

- Czy to by było takie złe? Pokręcił głową.

- Dla mnie nie. Ale złożyłem obietnicę, do której spełnienia czuję się zobowiązany. Muszę jedynie sprawić, żeby dziadek dał mi spokój, póki nie zakończy się najbliższe zebranie udziałowców.

- A potem co?

- Jeśli nabierze przekonania, że zamierzam się ożenić i spłodzić potomka, zapomni o swoich obawach, dotyczących Kerry'ego i jego rzekomego zamiaru „przejęcia władzy”.

- Będziesz miał spokój w tym roku, ale za dwanaście miesięcy zwołają kolejne zebranie. Co zrobisz wtedy?

- Mam nadzieję, że wtedy to już nie będzie żaden problem.

Wpatrywała się na niego z niedowierzaniem.

- Chwileczkę! Chcesz powiedzieć, że liczysz na rychłą śmierć dziadka?

- Ależ skądże! - Spojrzał z oburzeniem i wyprostował się na krześle, mało brakowało, a zerwałby się na równe nogi, ale się opanował i przesunął dłonią po włosach.

Marilyn zwalczyła pragnienie dotknięcia tych włosów, gęstych i sztywnych, ostrzyżonych tak krótko, że prawie udawało się poskromić ich skłonność do kręcenia się. Trzymała ręce splecione na kolanach. Nie miały nic do roboty w pobliżu sprężystych, rdzawobrazo-wych włosów Douga Fountainy.

- Dobrze, już dobrze - powiedział. - Chyba tak to zabrzmiało. Przepraszam. Chodzi o to, że kiedy Kerry skończy trzydzieści pięć lat, łatwiej będzie nam zrealizować nasz plan.

- To znaczy komu?

Jego wahanie skłoniło ją do cierpkiej uwagi.

- Doug, jeśli liczysz na moją pomoc i współpracę, musisz sobie na to zasłużyć. Nie ładuję się w nic na ślepo. - Już nie.

Przez dłuższą chwilę patrzył jej prosto w oczy. Potem szybko dopił brandy, podparł brodę ręką i dalej przyglądał się jej uważnie.

Marilyn nagle poczuła się dziwnie nieswojo. Dokończyła pić kawę i odstawiła filiżankę na spodeczek.

- Marilyn, nie mogę dodać nic więcej, póki mi nie obiecasz, że wszystko to pozostanie tylko między nami, nawet jeśli po wysłuchaniu mnie nie zgodzisz się mi pomóc.

Zmarszczyła brwi i przez jakiś czas zwijała i rozwijała róg serwetki, nim w końcu uniosła wzrok.

Niepokoilo ją, że zdaniem Douga to, co ma do powiedzenia, może ją skłonić do wycofania się z całej tej afery.

- Musisz zaufać mojej uczciwości zawodowej - rzekła w końcu. - Nie mogę przysiąc na grób matki, ale owszem, czegokolwiek się dowiem, pozostanie to między nami. Daję ci moje słowo.

- To mi wystarczy. - Jednak nie ciągnął swej opowieści, tylko odsunął krzesło, wyraźnie zamierzając wstać. - Skończyłaś?

-Tak.

- To dobrze. Chodźmy się przejść.

Aha, czyli nie chciał, by ktoś podsłuchał to, co miał do powiedzenia. To dość rozsądne, stwierdziła. W Fountainhead, restauracji na dachu Fountains Hotel, niejedna para uszu mogła chciwie nasłuchiwać ich rozmowy.

Jeśli nawet dbał o to, by nikt go nie podsłuchał, najwyraźniej nie dbał o spojrzenia, ponieważ otwarcie wziął z koszyka na stole trzy chrupiące bułeczki i wsadził je do kieszeni marynarki. Małe co nieco na później? zasta-

nawiała się z rozbawieniem Marilyn. Przypuszczała, że jako Fountain miał prawo zabrać bułeczki. I w ogóle miał prawo do odrobiny ekstrawagancji.

Wziął Marilyn za rękę i wyszli z sali. Oboje milczeli, kiedy winda szybko wiozła ich na parter. Gdy wysiadali, znów ujął jej dłoń.

Sprawiło to Marilyn przyjemność. Jego dłoń była sucha, ciepła, znacznie większa od jej dłoni.

Fontanna pośrodku okrągłego podjazdu szemrała i syczała, wyrzucając wysoko w górę trzy strumienie wody, podmuchy wietrzyku chwytaly rozpylone krople i kierowały je na rabaty kwiatowe, gdzie błyszczały jak klejnoty, oraz zraszały nimi trawę.

Doug prowadził Marilyn wijącą się alejką pomiędzy rabatami z kolorowymi, letnimi kwiatami.

Wielkie, ciężkie główki irysów o barwach od ciemnofioletowe-go przez rudy do złotego błyszczały w słońcu, róże rozaczały wkoło przyjemną woń. Mijali płozące się flok-sy, rosnące wzdłuż alejki. U zbiegu drózek pachnące cynamonem petunie wylewały się z trypoziomowych kwietników, a kępki lwich paszcz i goździków brodatych rozświetlały rabaty.

Kiedy się znaleźli w odległym zakątku, mając z tyłu kamienny mur, a przed sobą rozległy trawnik, a także widok na wszystkie alejki, biegnące w pobliżu, Doug posadził Marilyn na ławce w cieniu rozłożystego drzewa. Wyjął z kieszeni jedną bułeczkę i pokruszywszy ją drobno, rzucił na trawnik po drugiej stronie alejki. Jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawiło się kilkanaście ptaszków i łapczywie rzuciło się na okruchy.

Siedząc obok Marilyn, przyglądał się ucztującym ptakom, na jego ustach błakał się lekki uśmiech.

Marilyn patrzyła na Douga. Wiatr zerwał z drzewa listek, który wylądował w jego włosach.

Powstrzymała

się, by go nie strzepnąć. Cholera! Wolałaby, żeby jego włosy tak jej nie fascynowały. Nie dawało jej spokoju pytanie, czy rzeczywiście są tak sprężyste, na jakie wyglądały. Mimo woli się wzdrygnęła. Natychmiast całą uwagę skupił na niej.

- Zimno ci?

- Nie. Skądże znowu. - Był lipiec. Nie mogło jej być zimno.

Jakby nie słysząc tych słów, Doug zdjął marynarkę, otulił nią Marilyn i przytrzymał klapy, by osłonić jej dekolt, wzrok zaś utkwił w jej twarzy. Przez długą chwilę wytrzymywała jego spojrzenie, a potem spuściła oczy i głośno przełknęła ślinę. Barczyste ramiona pod jasnoniebieską koszulą wydawały się jeszcze szersze z powodu jaskrawoczerwonych szelek, które nosił.

Widok tych szelek skłonił ją do uśmiechu. Kusiło ją, by wsunąć palec pod gumę i pociągnąć za nią. Spojrzał na Marilyn i lekko nią potrząsnął.

- Gapisz się na moje szelki. Nie podobają ci się?

- Skądże znowu! - Szybko przeniosła wzrok na jego twarz. - Bardzo mi się podobają. Są wyjątkowo... seksowne.

Wdychała zapach Douga, którym przesiąknięta była jego marynarka, na moment zatoneła w jego oczach i poczuła, że nachyla się ku niemu, jakby pod wpływem jakiejś siły, której nie potrafiła się oprzeć.

Na szczęście akurat wtedy zaskrzeczała sójka na drzewie, pod którym siedzieli, a wiatr porwał liść z włosów Douga. Marilyn cofnęła się gwałtownie i zmusiła do skupienia na tym, o czym mieli rozmawiać.

- Chciałeś mi coś powiedzieć - przypomniała mu. - Coś, co, masz nadzieję, przekona mnie do udziału w całej tej hecy.

- Owszem, mam taką nadzieję - przyznał, nachyla-

jąc się bliżej i ścisząc głos, chociaż w pobliżu nie było nikogo. - Najpierw muszę ci opowiedzieć trochę więcej o historii firmy, jeśli zdołasz tego wysłuchać.

- Nie obawiaj się. Nie kłamałam, kiedy mówiłam twojemu dziadkowi, że interesują mnie dzieje klanu Fountainów.

- Dobrze, ale przerwij mi, jeśli zacznę cię nudzić.

- Możesz być spokojny - zapewniła Douga i znacząco spojrzała na zegarek, by zachęcić go do rozpoczęcia opowieści.

Uśmiech Douga świadczył, że gest Marilyn nie uszedł jego uwagi.

- Dobra - zgodził się. - Mój brat Frank miał zaledwie dwadzieścia trzy lata, kiedy nasz ojciec doznał pierwszego zawału serca i musiał zrezygnować z zarządzania firmą. Tata był zbyt chory, by sprawować choćby funkcję przewodniczącego rady nadzorczej, więc dziadek go wyřęczył, chociaż, zgodnie z tradycją, z chwilą mianowania przedstawiciela nowego pokolenia dyrektorem naczelnym poprzedni dyrektor zostaje przewodniczącym rady nadzorczej. Naturalnie obydwaj służyli Frankowi radami, ale mój brat wiedział, że potrzebuje kogoś o bardziej nowoczesnych poglądach, z oryginalnymi pomysłami, które potrafiłby wprowadzić w życie. Próbował znaleźć kogoś takiego wśród członków dotychczasowego kierownictwa, ale wszyscy byli starsi od niego. - Wzruszył ramionami. - Chyba mu zazdrościli, uważali go za waźniaka, chociaż przez całe studia, a nawet jeszcze w liceum, pracował i odbył praktyki we wszystkich wydziałach. Jednak jego dyplom był świeżutki.

- Mając dwadzieścia trzy lata był zbyt młody, by kierować przedsiębiorstwem - pokiwała głową Marilyn.

- Być może, ale znał firmę na wylot i szybko sobie

uświadomił, że potrzebuje u swego boku kogoś, komu może bezgranicznie ufać. Kogoś, kto nie będzie próbował go wysadzić z fotela, ale będzie z nim współpracował, stanowił jego uzupełnienie, kogoś na tyle bystrego i utalentowanego, by być jego partnerem. Przez sześć lat wypróbował różnych mężczyzn w tej roli, ale nigdy nie był w pełni zadowolony. Ponieważ twój wujek stał się postacią dobrze znaną w świecie interesów jako człowiek, do którego należy się zwracać, kiedy firma szuka młodych, wysoko kwalifikowanych kandydatów na stanowiska kierownicze, Frank udał się do niego. Edwin polecił mu Jennifer Kelly. Marilyn zmarszczyła czoło.

- Od samego początku Perfect Partners specjalizowało się w zatrudnianiu kobiet. Dlaczego Frank zwrócił się akurat do Edwina?

- Ponieważ czuł, że kobieta będzie właśnie takim osobistym asystentem, jakiego potrzebował.

- Osobistym asystentem? Wuj Edwin nigdy nie skierowałby żadnej kobiety do pracy na stanowisku, które sprowadza się do obowiązków sekretarki. Nie zajmujemy się tym.

- Wiem, Frank też o tym wiedział. Nie szukał sekretarki-asystentki. Miał ich aż za dużo. - Zachichotał. - Na przykład Emmę.

- I twoja mizoginistyczna rodzina pozwoliła mu zatrudnić Jennifer Kelly jako pełnoprawnego członka kierownictwa?

- Moja rodzina nie miała nic do powiedzenia. On był szefem. Nalegał na to, by pozostawiono mu absolutną swobodę w dobieraniu sobie pracowników, i dopiął swego. - Przez chwilę Doug zapatrzył się w jakiś odległy punkt. Marilyn przemknęło przez myśl, że wpatruje się w przeszłość.

- A więc mój wujek znalazł dla Fountain Jennifer Kelly - powiedziała, by go zachęcić do kontynuowania opowieści.
- Kelly - woli, żeby mówić o niej, używając nazwiska - już wcześniej u nas pracowała. Edwin wyszukał ją dla Franka w genewskim biurze Fountain Enterprises.
- Skoro pracowała w firmie Fountain, dlaczego złożyła swoją ofertę w Perfect Partners, jeśli nie zamierzała uciec od was i zatrudnić się gdzie indziej?
- Ponieważ w Genewie nie mogła już wyżej awansować. Chciała, żeby twój wujek pomógł jej znaleźć posadę, odpowiadającą jej aspiracjom, może w innej firmie. Edwin wiedział, kogo szuka Frank, i był pewien, że właśnie Kelly idealnie będzie się nadawała do tej pracy. Na szczęście Frank mu zaufał. Okazało się, że Kelly rzeczywiście jest idealnym partnerem. Zgodnie z nazwą firmy Edwina: „Perfect Partners”. Razem z Frankiem tworzyli zgrany zespół. Trudno powiedzieć, jak daleko zaszłaby firma pod ich wspólnym kierownictwem.
- Ale twój brat umarł - powiedziała Marilyn. Doug napiął mięśnie twarzy.
- Tak.
- I teraz ty z Kelly tworzycie zespół. Zaczął rytmicznie uderzać pięścią w kolano.
- Nie. To Kelly podejmuje decyzje, jest główną siłą napędową w JetCorp. Taką nazwę przybraliśmy, kiedy razem z Frankiem wynegocjowali fuzję z dwiema innymi firmami. Ale mój ojciec i dziadek nie chcą uznać jej zasług z tej prostej przyczyny, że jest kobietą.
- Niech żyją dinozaury - mruknęła Marilyn. - Ale z pewnością wystarczająco jasno udowodniła, ile zrobiła dla firmy, by ją docenili. Więc o co chodzi?

- Chodzi o to, że Kelly, oficjalnie moja zastępczyni i wiceprezes, odpowiedzialny za inwestycje zagraniczne, w rzeczywistości zarządza JetCorp. Chcę, żeby zastąpiła mnie na stanowisku dyrektora naczelnego. Nie tylko lepiej się na tym zna ode mnie, ma również takie samo prawo jak ja do pełnienia tej funkcji. Widzisz, jest moją kuzynką. Naprawdę nazywa się Jennifer Fountain.

3

Marilyn aż się odchyliła na oparcie, kiedy dotarło do niej znaczenie tego, co właśnie usłyszała.

- Chwileczkę! Jak kobieta o nazwisku Fountain mogła odbyć wszystkie wymagane rozmowy kwalifikacyjne i po sprawdzeniu referencji zostać przyjęta do pracy jako Jennifer Kelly? - spytała.

- Czary mary? - rzucił żartobliwie, ale Marilyn wcale to nie rozbawiło.

- Chcesz, żebym uwierzyła, że firma Perfect Partners za zgodą mojego wujka Edwina brała udział w oszustwie?

Położył jej dłoń na ramieniu, by ją uspokoić, a potem palcami delikatnie odsunął jej włosy z twarzy.

Marilyn siedziała bez ruchu, nie chcąc dać mu poznać, jak zareagowała na ten gest.

Czy próbował, w typowy dla mężczyzn sposób, uwieść ją, by w ten sposób podporządkować ją swej woli? Jeśli tak, czeka go przykre rozczarowanie. Nie jest taka głupia, żeby dać się nabrać na podobne sztuczki. Chłodno i pytająco spojrzała mu w oczy.

- W tym, co zrobiła Kelly, nie było żadnego podstępu - powiedział. - W świetle prawa każdy może posługiwać się takim nazwiskiem, jakim chce, o ile nie planuje oszustwa. Jednak akurat ona ma pełne prawo do nazwiska, którego używa. Nazywa się Jennifer Kelly Fountain.

- Cieszę się, że to słyszę. - Chcąc się pozbyć dłoni

Douga z ramienia, odsunęła się i wyciągnęła z kieszeni jego marynarki bułeczkę. Rozdrobniła ją i rzuciła okruszki ptakom. - Jestem pewna, że wujek Edwin też byłby zadowolony.

- Nie ma nic wspólnego ze zmianą nazwiska przez Jennifer. To się stało znacznie wcześniej. Zresztą wcale jej za to nie potępiam. Zmusił ją do tego mój ojciec swoim nieprzejednaniem i konserwatywnymi poglądami.

- Twój ojciec? Zdawało mi się, że powiedziałeś, że twój brat miał pełną swobodę decyzji.

- To wszystko się zaczęło dużo wcześniej, nim Jennifer podjęła pracę u mojego brata. Kiedy miała dwadzieścia lat, napisała do mojego taty - wówczas dyrektora naczelnego - dołączyła swój życiorys i poprosiła o pracę w firmie. Ponieważ była daleką krewną, mój ojciec czuł się zobowiązany ją zatrudnić i zaproponował jej pracę stenotypistki. Podobnie jak mój dziadek jest przekonany, że kobiety nie nadają się do piastowania bardziej odpowiedzialnych stanowisk, nawet jeśli noszą nazwisko Fountain i posiadają świetne referencje.

Marilyn rzuciła kilka kawałków bułki w kierunku płochliwej wiewiórki, która zbiegła po pniu drzewa, zaintrygowana świergotem ptaków.

- A więc kiedy na scenie pojawiła się firma Perfect Partners?

- Długo po tym, jak Kelly zrezygnowała z drugiego członu nazwiska. A zrezygnowała z niego po odrzuceniu przez mojego ojca jej oferty.

- Dlaczego?

- Przypuszczam, że częściowo dlatego, że jest uparta, zawzięta i wie, czego chce. A chciała być częścią rodzinnej firmy. Kelly ma iloraz inteligencji bliski rekordowemu. Zdobyła tytuł magistra w wieku, kiedy większość ludzi kończy szkoły średnie. Złożyła podanie o pracę

w Fountain dopiero wówczas, gdy ukończyła studia podyplomowe w dziedzinie finansów międzynarodowych na Sorbonie. Poczula się śmiertelnie obrażona wielkoduszną propozycją mojego ojca, by wystukiwała pisma na komputerze lub stenografowała dyktowane teksty. Uśmiechnął się szeroko.

- Znam Kelly i żałuję, że mnie nie było przy tym, jak mój ojciec przedstawiał jej propozycję pracy. Już w wieku dwudziestu lat nie pozwalała się lekceważyć. Dziwię się, że mój ojciec przeżył to spotkanie.

- Jego głośny wybuch śmiechu sprawił, że wiewiórka uciekła z powrotem na drzewo, a ptaki zakreśliły koło nad szkarłatnymi różami. - Ale Kelly nie należy do osób, które się łatwo poddają. Kiedy nie mogła się dostać drzwiami frontowymi, postanowiła się wślizgnąć od tyłu. I udało jej się. Wystarczyło jedynie zmienić nazwisko.

Marilyn zachichotała. Podziwiała przebojowość jako cechę charakteru, i to u każdego.

- Więc zrezygnowała z drugiego członu nazwiska, przyjęła posadę stenotypistki i zaczęła awansować. Czy nikt jej nie rozpoznał?

Pokręcił głową.

- Niezupełnie taką drogę obrała. Nasi ojcowie są braćmi ciotecznymi. Kiedy jej rodzice się rozwiedli, ona i jej brat mieli jakieś dziewięć lat. Kelly została z tatą, Kerry - z matką. Nie miała kontaktów z naszą rodziną, więc z chwilą, gdy mój tata zszedł ze sceny z powodu złego stanu zdrowia, nie było nikogo, kto mógłby ją rozpoznać w tutejszym biurze. Poza tym się zmieniła. Jej blond włosy z wiekiem stały się ciemniejsze, nosi turkusowe soczewki kontaktowe, ukrywając pod nimi brązowe oczy.

- Skoro twoja rodzina tak preferuje mężczyzn, a ty

nie chcesz być dyrektorem naczelnym, czemu nie zaproponowano tego stanowiska bratu Kelly?

Doug skrzyżował nogi i splótł dłonie na kolanie.

- Wolne żarty! Zresztą nawet gdyby tak się stało, Kerry by się nie zgodził. Nie znam nikogo, kto bardziej od niego kocha wygodne życie. Uciekłyby na Antarktydę, by uniknąć tej posady. Nie wiem, czy kiedykolwiek pracował. Oczywiście nie musi. Udziały w JetCorp przynoszą mu więcej, niż potrzebuje na takie życie, jakie lubi.

Marilyn rozsypała więcej okruchów bułki. Modra sójka sfrunęła z drzewa i wylądowała przed ławką. Po zjedzeniu kilku kawałków bułki łypnęła na Marilyn lśniącem, czarnym okiem, domagając się więcej pokarmu. Marilyn spełniła jej żądanie.

- Czyli że Kerry zbiera to, co ty i jego siostra posiejecie?

- Można tak powiedzieć.

Doug uśmiechnął się, wyprostował nogi i wziął z dłoni Marilyn ostatnią bułkę, którą wyciągnęła z kieszeni jego marynarki. Przełamał ją na pół i jeden kawałek rzucił sójce, a drugi w kierunku wiewiórki. Zwierzęta niezupełnie wiedziały, co zrobić, bo każde z nich chciało zdobyć obydwie kawałki pieczywa. Podczas gdy sójka skrzeczała, a wiewiórka piszczała, przyfrunęły mniejsze ptaki i tak zawzięcie zaczęły dziobać obie połówki bułki, że wkrótce zostały z nich tylko okruszki.

- Tak czy owak - ciągnął Doug - Kelly spędziła razem ze swym ojcem, Iram Fountainem, prawie całą młodość we Francji, więc rzadko widywała się z kimś z naszej gałęzi rodu. Kiedy tata złożył jej tę obraźliwą ofertę, postanowiła udowodnić, co potrafi.

Zachichotał.

- Nie miała najmniejszych kłopotów z uzyskaniem

pracy w jednym z naszych oddziałów zagranicznych. Pomogły jej w tym wysokie kwalifikacje. Poza tym biegle włada sześcioma językami. Tata nie przywiązuje wagi do spraw kadrowych, szczególnie w oddziałach zagranicznych. Nie wiedziała o tym, więc postanowiła nie posługiwać się nazwiskiem Fountain. Ciężko pracowała i szybko awansowała. Podejrzewam, że Pan Bóg nierówno obdzielił zdolnościami ją i jej brata. Gdyby moja rodzina chciała to dostrzec, dziadek nie postawiłby mi tego ultimatum. W gruncie rzeczy pragnie jedynie móc „z honorem”, jak to określa, odejść na emeryturę, wiedząc, że firma jest w dobrych rękach.

- Może stałoby się inaczej, gdybyś sam postawił ultimatum - powiedziała Marilyn. Sójka zbliżyła się na odległość jednego kroku i zaskrzeczała na nią. - Co by było, gdybyś się zgodził zostać przewodniczącym rady nadzorczej, pozwalając swemu dziadkowi przejść na emeryturę, a oni w zamian za to mianowaliby Jennifer Kelly na twoje dotychczasowe stanowisko? Czy musieliby się dowiedzieć, że naprawdę nazywa się Jennifer Kelly Fountain?

- Uwierz mi, gdybym wierzył, że to się uda, postąpiłbym właśnie tak. Ale to nie wchodzi w grę. Dyrektorem naczelnym musi być ktoś z rodu Fountain.

- Przecież jest członkiem rodziny. Ach, rozumiem. Chcesz, żeby ujawniła prawdziwą tożsamość przed tym ważnym zebraniem czy po nim?

- Naturalnie, że po nim. W dniu jej urodzin zwołam nadzwyczajne spotkanie rady nadzorczej, podczas którego złożę rezygnację. Wtedy dziadek niemal na sto procent zażąda, by przekształcić firmę w spółkę akcyjną. Razem z Kerrym, dysponując dodatkowo udziałami Kelly i jej matki, postaramy się, żeby jego wniosek nie został przegłosowany. Wspólnie posiada-

my dość udziałów, by tego dokonać. Możemy liczyć na głosy jeszcze paru wiceprezesów.

- Czy nie uważasz, że to trochę nieuczciwe?

- Nieuczciwością jest to, że moja rodzina nie potrafi się poznać na kimś, kto jest naprawdę utalentowany, tylko dlatego, że ten ktoś chodzi w spódnicy. Myślę, że ty, jako kobieta, zrozumiesz, że jesteśmy zmuszeni do takiego, a nie innego postępowania.

Marilyn zmarszczyła czoło.

- Chyba rozumiem.

To nie było tylko przypuszczenie. W pełni rozumiała i usprawiedliwiała metody postępowania Douga Fountaina. Gdyby nie był pewny, że jego kuzynka Kelly posiada wyjątkowe kwalifikacje na stanowisko dyrektora naczelnego, nie uciekłby się do podstępu. Wprawdzie nie chciał kierować firmą, jednak zależało mu, by pozostała w rodzinie.

Z uwagi na własne dzieci?

To miało sens. Gdyby nie jedno...

- Nawet jeśli ty i twoi kuzyni razem ze swoją matką mogą przegłosować to, co chcą, czy Kelly nie znajdzie się w niewdzięcznym położeniu, jeśli twój ojciec i dziadek nie będą jej chcieli na stanowisku dyrektora naczelnego? Czy nie zamienią jej życia w piekło? I twojego? Z pewnością uznają twoje postępowanie za zdradę. Widziałam, jak bardzo kochasz dziadka, Doug. Chcesz go do siebie zrazić?

- Nie.

- Ale gotów jesteś to zaryzykować. Dlaczego?

- Ponieważ chodzi tu o coś więcej niż tylko o to, by dać Kelly szansę, żeby wyszła z tego wszystkiego zwycięsko. Kiedy uda jej się zatriumfować, kiedy ją zaakceptują, uważamy, że przebaczą jej - i mnie. Marilyn nie wystarczały gołosłowne zapewnienia.

- Dlaczego? - powtórzyła swoje pytanie.

I znów Doug, zanim odpowiedział, zamyślił się, jakby próbował oceniać, do jakiego stopnia może jej zaufać.

- Kelly ma asa w rękawie - wyznał w końcu. - A mówiąc szczerze, dwa. Swoje siedmioletnie bliźniaki, Jimmy'ego i Joego.

Marilyn cicho gwizdnęła.

- Naturalnie! Dziedzice, noszący nazwisko Fountain. Więc ty i Kelly chcecie zatrzymać firmę w rodzinie, żeby mogli ją przejąć jej synowie. Tak, można to uznać za atut.

2agryzła usta.

- Ale czemu nie wykorzysta go teraz? Dlaczego nie zrobiła tego już dawno temu? Uważam, że gdyby ujawniła istnienie tych dwóch małych Fountainów, postawa twojego ojca i dziadka diametralnie by się zmieniła.

- Może masz rację, ale Kelly chce, żeby uznano jej osobiste zasługi. Nie chce być traktowana jak jakaś księżna-regentka, tolerowana dopóty, dopóki nie dorosną jej synowie, by mogli przejąć firmę. Zresztą może żaden z nich nie będzie tego chciał. Nie zmusi ich wbrew ich woli i dobrze ją rozumiem.

Poprawił się na ławce, jakby nagle zrobiło mu się niewygodnie, po chwili wstał, odszedł kilka kroków, odwrócił się i spojrzał na Marilyn.

- Zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że nadal się będą upierali, że się nie nadaje do zarządzania firmą z uwagi na płeć i dalej będą mnie zmuszali do odgrywania roli, która tak świetnie pasowała do mojego brata, ale nigdy nie leżała mnie. Chcę się uwolnić teraz, Marilyn. Teraz, kiedy wciąż jeszcze potrafię niezależnie myśleć.

- Rozumiem. Rozumiem i ciebie, i ją.

- Jest jeszcze coś - powiedział. - Jimmy i Joe i tak mieliby prawo do nazwiska Fountain, gdyby poślubiła ich ojca. Widzisz, był nim mój brat Frank.

Marilyn, ogłuszona, gapiała się na niego.

- Doug, te dzieci są wnukami twoich rodziców! Prawnukami Franklina. Spadkobiercami, których uważają za tak ważnych dla przyszłości Fountain Enterprises, powinnam raczej powiedzieć JetCorp. Czy nie mają prawa nie tylko o nich wiedzieć, ale poznać je osobiście, jako członków waszej rodziny?

- Też tak uważam, ale ich matką jest Kelly; decyzja należy do niej. Mój ojciec, w swym bólu, był dla niej... niezbyt miły po śmierci Franka, oskarżając ją o to, że odciągnęła go od narzeczonej. Myślę, że razem z dziadkiem by ją zwolnili, gdyby nie warunki umowy o pracę, jaką zawarła. A wszystko znowu dzięki twojemu wujkowi.

- Cieszę się, że mógł dla niej tak dużo zrobić.

- Ja też. - Doug wrócił do ławki, ale nie usiadł, tylko wyciągnął rękę do Marilyn i pomógł jej wstać. - Ale nawet gdyby ją wyrzucili, po objęciu kierownictwa firmy przyjąłbym ją z powrotem. Ponieważ czy mi się to podobało, czy nie, zostałem dyrektorem. Nie podobało mi się to i Kelly była mi potrzebna.

- Podejrzewam, że nie było ci łatwo, kiedy zmuszono cię do kierowania potężną korporacją. Jego kpiący uśmiech dużo jej powiedział.

- Gdyby nie Kelly, nigdy by mi się to nie udało. Wiele jej zawdzięczam, nawet obietnicę, że zachowa w tajemnicy swoje prawdziwe nazwisko i fakt przyjścia na świat dzieci jej i Franka. Pracowała ze mną, póki ciąża nie stała się widoczna, potem pomagała mi z domu, wykorzystując faks, telefon i pocztę elektroniczną. Dużo mnie nauczyła, ale robiła to w taki sposób, że wszyscy myśleli, iż jestem urodzonym geniuszem. Wróciła do

pracy, kiedy chłopcy mieli trzy miesiące, i nadal jest moim nauczycielem i rzeczywistym dyrektorem Fountain Enterprises.

- Podejrzewam, że jesteś zbyt skromny. Uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Być może, ale nie zmienia to faktu, że nie chcę zarządzać JetCorp.

- A twój brat? Czy chciał tego stanowiska, czy też z powodu swego starszeństwa został zmuszony do tego, przed czym Kelly tak chce uchronić swoje dzieci?

- Kochał to, żył tym, chociaż, prawdę mówiąc, nigdy nie miał okazji spróbowania czegoś innego, a nawet pomyślenia o czymś innym. Był dziedzicem i koniec, kropka.

- A potem umarł i ty musiałeś zająć jego fotel.

- Tak. Ale mnie uwiera. Natomiast Kelly bardzo w nim wygodnie. Jeśli uda mi się ustąpić i umożliwić jej robienie tego, co powinna robić, moja rodzina będzie musiała nie tylko docenić jej oddanie dla rodzinnego koncernu, ale również to, że potrafi kierować firmą tak samo dobrze jak mężczyzna. Jak to robił Frank.

Głos mu się lekko załamał. Cierpienie w jego spojrzeniu sprawiło, że Marilyn ścisnęła go za rękę.

Przyciągnął ją bliżej, wdzięczny za to, co mu ofiarowała: ludzki odruch, troskę, zrozumienie.

- Frank był zaręczony z Caroline, kiedy sobie uświadomił, że kocha Kelly - powiedział, przesuwał palcami wolnej ręki po włosach Marilyn. Poruszył jedno pasemko i pozwolił, by opadło na jej policzek. Przebiegł ją dreszcz. Odsunęła się od niego. Wywoływał w niej emocje, na które nie była jeszcze gotowa.

Dotknął jej łokcia i skierował w alejkę, prowadzącą z powrotem do hotelu.

- Caroline była córką dobrych przyjaciół rodziny

ciągnął, jakby czuł gest, na jaki pozwolił sobie przed chwilą wobec Marilyn, nie miał dla niego żadnego znaczenia. Uwierzyłyby w to, gdyby nie jego płonący wzrok. Dziwne, ale świadomość, że był równie poruszony jak ona, wcale jej nie uspokoiła.

- Jeszcze kiedy byli dziećmi, wszyscy uważali za oczywiste - mówił dalej - że w przyszłości się pobiorą. Gdy Frank zerwał zaręczyny, rodzina, to znaczy mój ojciec i dziadek, zagroziła, że go wyrzuci z firmy i zatrudni na jego miejsce mnie.

Skrzywił się.

- Uznałem to za bezpośrednie zagrożenie dla siebie i swojego dotychczasowego życia.

- To znaczy?

- Byłem pilotem cywilnym. - Jego grdyka poruszyła się wyraźnie. - Próbowałem nakłonić Franka, żeby wrócił do Caroline. Właśnie wtedy mi oświadczył, że kocha inną kobietę i zamierza się z nią ożenić. Nie powiedział mi, kim jest ta kobieta, tylko chciał, żebym zabrał ich do Reno prywatnym samolotem. Nie powiedział mi tego, ale podejrzewałem, że chcą potajemnie wziąć ślub.

Marilyn aż zaschło w gardle. Wyobraziła sobie, co było potem. Miała ochotę objąć Douga, ale się powstrzymała.

- Więc zrobiłeś, o co cię poprosił, lot zakończył się lądowaniem awaryjnym i...

- Nie - przerwał jej z posepną miną, kręcąc głową. - Nie zrobiłem tego. Odmówiłem. Miałem nadzieję, że to tylko chwilowe zauroczenie, które mu przejdzie, że wróci do Caroline, która zdawała się naprawdę kochać Franka i była gotowa mu wybaczyć ten „mały romans”. Gdyby do niej wrócił, znów byłby beniaminkiem rodziny, która przestałaby wywierać na mnie presję, żebym objął kierownictwo firmy.

Na chwilę zamknął oczy.

- Frank też miał licencję pilota, ale właśnie kupiłem nowy samolot, którym jeszcze nie latał. Kiedy odmówiłem lotu, bez mojej wiedzy „pożyczył” go sobie i poleciał z Kelly. Niedaleko lotniska w Reno zmuszeni byli do lądowania awaryjnego. Ona przeżyła. On zmarł półtorej doby później. Ojciec w równym stopniu wini za śmierć Franka mnie, jak Kelly.

- I od tej pory uważasz, że powinieneś za to odpokutować.

Wpatrywał się w powyginane gałązki akacji, jakby mógł tam znaleźć odpowiedź.

- Gdybym zrobił to, o co mnie prosił mój brat, nadal by żył, byłoby dwóch pełnoprawnych spadkobierców i cała intryga stałaby się niepotrzebna.

- Nadal niezupełnie rozumiem, czemu teraz jest konieczna.

Przez chwilę przyglądał się Marilyn uważnie, potem przełknął ślinę, ale nie odwrócił wzroku.

- W ostatnich chwilach życia Franka obiecałem mu, że... że zachowam firmę w całości, póki Kelly nie będzie mogła zająć miejsca, które jej się słusznie należy; innymi słowy - do jej trzydziestych piątych urodzin. Znalazłem się w niewygodnym położeniu, ale nie mogłem mu odmówić.

- Przykro mi.

- Mnie też. Mam nadzieję, że ujawnienie, kim jest Kelly naprawdę i kto jest ojcem chłopców, wynagrodzi mojej rodzinie tamtą stratę.

- A ty nie chcesz założyć rodziny, Doug? Nie chcesz mieć własnych dzieci?

Wolno skinął głową.

- Chcę - powiedział. - Obojętne mi, czy będą to córki, czy synowie. Ale zarazem chcę, żeby ich mat-

ką była odpowiednia kobieta. To jeden z powodów rozpadu mojego małżeństwa. Nie pasowaliśmy do siebie, ja i Caroline.

- Caroline? Ta sama, którą miał poślubić twój brat? Skinął głową.

- Wtedy wydawało mi się, że to dobry pomysł.

- Nie wyglądasz na kogoś, kogo rodzina może zmusić do poślubienia kobiety wbrew twojej woli. -

Wystarczy już, że został zmuszony do udawania, że jest zaręczony.

Wzruszył ramionami.

- Byłem młody i głupi.

I, pomyślała Marilyn, uważał, że powinien odpokutować. Poczucie winy, nawet nieumyślnej, jest silnym czynnikiem motywującym.

- Różniliśmy się w kilku zasadniczych kwestiach -ciągnął Doug. - W ogóle nie chciała mieć dzieci, chociaż przyznała to otwarcie dopiero po ślubie.

- Wobec tego twoja rodzina powinna być zadowolona, że się rozwiedliście.

- Nie wiedzą o niechęci Caroline do posiadania potomstwa. Gdybym im powiedział, kategorycznie by zaprzeczyła, więc uznałem, że nie ma co w ogóle o tym wspominać. Chciałem się od niej uwolnić za wszelką cenę, a jeśli przy okazji naraziłem się na dezaprobatę rodziny... cóż, jestem wystarczająco dużym chłopcem, by sobie z tym poradzić. Następnym razem, jeśli w ogóle będzie następny raz, zamierzam być znacznie ostrożniejszy. Chcę, żeby moja żona pragnęła tego samego, co ja.

Prawdziwego domu, pełnego dzieci i zwierząt, gdzieś na wsi.

Spojrzał na skrawek nieba, widoczny między budynkami, przecięty białą smugą, pozostawioną przez odrzutowiec.

-1... - Urwał gwałtownie, opiekuńczo osłaniając Marilyn przed dwójką dzieciaków, jadących chodnikiem na deskorolkach.

- I? - spytała, kiedy dzieciaki ich minęły. Wzruszył ramionami.

- Nic. Chcę, żeby każdy miał to, na co zasługuje: Kelly, jej dzieci, wszyscy.

Wszyscy poza tobą? Marilyn nie powiedziała tego na głos, ale była pewna, że tak właśnie jest.

Ciekawa była, cóż to takiego przez chwilę sprawiło, że jego wzrok stał się tęskny, czego naprawdę oczekiwał od życia.

- Czy znowu będziesz pilotem?

- Nie. Tylko przez parę lat latałem, i to zajmując bardzo podrzędne stanowisko. Teraz jestem już za stary, by rozpocząć karierę pilota. Ten rozdział mojego życia zamknąłem na zawsze.

Przypuszczam, że pozostanę w firmie. - Nie sprawiał wrażenia specjalnie zachwyconego tą perspektywą.

- Nie wolałbyś poświęcić się czemuś innemu? Przez chwilę odnosiła wrażenie, że Doug ma jakieś plany, ale tylko się roześmiał i wzruszył ramionami.

- Nic konkretnego. Ale z przyjemnością zwolniłbym tempo życia. Już samo to oznaczałoby dla mnie... wolność.

- Więc jeśli wszystko się potoczy po twojej myśli, Kelly będzie miała pracę, o której marzy, i zdobędzie uznanie, na jakie zasługuje, a jej synowie zyskają szansę kontynuowania tego, co rodzina Fountainów zapoczątkowała dawno temu.

- Można w skrócie tak to ująć. Chociaż tamta gałąź rodziny nigdy aktywnie nie działała w konsorcjum, jej dziadek wykorzystał część zysków z południowoafrykańskich kopalń złota na zakup udziałów, kiedy Fountains było zaledwie małą siecią domów towarowych.

Mojemu dziadkowi potrzebne były środki na rozwój firmy i zwrócił się do swego brata. Ojciec Kelly, Ira, odziedziczył udziały, ale po rozwodzie połowę z nich musiał oddać swojej byłej żonie. Resztę zostawił Kelly i jej bratu. Ich wartość wzrastała w miarę ekspansji firmy. Ani Kelly, ani Kerry nie muszą pracować. Jednak Kelly chce, i to nie gdzie indziej, tylko właśnie w Jet-Corp, z uwagi na swych synów, gdyby któryś z nich czy też obaj kiedykolwiek chcieli kierować firmą.

Zatrzymał się przed ciemnoniebieskim sedanem i otworzył drzwi od strony pasażera.

- Będę szczęśliwy, kiedy to się skończy, kiedy Jimmy i Joe zajmą wreszcie należne im miejsce w rodzinie. Moi rodzice będą zachwyceni swoimi wnukami.

- Jestem pewna, że wszyscy zainteresowani z ulgą przyjmą zakończenie całej tej sprawy - powiedziała.

Znow ujął jej dłoń w swoje ciepłe ręce.

- Czy do tych „wszystkich” zaliczasz również siebie, Marilyn?

Przez chwilę stała i zagryzała dolną wargę, a potem, sama nie wiedząc dlaczego, skinęła głową.

- Tak. Przez miesiąc będę udawała twoją narzeczoną, Doug.

- Świetnie! - ucieszył się jak dziesięcioletni chłopczyk. Niemal się spodziewała, że Doug poprosi, by przybiła piątkę, ale porwał ją w ramiona i pocałował równie żarliwie, jak ona jego na powitanie.

I wcale nie był to pocałunek dziesięcioletniego chłopca.

4

Niespełna godzinę później Marilyn spoglądała na swoją dłoń, na której palcu błyszczał niezwykle elegancki, kwadratowy szmaragd, otoczony chyba połową brylantów, jakie dziennie przewijają się przez Amsterdam.

- Podoba ci się, kochanie? - spytał czule Doug na użytek jubilera.

Uniosła wzrok, też dla zachowania pozorów przed sprzedawcą, skinęła głową i powiedziała:

- Jest wspaniały. - Uwaga, którą zamierzała wypowiedzieć jasno, dobitnie, jak w rozmowie dwojga ludzi interesu, bardziej przypominała ciche westchnienie.

- Tak samo jak ty, najdroższa. - Doug uniósł jej dłoń, pocałował ją, a potem pochylił się i złożył na ustach Marilyn jeszcze jeden pocałunek, co przychodziło mu nadzwyczaj łatwo.

Kiedy skończył ją całować, musiała przytrzymać się jego ramienia, bo czuła, że uginają się pod nią nogi. W kółko sobie powtarzała, że wszystko to robią przez wzgląd na jubilera.

Nim parę minut po czwartej Marilyn weszła do swego biura, ostrożnie zsunęła pierścionek i włożyła go z powrotem do pudełeczka, które schowała na samo dno torebki.

- No i jak? - spytała Josie. - Gdzie pierścionek? Marilyn spojrzała na przyjaciółkę zdziwiona, a potem machnęła jej przed nosem ręką, z której zdjęła pierścionek.

- Dlaczego pomyślałaś, że się zgodzę? Josie wyszczerzyła zęby w uśmiechu.
- Cóż, chociażby z uwagi na ten miesiąc miodowy w domku Edwina. Więc pytam jeszcze raz: gdzie pierścionek?
- Jest zbyt fikuśny, żeby go nosić. Mam go w torebce. Josię wybuchnęła śmiechem.
- Aha... Okazało się, że to jednak D. Fountain senior, szukający damy do towarzystwa, bo jego żona musi mieć przynajmniej pięćdziesiąt pięć lat, a to wystarczający powód, żeby ją zastąpić kimś młodszym. Ale zanim to nie nastąpi, nie możesz nosić pierścionka. Mam rację?
- Nie. Chodzi o młodego Fountaina, kupił mi ogromny pierścionek zaręczynowy i płaci dziesięć procent więcej, niż wynosi stawka, żeby przez następny miesiąc udawała jego narzeczoną.
- Żartujesz!

Marilyn rzeczywiście żartowała, przynajmniej jeśli chodzi o wynagrodzenie. Nie zamierzała brać pieniędzy za tę drobną przysługę.

- Nie. Chcesz zobaczyć?

Marilyn wyciągnęła z torebki pokryte aksamitem pudełeczko, otworzyła je i pokazała pierścionek.

- Wielkie nieba! Nie możesz tego chować w torebce, jakby to była jakaś błyskotka za grosik.
- Myślę, że jest tam bezpieczniejszy niż na moim palcu, gdzie może go każdy zobaczyć, kiedy będę go musiała nosić. O ile w ogóle zajdzie taka konieczność.

Josie cofnęła się o krok, przyglądając się uważnie Marilyn, jakby ją podejrzewała o nadużycie napojów wysokowych.

- O ile zajdzie taka konieczność? Na przykład kiedy zabierze cię do domu, by przedstawić rodzicom? Albo gdy będziecie razem szli środkiem nawy?

-Już poznałam jego dziadka, bardzo miłego, chociaż nieco despotycznego dziewięćdziesięcioletniego staruszka, ale nie sądzę, by się zanosilo na to, że razem będziemy szli środkiem nawy. Już prędzej środkiem sklepu, w którym kupił to cacko, żeby go zwrócić.

- Aha, czyli ślub nie wchodzi w rachubę. Żadnych „chwilowych niedogodności”? Naprawdę mnie rozczarowałaś, Marilyn. Myślałam, że każda kobieta ma swoją cenę. A propos, cóż to za niezwykle lukratywna oferta, którą zamierzał złożyć odpowiedniej kobiecie?

Nie było o tym mowy, ale Marilyn na poczekaniu wymyśliła odpowiedź.

- Pół miliona rocznie dla odpowiedniej kandydatki przez okres nie przekraczający pięciu lat, chyba że obie strony, on i „zleceniobiorczyni”, pod koniec obowiązywania umowy wspólnie zadecydują inaczej. I oczywiście premia w wysokości rocznego wynagrodzenia za urodzenie każdego z dwóch synów.

- Pół melona rocznie? - Oczy Josie zrobiły się okrągłe ze zdumienia. - I dodatkowy milion za dwójkę dzieciaków? - Zatrzepotała rękami, poprawiła włosy i spytała z uśmiechem: - Jesteś gotowa przebić tę ofertę, żeby mnie zatrzymać w firmie?

Marilyn bardzo chciała wierzyć, że jej chwilowe oburzenie wywołała myśl o utracie Josie, ale wiedziała, że oszukuje samą siebie.

- Nie. Zresztą i tak się nie kwalifikujesz.

- Nie? A czemuż to? Czy w ciągu ostatnich pięciu minut przemieniłam się w wiedźmę? - Skrzywiła się, zmierzwiła włosy i nachyliła się do Marilyn, wyciągając ku niej rozczapierzoną rękę.

Marilyn się roześmiała. Wiedziała, że Josie to prawdziwy skarb, dlatego dobrze jej płaciła.

- Nie kwalifikujesz się z uwagi na stan cywilny.

Josie poszła za nią do gabinetu, po drodze poprawiając włosy.

- To drobiazg. Nie myślisz, że Ron chętnie się ze mną rozstanie, jeśli zgodzę się podzielić z nim swoim wynagrodzeniem? Powiedzmy za pięć, dziesięć procent?

Marilyn uśmiechnęła się szeroko.

- Nie wiem. Czemu nie zadzwonisz i go nie spytasz? Josie się roześmiała.

- Ani mi to w głowie! Jeszcze potraktuje to poważnie. Chciałby wreszcie spłacić kredyt hipoteczny, obciążający sklep.

Marilyn doskonale wiedziała, że to nieprawda. Dla nikogo nie było tajemnicą, jak bardzo kochają się Ron i Josie. Często im zazdrościła.

Josie przyglądała się swojej dłoni, jakby wyobrażała sobie na palcu pierścionek ze szmaragdem, otoczonym brylantami, zamiast zwykłej, złotej obrączki i pierścionka z pojedynczą cyrkonią.

- Pozwolisz mi go przymierzyć? - spytała. Marilyn dziwnie nie miała na to ochoty i wsadziła pierścionek z powrotem do pudełeczka, udając, że nie usłyszała pytania.

- Josie, musisz zachować dyskrecję, jeśli chodzi o te niby-zaręczyny - powiedziała. - To wszystko tylko zabawa i oficjalne ich ogłoszenie absolutnie nie wchodzi w grę. Ma to jedynie uspokoić dziadka Douga do czasu... - Urwała. - Przez jakiś czas.

- Dlaczego?

Marilyn przecząco pokręciła głową. - To tajemnica. Nic więcej nie mogę powiedzieć na ten temat.

- Trudno. - Josie wzruszyła ramionami. - Ale będziesz się pokazywała w towarzystwie tego bogatego, przystojnego kawalera?

- Tylko wtedy, kiedy będzie to absolutnie konieczne. Na przykład jeśli będzie brał udział w jakiejś imprezie towarzyskiej, gdzie uzna moją obecność za stosowną. Ale, jak już powiedziałam, nie będzie oficjalnego ogłoszenia naszych zaręczyn. Po pierwsze, jego rodzice wyjechali, a po drugie, zakomunikowałam jego dziadkowi, że jeszcze nie zawiadomiłam o niczym mojej matki. Josie, która wiedziała wszystko o stosunkach Marilyn z matką, roześmiała się.

- Mam nadzieję, że biedny staruszek nie czeka, wstrzymując oddech, aż to zrobisz.

- Przypuszczam, że nie. Sprawia wrażenie ukontentowanego, że jego wnuk postawił przynajmniej jedną nogę na ślubnym kobiercu.

- A niech cię! - Josie spojrzała na Marilyn ze zdegustowaną miną. - Jesteś tak mało romantyczna. Miałam nadzieję, że ujrzę na twoim palcu olśniewający pierścionek, a w twoich oczach blask, tymczasem pierścionek jest w torebce, a ty wyglądasz na całkowicie obojętną.

- A czym mam się przejmować? W całej tej hecy chodzi o to, by zamydlać oczy dziadkowi, póki nie powiedzie się plan, przygotowany przez Douga. Jak powiedziałam, to czysty interes. Josie obrzuciła ją przeciągłym spojrzeniem.

- Mogę ci jedynie poradzić: uważaj, Marilyn. Doug Fountain cieszy się opinią playboya, jak już wcześniej wspomniałam.

- A ja już ci mówiłam, że całkiem dobrze potrafię się o siebie troszczyć. I jestem odporna na wdzięki mężczyzn w rodzaju Douga Fountaina. Josie zachichotała.

- Obyś się nie pomyliła.

Nim Marilyn zdążyła jej odpowiedzieć, Josie się odwróciła, żeby odebrać telefon. Marilyn weszła do swo-

jego gabinetu, gdzie czekał na nią stos korespondencji.

Jednak kiedy zamknęła za sobą drzwi, nie mogła się oprzeć, by nie wyjąć pierścionka z torebki i nie wsunąć go z powrotem na palec. Przez chwilę, przypominając sobie pocałunek u jubilera, była pewna, że w jej oczach musiał się odbijać blask brylantów.

Cieszyła się, że Josie tego nie widzi. I Doug. Mogła liczyć na bardzo niewiele okazji towarzyskich w ciągu najbliższych czterech tygodni, podczas których Doug zażyczy sobie jej obecności.

Prowadziła niebezpieczną grę. Czuła się tak, jakby właśnie wysiadła z wyciągu krzeselkowego i miała przed sobą stromą i nieznaną trasę narciarską; bez względu na wiraje i oblodzone fragmenty stoku wiedziała, że nie może się wycofać. I jak narciarz, szykujący się z pochyloną głową do karkołomnego zjazdu, czuła dziwne podniecenie. Niecierpliwie czekała, co ją czeka za zakrętem, a z jej twarzy ani na chwilę nie schodził uśmiech.

Josie już dawno poszła do domu, ale Marilyn nadal siedziała przy komputerze, zajęta uzupełnianiem wciąż rozrastającej się bazy danych fundacji WÓZEK. Sprawiało jej to ogromną satysfakcję, była dumna z tego, co udało im się osiągnąć, jednak zawsze pozostawało tyle rzeczy do załatwienia.

Rhonda, która zazwyczaj wprowadzała dane, w zeszłym tygodniu złamała rękę i nie mogła pisać.

Marilyn próbowała ją zastępować, jednocześnie wykonując swoje zwykłe obowiązki.

Mieli do pomocy kilku wolontariuszy, jednak nadal fundacja pochłaniała większość wolnego czasu Marilyn.

Była zadowolona, kiedy zadzwonił telefon i mogła na chwilę oderwać się od pracy.

- Perfect Partners, mówi Marilyn Ross.

- Cześć. - Nie musiał się przedstawiać, i tak go poznała. Jego niski głos działał na nią kojąco.
- Nie spodziewałem się, że odbierzesz telefon - powiedział Doug.

Nie mogła się nie roześmiać.

- W takim razie czemu zadzwoniłeś?
- Żeby zostawić wiadomość na automatycznej sekretarce.
- To się da zrobić. Rozłączmy się, zadzwoń jeszcze raz, a ja nie podniosę słuchawki. Włączy się automatyczna sekretarka i...
- Marilyn.
- Słucham?

Dosłyszała rozbawienie w jego głosie.

- Wolę porozmawiać z tobą niż z automatem. Dlaczego o tej porze jeszcze jesteś w pracy? Nie wiesz, że już po dziesiątej? - Zapytał o to z taką troską, jakby naprawdę była jego narzeczoną.

Nie zdawała sobie sprawy z tego, że jest tak późno.

- Staralam się nadgonić zaległości, jakie powstały w WÓZKU.
- Zabrzmiało to bardzo poważnie. Jesteś pewna, że nie prowadzisz warsztatu samochodowego?

Marilyn się roześmiała.

- Czasem tak się czuję. Bywa, że sprawy kręcą się w kółko i nie postępują naprzód. - Przez chwilę milczała, nim spytała: - Przypuszczam, że miałeś jakiś powód, żeby zadzwonić?
- Zapomniałem wziąć od ciebie numeru telefonu domowego, a nie mogę go znaleźć w książce telefonicznej. Nie wiem, gdzie mieszkasz, w książce są ze trzy tuziny M. Ross, nie wspominając o Michaelach, Muriel, Marjorie, jest nawet jeden Manuel. Zapomniałem ci też dać swój numer do domu. Zamierza-

łem zostawić go na twojej automatycznej sekretarce.

Powiedziała mu, gdzie mieszka, dała mu swój telefon domowy, a potem on podyktował jej trzy numery do siebie: na prywatną linię do biura, do domu i na komórkę.

-Pod tym ostatnim złapiesz mnie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Nie zamierzam w najbliższym czasie dzwonić do ciebie o trzeciej nad ranem - powiedziała.

Zachichotał.

- Ależ nie krępuj się. Myślę, że sprawiłoby mi to przyjemność. Chociaż - dodał - nie tak wielką, jak zabranie cię gdzieś na drinka, drobną przekąskę czy choćby na kawę.

- Ale przecież...

- Żadnych ale. Ja też jeszcze siedzę w biurze, obydwójce dość się napracowaliśmy jak na jeden dzień. Jestem niedaleko. Mogę być u ciebie za dziesięć minut i razem gdzieś się wybierzemy.

To znaczy gdzie? chciała spytać Marilyn. I po co?

Żeby porozmawiać, wytłumaczyła sobie szybko. Chodzi mu wyłącznie o rozmowę.

Nie było żadnego powodu, żeby snuć jakieś szczególne domysły, bo z całą pewnością ton jego głosu niczego nie sugerował. Była zmęczona i może dlatego trochę przewrażliwiona. Swoje znaczenie miało również to, że nie mogła zapomnieć, jak działały na nią jego pocałunki.

- Możesz mi coś opowiedzieć o Marilyn Ross - zaproponował - na wypadek, gdyby ktoś mnie zapytał o jakieś szczegóły z jej życia.

Uznała, że to całkiem zrozumiałe, że Doug chce o niej wiedzieć coś więcej, skoro ma mu towarzyszyć tu i tam, udając jego dziewczynę. Choć z drugiej strony będzie „narzeczoną” tylko wtedy, kiedy w pobliżu pojawi się dziadek Douga, co wydawało się mało praw-

dopodobne. Dziewięćdziesięciopięcioletni mężczyźni na ogół niezbyt udzielają się towarzysko.

- A. więc za dziesięć minut - rzuciła, wstając. - Spotkamy się przed moim biurem. - Zdaży przyczesać włosy i poprawić makijaż.

Chcesz się zrobić na bóstwo? spytała swego odbicia w lusterku. Na kim próbujesz zrobić wrażenie, Marilyn? Na mężczyźnie, który złamał serce tylu kobietom?

Już raz przeżyła coś takiego i wyciągnęła wnioski z tej lekcji. Jak zapewniała Josie, traktowała całą tę maskaradę jak interes.

Kiedy pojawiła się przed wejściem frontowym, Doug już na nią czekał. Poczowała się jakoś dziwnie, kiedy ujął jej dłoń i pociągnął ją w kierunku swojego samochodu, zaparkowanego niedaleko jej wozu.

- Czy wybieramy się gdzieś na tyle blisko, by móc tam pójść spacerkiem? - spytała. - Czuję się tak, jakbym za długo przebywała w klimatyzowanym pomieszczeniu.

Prawdę mówiąc, nie chciała się znaleźć z Dougiem sam na sam w samochodzie. Nawet na świeżym powietrzu czuła zapach jego płynu po goleniu, jakby dopiero co się nim spryskał. Wystarczyło jedno spojrzenie, by stwierdzić, że był świeżo ogolony.

Nie mogła powstrzymać uśmiechu. A więc nie tylko ona chciała wypaść jak najkorzystniej. Ta myśl poprawiła jej nastrój.

Wziął ją pod rękę.

- Wiem, jak się czujesz. Kiedyś codziennie godzinę biegałem, ale teraz nie mam na to czasu. Staram się chodzić do pracy na piechotę, jednak rzadko mogę sobie na to pozwolić.

- Też chciałabym móc chodzić pieszo do pracy, ale mieszkam w Burnaby, czyli trochę za daleko, by urządzać sobie poranne przechadzki.

- Fountains, tam, gdzie jedliśmy obiad, jest stosunkowo blisko. Możemy jeszcze raz pójść do Fountainhead, jeśli masz ochotę. Jest też inne miejsce, równie przyjemne, gdzie można zjeść coś lekkiego.

Przypomniała sobie, jak powiedział: „Będę u ciebie za dziesięć minut, razem gdzieś się wybierzemy”. Na szczęście pamiętała również swoją reakcję na te słowa, które mogły mieć jakieś ukryte znaczenie, ale prawdopodobnie były pozbawione jakiegokolwiek podtekstu. Jednak wołała tego nie sprawdzać. Jeśli Doug ma na myśli kieliszeczek czegoś przed snem i przekąskę w swoim prywatnym apartamencie, to się rozczaruje. Wiedziała, że będzie musiała narzucić sobie bardzo surowe reguły postępowania i ściśle się ich trzymać. I to wcale nie dlatego, żeby mu nie ufała, ale dlatego, że w jego obecności traciła umiejętność prawidłowej oceny sytuacji. Nie miała też pewności, czy zdoła się oprzeć jego niewątpliwie nieprzeartemu urokowi osobistemu.

Aż za dobrze znała niebezpieczeństwa, jakie grożą kobiecie, jeśli pożądaniu nie towarzyszy prawdziwe uczucie.

Nie pozwoli, żeby znowu ją to spotkało.

Przeszli kilkadziesiąt metrów w milczeniu. Marilyn przemówiła pierwsza.

- Rozumiem, że jesteś bardzo zajęty?

Ciekawa była, czy w jego życiu starcza miejsca na żonę, jeśli kiedykolwiek znowu będzie ją miał.

Wiedziała z podsłuchanej rozmowy, że dziećmi ma się zajmować niania. Cóż, nie powinna się na ten temat wypowiadać. Ją też wychowywały nianie i jakoś przeżyła.

Zaczęło mżyć. Marilyn zamrugała, by strącić z rzęs kropelki dżdzu i móc lepiej się przyjrzeć twarzy Douga. W pomarańczowym świetle latarń sprawiał wrażenie spiętego, zmęczonego.

- Prowadzę... sterylne życie - wyznał.

- Może wkrótce się to zmieni - odparła i z przyjemnością stwierdziła, że trochę się odprężył. Znowu zadała sobie pytanie, co jest jego prawdziwym powołaniem, jeśli nie prowadzenie rodzinnej firmy. Nie powinno jej to tak bardzo interesować, ponieważ wątpliwe, by po miesiącu fikcyjnego narzeczeństwa kiedykolwiek jeszcze spotkała Douga. A jednak chciała dowiedzieć się o nim czegoś więcej: czego naprawdę pragnie, co mu sprawia przyjemność, co lubi, a czego nie. Chciała wiedzieć, jak sobie wyobraża swoje życie za dziesięć lat.

- Miejmy nadzieję - powiedział. Nutka desperacji w jego głosie niemal skłoniła ją do zadania pytania o jego marzenia, ale akurat znaleźli się pod szeroką markizą przed wejściem do hotelu. Dwóch portierów w liberjach otworzyło przed nimi szklane tafle, obramowane złotą framugą, których w żadnym razie nie powinno nazywać się drzwiami, bo określenie to było zbyt prozaiczne.

Pozdrowił obu portierów, zwracając się do nich po imieniu, a potem wrócił do rozmowy z Marilyn.

- Jeśli mój plan się powiedzie, będę miał wobec ciebie tak wielki dług wdzięczności, że nigdy nie uda mi się go spłacić - oznajmił, kiedy szli obok szemrzącej fontanny, jakie znajdowały się w holu każdego hotelu Fountain. Mniejsza kopia tej, która była przed budynkiem, wyrzucała trzy strumienie wody, połyskujące w świetle wielkiego, kryształowego żyrandola, zawieszzonego u sufitu, znajdującego się na wysokości drugiego piętra.

Weszli po szerokich, marmurowych stopniach do restauracji na antresoli, Arboretum, gdzie przyćmione światło padało na tropikalne rośliny, pozostawiając w cieniu stoliki, oświetlone jedynie migotliwymi płomykami świec. Z wielkich klatek, rozmieszczonych na sali, dobiegał świergot i trzepot skrzydeł barwnie upierzonych ptaków.

- Pański stolik jest nakryty.

Marilyn ciekawa była, czy personel, przyzwyczajony do tego, że Doug pojawia się w lokalu o każdej porze dnia i nocy, stale trzyma dla niego przygotowany stolik, czy też Doug ów stolik specjalnie zamówił.

Kelnerka zaprowadziła ich do stolika w kącie, osłoniętego szerokolistnymi paprociami, pod oknem, za którym widać było światła samochodów, sunących ulicą. Podała Marilyn jadłospis, ale ta pokręciła głową.

- Dziękuję. Dla mnie tylko kawa. - Jednak w tej samej chwili zaburczało jej głośno w brzuchu, co było z pewnością reakcją na zapachy, roznoszące się po sali.

Doug się uśmiechnął. Od razu odmłodził o kilka lat. Marilyn pomasowała się po żołądku.

- Przepraszam. Nie zjadłam kanapki, którą przyniosła mi sekretarka. Byłam zajęta i na śmierć o niej zapomniałam.

Zachichotał.

- W takim razie proponuję filet z dzikim ryżem, pieczarkami i świeżymi szparagami.

Marilyn zaprotestowała. Nie lubiła się zbytnio objadać na noc.

Wzruszył ramionami.

- Niech będzie. Charles robi wyśmienite omlety, a to z pewnością nie jest ciężkostrawne. Co ty na to?

I na lampkę wina, żebyś się odprężyła?

Marilyn nie widziała w jadłospisie żadnych omletów.

- Jestem odprężona.

Uśmiechnął się i przez moment odniosła dziwne wrażenie, że gdzieś, kiedyś, już go spotkała. W poprzednim życiu, powiedziałyby Rhonda.

Rhonda była mistyczką. Dorabiała sobie, wróżąc ze wszystkiego: kolorowych kamyków, kart do tarota, fusów herbacianych. Kiedy razem z Marilyn wyjechała

z Bostonu, zostawiła tam wielu zawiedzionych wiernych klientów.

- Nieprawda. Siedzisz na skraju krzesła, zastanawiając się, co tu robisz, kiedy ja pokażę swoje prawdziwe oblicze i dlaczego nie potrafiłem w zwyczajny sposób znaleźć sobie partnerki.

Ponieważ wszystko, co powiedział, było absolutną prawdą, Marilyn się roześmiała i rozsiadła wygodniej na krześle, a ręce położyła na stoliku.

- Masz rację. Może w takim razie zaspokoisz moją ciekawość?

Pokręcił głową.

- Najpierw musisz zjeść, wypić i być przynajmniej miła, jeśli nie wesoła.

Uśmiechnęła się.

- Widzę, że nie zostawiasz mi wyboru, chociaż myślałam, że cały czas jestem miła.

- Masz rację. Od chwili, kiedy cię ujrzałem, zachwycasz mnie i zdumiewasz, nie wspominając o innych emocjach, które wywołałaś swoim pocałunkiem.

Marilyn żałowała, że jej o tym przypomniał. Starła się zapomnieć nie tylko o tym pierwszym pocałunku, ale również o tym po obiedzie, jak również tym u jubilera. Jeśli jej pocałunek tak na niego podziałał, jemu też się udało kompletnie ją oszołomić.

- No dobrze, w takim razie wezmę omlet z ziołami -zwróciła się do kelnera.

W ciągu następnych trzydziestu minut Marilyn czuła, że coraz bardziej ulega urokowi Douga, zabawiającego ją anegdotkami o pracy, swoich bratankach i ich psikusach. Rozśmieszał ją tymi historyjkami, a miłość, jaką niewątpliwie darzył chłopców, sprawiła, że polubiła go jeszcze bardziej.

W połowie pierwszego kieliszka wina znalazła od-

powieź na swoje pierwsze pytanie: co tu z nim robi. Ale nadal chciała dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

Odpowiedź na drugie pytanie uzyskała, kiedy podziękowała za drugą lampkę wina z uwagi na to, że prowadziła samochód, a on zaproponował, że zamówi dla niej taksówkę, zaś jej wóz odstawi rano, nim będzie musiała wyjść z domu do pracy. Pokazał swoje prawdziwe oblicze.

Miała przed sobą mężczyznę, który poświęcił swoje własne pragnienia, by zadośćuczynić życzeniom rodziny, zachowywał w sekrecie fakt, którego ujawnienie prawdopodobnie pozwoliłoby mu robić to, na co ma ochotę, cokolwiek to było, i podkrađa bułeczki, by karmić nimi ptaki.

Jeśli takie było jego prawdziwe oblicze, absolutnie jej ono odpowiadało.

Kontynuowali ożywioną rozmowę, kiedy Marilyn jadła swój omlet, a on - stek. Dopiero kiedy kelner przyniósł talerz cieniutkich wafli czekoladowych i waniliowych, dzbanek parującej kawy, którą rozlał do filiżanek z delikatnej porcelany, a potem odszedł, Doug poprosił:

- A teraz opowiedz mi coś o Marilyn Ross. Ale zacznij od tego swojego wózka.

- Jeśli zacznę mówić o nim, nie skończę do rana.

- Nie mam nic przeciwko temu - zapewnił i nachyliwszy się, podparł rękoma brodę. - Co to za wózek, co się za tym kryje i co masz z tym wspólnego?

- WÓZEK to fundacja, której mottem jest: „Dzięki naszym wózkom każde dziecko żyje bezpiecznie”

- powiedziała Marilyn tonem, jakim zwykle przemawiała do tych, o których wsparcie zabiegała. -

Początkowo ułatwialiśmy zdobywanie wózków i protez dla dzieci, które potrzebują ich równie często, jak zdrowe dzieci potrzebują nowych rowerów czy butów. Ale podczas sześciu lat istnienia znacznie poszerzyliśmy zakres świadczonej pomocy.

Doug przechylił głowę na bok.

- Na przykład?

- O komputery, nowoczesne skanery, „czytające” teksty uczniom z wadami wzroku, specjalne respiratory dla dzieci, mających trudności z oddychaniem, nawet o specjalistyczną terapię, niedostępną na danym terenie. Czasem również transport do ośrodków medycznych, dokonujących przeszczepów, bez których dzieciom grozi śmierć. Wiele niepełnosprawnych dzieci wychowuje się w rodzinach zastępczych, ale nie zostają adoptowane. W dużym stopniu spowodowane jest to tym, że ewentualni chętni do adopcji nie mogą podjąć ciężarów, jakie pociąga za sobą kalectwo dziecka. Świadomość, że mogą liczyć na konkretną pomoc, ułatwia im podjęcie decyzji.

- Myślałem, że państwo płaci za wszystko, co jest potrzebne niepełnosprawnym dzieciom.

Marilyn pokręciła głową.

- Cięcia budżetowe stopniowo ograniczyły tę formę pomocy. Podatników zwyczajnie na to nie stać. I właśnie tam wkracza fundacja. Próbujemy łączyć dziury, pomagać najbardziej potrzebującym.

Jego uśmiech pełen był niekłamane podziwu.

- I sama tym wszystkim kierujesz?

- Gdzież tam - zaprzeczyła. - Współpracują ze mną liczni wolontariusze, fundacja zatrudnia też jedną osobę na niepełny etat, Rhondę Mtumbi, która jest również moją najbliższą przyjaciółką. Ale ja założyłam fundację.

- Jak wpadłaś na ten pomysł?

- Freddy, mój były mąż, uległ poważnemu wypadkowi i trafił do ośrodka rehabilitacyjnego. Często go tam odwiedzałam i spotykałam wielu rodziców niepełnosprawnych dzieci, głównie z urazami kręgosłupa, cza-

sem wrodzonymi, czasem będącymi następstwem wypadków. Wielu z nich boryka się z kłopotami finansowymi, ponieważ mają jeszcze zdrowe dzieci o nie mniejszych potrzebach, chociaż może nie tak pilnych, i inne zobowiązania, na przykład spłacają wysokie kredyty czy muszą pomagać swoim starym i schorowanym rodzicom. Większość z nich miała sponsorów, na których w razie czego mogła liczyć. Pewnego dnia zaczęliśmy się w stołówce wymieniać pomysłami i tak się to zaczęło.

- Czy twój mąż odzyskał w pełni zdrowie?

- Jasne. Zdobył dla amerykańskiej drużyny jeszcze trzy puchary w biegach zjazdowych.

Przez chwilę przyglądał się jej, trzymając filiżankę z kawą w powietrzu.

- Byłaś żoną Freddy'ego Rossa? Uniosła brwi.

- Tak. Sprawiasz wrażenie zaskoczonego.

- Bo jestem zaskoczony. Wydajesz się kobietą z klasą, trudno mi sobie wyobrazić, że mogłaś być żoną faceta, który z takimi błędami gramatycznymi zachwalał w reklamach telewizyjnych dezodoranty i szampony.

Marilyn się roześmiała.

- Freddy tylko udawał, próbując udowodnić, jaki z niego równy gość. A ty - dodała - powiedziałeś to zupełnie jak moja matka, którą zaliczam do grona największych snobek na świecie. „Moja droga Marilyn, ten chłopak naprawdę nie należy do naszej sfery”. Oceniając to z perspektywy, uważam, że właśnie to mnie tak w nim pociągało i było prawdopodobnie głównym powodem, że za niego wyszłam.

Doug spojrział na nią wyraźnie dotknięty.

- Nie jestem snobem. Po prostu nie pasujesz mi na żonę sportowca.

- Byłą żonę - zwróciła mu uwagę. - Zakochałam się

bez pamięci, a Freddy'emu chyba podobał się pomysł małżeństwa ze mną. Dla niego żona była jeszcze jedną wielbicielką, która miała taki plus, że można było z nią sypiać i trener nie miał nic do gadania. Ale Freddy był przyzwyczajony do sypiania z coraz to inną dziewczyną. Małżeństwo trochę mu w tym przeszkadzało. Zgodnie stwierdziliśmy, że nie ma sensu dłużej tego ciągnąć, kiedy zakończył rehabilitację i mógł wrócić do drużyny. Byłam pochłonięta zakładaniem fundacji i nie miałam ochoty znów mu towarzyszyć podczas zawodów. Lubię mieć dużo pracy, a dwa lata jeżdżenia z naszą reprezentacją narciarską uważam za najnudniejsze w swoim życiu. A skoro już mowa o nudzie - rzekła, wstając. - Nie przyszłam tu, żeby cię zanudzać opowieścią o swojej fundacji. Odprowadź mnie do samochodu. Po drodze możesz mi wyjaśnić, co, twoim zdaniem, powinieneś jeszcze o mnie wiedzieć.

5

- Przypuszczam, że chyba wiesz, że to był tylko pretekst, żebyś zgodziła się ze mną spotkać - powiedział Doug, rzucając na stół kilka banknotów, co ją zdziwiło, bo myślała, że mógł jeść za darmo w każdej restauracji któregośkolwiek hotelu Fountain. - Zamierzam dowiedzieć się wszystkiego o tobie w sposób naturalny - dodał, pomagając jej włożyć cienki płaszcz przeciwdeszczowy. Odwrócił ją twarzą do siebie i wciąż trzymając dłonie na jej ramionach, dokończył: - Spędzając czas w twoim towarzystwie. - Wsunął rękę pod jej włosy i wyciągnął je spod kołnierza, wywołując u Marilyn przyjemny dreszcz w całym ciele i gęsią skórę na ramionach.

Marilyn udała, że jego dotyk nie zrobił na niej najmniejszego wrażenia. Uniosła brwi.

- O ile dobrze sobie przypominam, masz konkretne, ściśle określone wymagania wobec swej niby-narzeczonej. Mówiłeś swojej sekretarce, że kobieta, której szukasz, powinna mieć miłą aparycję, być zdrowa, obyta towarzysko, zdolna do rodzenia dzieci i gotowa obdarzyć cię synem, może dwoma. Nie chcesz z góry wiedzieć, czy spełniam te warunki?

Zrobił wielkie oczy. Otworzył usta, potem je zamknął, jakby chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Zacisnął usta i westchnął, wyraźnie zmieszany.

Jego zakłopotanie sprawiło Marilyn prawdziwą przyjemność. Szła przed nim przez restaurację i hol. W połowie drogi do wyjścia, obejrzawszy się przez ramię, rzuciła:

- Czy nie wspomniałeś też coś o niani, która miałaby zająć się wychowaniem rzeczonych dzieci, co oznaczałoby dla ich matki tylko czasową niedogodność? Za którą będzie bardziej niż hojnie wynagrodzona, zanim zostanie splawiona?

Dougowi wymknęło się soczyste przekleństwo, aż recepcjonista uniósł głowę. Doug nawet na niego nie spojrział. Kiedy znaleźli się przed hotelem, gdzie nikt ich już nie mógł podsłuchać, złapał Marilyn za ramię, zmuszając do zatrzymania się.

- Przysięgam - powiedział z wesołymi iskierkami w oczach - że wyleję tę babę z pracy! Albo ją zamorduję. Nie powinnaś niczego usłyszeć.

Marilyn głęboko zaczerpnęła świeżego powietrza. Chodnik był mokry, ale już nie padało. Roześmiała się.

- Była pewna, że niczego nie słyszę.

- Jasne! - Uderzył się dłonią w czoło. - Powinienem mieć więcej oleju w głowie. Kazałem założyć nowe telefony, żeby ułatwić Emmie życie. Ale od pierwszego dnia okazało się to jedną wielką katastrofą. Nie pierwszy raz zdarzyła nam się taka wpadka. Co dokładnie usłyszałaś?

- Wszystko - odrzekła ze śmiechem. - Zaczynając od tego, jak cię poinformowała, że jej zdaniem chyba niezupełnie wiesz, czym się zajmuje firma Perfect Partners. Już miałam się przyznać, że wszystko słyszę, kiedy zaczęłaś się zgrywać, że jesteśmy „agencją towarzyską”, swego rodzaju biurem pośrednictwa dla dziewczyn na telefon, przyzwyczajonych do sprzedawania swoich wdzięków. Tak mnie to zaintrygowało, że słuchałam dalej. A potem pojawił się twój dziadek i zacząłeś swoje małe przedstawienie.

Na chwilę zasłonił oczy dłonią.

- O Boże! - Znów spojrział na Marilyn, uśmiechając się zawstydzony. - To sprzedawanie własnych wdzięk-

ków... Proszę, uwierz mi, że wiem i zawsze wiedziałem, czym zajmuje się twoja firma. Podpuszczałem Emmę. Jest staroświecka i nic się jej nie podoba, jak całej starej gwardii. Czasem wprost nie mogę się oprzeć, by sobie z niej nie zadrwić. Pracuje u nas od zawsze, zbliża się do wieku emerytalnego i byłoby okrucieństwem zwolnienie jej teraz, chociaż właściwie nie ma z niej żadnego pożytku. Nie wie o tym, ale, prawdę mówiąc, jest recepcjonistką, siedzącą w moim sekretariacie.

Obowiązki sekretarki wykonuje kto inny, a główna recepcja znajduje się w holu.

Marilyn nie potrafiła ukryć rozbawienia. Wierzyła mu, że tylko naigrywał się ze swojej sekretarki.

- Więc zatrzymałeś ją i bezlitośnie sobie z niej kpisz?

- I kto to mówi - zauważył. - Pamiętasz, jak wyglądała kobieta, na którą czekałem przez kilka godzin, pełen niepokoju?

Marilyn uśmiechnęła się szeroko.

- Uważałam, że sobie na to zasłużyłeś. Roześmiał się.

- Być może. - Przystanął na chwilę, zmuszając Marilyn do zatrzymania się, i przyjrzał się jej od stóp do głów w świetle latarni. - Ale cieszę się, że wyglądasz tak, jak wyglądasz.

Musiła odwrócić wzrok, bo nie mogła znieść jego spojrzenia.

Po chwili spytała, pragnąc za wszelką cenę zmienić temat rozmowy:

- Doug, a co będzie, jeśli twoja rodzina nie zaakceptuje Kelly i jej synów?

- Wtedy chyba ostatecznie stracę nadzieję na uwolnienie się od brzemienia, które czasem wydaje mi się tak ciężkie, że boję się, iż się pod nim załamie. - Urwał. - Chyba że...

- Chyba że co?

- Chyba że zgodzisz się być kimś więcej niż moją fikcyjną narzeczoną. Jeśli druga część mojego planu się nie powiedzie, teraz, kiedy cię poznałem, jestem gotów poważnie rozważyć jego pierwszą część, nie traktując jej jedynie jako żartu, wymyślonego na użytek mojej sekretarki.

Marilyn na moment aż zaniemówiła.

- Masz na myśli małżeństwo? - wykrztusiła po dłuższej chwili. - Ze mną?

Zachwiała się, aż ją musiał przytrzymać.

- Jesteś dokładnie taką kobietą, jakiej szukam. Jesteś ładna, obyta towarzysko i... - wyszczerzył zęby w uśmiechu - jestem prawie pewien, że zdrowa.

Po chwili uśmiech zniknął z jego ust, a w jego oczach pojawiło się coś takiego, że Marilyn zaschło w gardle i spocily się dłonie, a serce tak jej zadrżało, jakby była nastolatką. Ale nie była podlotkiem, a on nie był gwiazdą szkolnej drużyny futbolowej i nie zapraszał jej na bal maturalny. Nie żeby kiedykolwiek umawiała się z gwiazdorem futbolu albo została zaproszona na bal maturalny. Takie rzeczy były nie do pomyślenia w szkołach z internatem, do których uczęszczała. Niemniej jednak wiedziała, co to młodzieńcze zauroczenie, i rozpoznała u siebie jego oznaki, chociaż była już zbyt dojrzała, by mu ulec.

Miała prawie trzydzieści trzy lata i wiedziała, że lepiej nie ufać tego rodzaju płomiennym uczuciom. Ponieważ trzymał ją za ramiona i patrzył jej badawczo w twarz, mogła się jedynie skupić na tym, by oddychać, więc wybrała najłatwiejsze pytanie z wielu, które kłębiły się jej w głowie.

- Zasięgałeś informacji o mnie u mojego wujka? Kiedy? Dlaczego?

Doug spojrział na nią poważnie, może nawet przeprasząco.

- Po rozmowie z tobą przez telefon dziś rano, podczas której powiedziałaś, że jest w swoim letnim domku. Jeśli chodzi o odpowiedź na pytanie „dlaczego”, miałem nadzieję, że może cię nakłoni, żebyś zgodziła się mi pomóc.

Marilyn nie odzywała się, więc dodał:

- Odmówił, ale zapewnił mnie, że jeśli zdołam cię do tego namówić, nigdy nie będę żałował.

Zesztywniała, zastanawiając się, czy ma to odebrać jako akceptację wujka Eda dla szalonego pomysłu Douga z fałszywą narzeczoną, czy też że jej wujek nie widział niczego złego w tym, by udawała narzeczoną Douga. Czy też że, gdyby nadal kierował firmą, pomógłby Dougowi znaleźć taką kobietę. Nie chciała wierzyć, że to możliwe, tymczasem Doug ciągnął:

- Dodał również, że ponieważ dorastałaś w kręgach dyplomatycznych, potrafisz się znaleźć w każdym towarzystwie i że studiowałaś języki obce. - Uśmiechnął się. - Kiedy przestał zachwalać twoją inteligencję, zaczął mnie zapewniać, że jesteś kobietą o wyjątkowej urodzie.

Błysnął białymi zębami w czarującym uśmiechu, na jego śniadej twarzy pojawił się doleczek.

- Nie uwierzyłem mu, pamiętając, jak opisałaś samą siebie.

Marilyn jęknęła i odwróciła twarz, by ukryć gwałtowny rumieniec, który oblał jej policzki. To zmusiło Douga do zabrania rąk.

- To rzeczywiście podobne do wujka Eda. - Wybuchnęła śmiechem i spojrzała przeprasząco na Douga. - Jak wszyscy bezdzietni kawalerzy nie jest zbyt lojalny wobec rodziny. Ponieważ jestem jego jedyną sio-

strzenicą, ma skłonności do nadmiernego wychwalania wszystkich moich rzekomych zalet. Doug się uśmiechnął.

- Staram się nigdy nie sprzeciwiać kobiecie, ale nie sądzę, by cokolwiek przesadził. Byłabyś idealną narzeczoną na miesiąc dla każdego mężczyzny, a dla mnie idealną żoną na całe życie. Mówię poważnie, Marilyn.

Słowa Douga sprawiły, że zabrakło jej tchu. Gapiła się na niego, starając się dostrzec żartobliwe iskierki w jego oczach, ale na próżno. To całkowicie wyprowadziło ją z równowagi. Jednak mimo wszystko roześmiała się.

- Daj spokój. Powiedz, że to tylko żart!

- Nic podobnego. Bardzo mi się podobasz. Lubię cię. Odpowiada mi twoja uroda, charakter i... - podszedł bliżej - ...twój zapach.

Cofnęła się, z trudem odzyskując panowanie nad sobą.

- Mój zapach?

- Tak, Marilyn. Dlatego proszę, żebyś za mnie wyszła. Jego słowa, wypowiedziane całkiem poważnie, ucięły

jej śmiech niczym ostrze noża. Odwróciła wzrok, by nie utonąć w brązowych oczach Douga, i wyrwała mu się.

- Nie! - powiedziała. - Wykluczone! Byłam gotowa przez jakiś czas udawać twoją narzeczoną, ale za daleko się posunąłeś, więc, proszę, zostaw mnie w spokoju. Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Powinieneś zwrócić się do jednej z młodych, słodkich idiotek z kręgu swoich znajomych. Jestem pewna, że bez trudu znajdą się takie, które gotowe będą się sprzedać. Mnie to nie interesuje, więc żegnam!

Rzuciła się biegiem w kierunku swojego samochodu, zaparkowanego przy następnej przecznicy.

Dopiero kiedy znalazła się w środku, zablokowała wszystkie drzwi i uruchomiła silnik, uświadomiła sobie, że uciekła nie dlatego, że poczuła się dotknięta propozycją

Douga, tylko dlatego, że przez chwilę miała ochotę potraktować ją poważnie.

Doug patrzył za uciekającą Marilyn. Wiedział, że mógłby ją dogonić. Ale dopiero kiedy przebiegła kilkanaście metrów, podążył za nią bezgłośnie, nie spuszczać jej z oka, póki nie była bezpieczna w samochodzie. Potem, stojąc w cieniu, obserwował, jak odjeżdża. >

Kiedy się znalazł w swoim wozie, rozsiadł się na fotelu i nabrał głęboko powietrza w płuca. Miał wrażenie, że nadal czuje delikatny zapach perfum Marilyn. Czyżby przeniknął z jej ubrania na jego dłoń? Powąchał je. Nie. Istniał tylko w jego wyobraźni. Uruchomił silnik i ruszył, ale nie do domu, tylko z powrotem do biura, wiedząc, że i tak nie uśnie.

W biurze włączył ekspres do kawy. Czekać, aż się zagotuje woda, stał przed przeszkloną ścianą i patrzył na panoramę miasta, od Burrard Inlet aż do North Shore, gdzie coraz to nowe osiedla wyrastały jak grzyby po deszczu.

Zdjął buty, zgasił światło i wyciągnął się na szerokiej, skórzanej kanapie, kładąc głowę na miękkim oparciu. Z tego miejsca obserwował migotliwe światła miasta, przywodzące mu na myśl małe brylanciki w delikatnych, złotych kolczykach, które miała w uszach Marilyn.

Rzuciły refleksy za każdym razem, kiedy poruszyła głowę, odbijały światło świecy, które oplatało Douga niczym nici pajęczyny. Zamknął oczy, żeby nie widzieć światła miasta, ale wspomnienie brylantowych kolczyków pozostało.

W uszach brzmiał mu głos i cichy śmiech Marilyn, widział jej roześmiane, zielone oczy. Miała gładką, białą cerę, ostro kontrastującą z niemal czarnymi włosami. Kelly mówiła, że jej matka, Grace, zawsze określała taki typ urody słowami „irlandzka blondynka”.

Żałował, że bez zastanowienia wyskoczył z tą głupią propozycją. Co, do diabła, go opętało? Skłonił ją, by się zgodziła na pseudozareczyny, a potem wszystko zepsuł tymi oświadczeniami, które można było potraktować jedynie jako absurdalny pomysł, zupełnie nie na miejscu.

Miała prawo mu odmówić. I musi się z tym pogodzić.

Tyle że wcale nie miał zamiaru zrezygnować, poddać się tak łatwo. Podobnie jak nie zamierzał posłuchać jej rady i znaleźć sobie kogoś w swoim własnym kręgu. Po pierwsze, większość panien na wydaniu była dla niego zbyt młoda. Po drugie, chociaż znał mnóstwo kobiet w odpowiednim wieku, panien lub rozwódek, nie odpowiadała mu żadna z nich. Gdyby było inaczej, nie miałby takich trudności ze spełnieniem życzenia dziadka.

Jednak teraz chodziło nie tylko o ultimatum dziadka. Miał swoje własne marzenie, które mogło się wydawać absolutnie nierealne, jeśli uwzględnić, że po raz pierwszy ujrzał Marilyn Ross niespełna dwanaście godzin temu. Ale...

Usiadł* podparł ręce na kolanach, myśląc, planując, rozważając...

Marilyn z pewnością nie należała do kobiet, które można kupić. Był tego tak pewien jak tego, że słońce wschodzi i zachodzi, jak tego, że kiedy za chwilę wciągnie powietrze, znów poczuje jej zapach. Gdyby było inaczej, nie zainteresowałby się nią. A z całą pewnością jej pragnął.

Czy sprowadzało się to tylko do fizycznego pożądania? Cholera, już kiedyś cierpiał z miłości, ale było to dawno. Jednak nie zapomniał nagłej fali żądz, ściskania w dołku, pragnienia przebywania właśnie z tą konkretną kobietą. Rozpoznawał wszystkie objawy zauroczenia. To było jak wirus, a żaden antybiotyk na świecie nie zwalcza wirusów.

Ale... jeśli to wcale nie wirus? Jeśli to... Nie! Odrzucił tę myśl.

Miłość od pierwszego wejrzenia nie istnieje.

Usłyszał czyjeś kroki pod drzwiami do gabinetu, a potem odgłos klucza, przekreślanego w zamku.

Ledwo zdążył wstać i zapalić światło, gdy otworzyły się drzwi i ujrzał na progu swego kuzyna Kerry'ego O'Toole'a. Zataczał się, miał podbite jedno oko, z rany na skroni sączyła się krew, tworząc na twarzy zaschnięte smugi. Czuć było od niego alkohol, krew zaplamiła mu zieloną koszulę i poluzowany krawat. Jeśli dziś wieczorem wyszedł w marynarce, gdzieś ją zostawił.

- Co tu robisz, u diabła? - spytał Doug ostrym tonem, wcale nie zaskoczony żalonym wyglądem kuzyna. Rozwścieczeni mężowie często wyładowywali swoją złość na Kerry'm, tak przynajmniej utrzymywał. Ale zdarzało się to również przyjaciółkom, bramkarzom, a czasem nawet zwykłym przechodniom, którym nie spodobała się jego twarz.

Kerry pozował na „walczącego Irlandczyka”. Posługiwał się panieńskim nazwiskiem matki, O'Toole, do czego miał pełne prawo. Doug podejrzewał, że Kerry traktuje to również jako zabezpieczenie - jeśli będzie nosił to nazwisko, nikt nigdy mu nie zaproponuje, by stanął na czele imperium Fountain.

Chociaż, jak powiedział Marilyn, było to tak mało prawdopodobne, że traktowano taką ewentualność jakó żart.

Kerry wzruszył ramionami.

- Odbierałem mamę z lotniska. - Stał niepewnie na nogach, wzrok miał mętny. - Wiesz, że musiała przylecieć z Hiszpanii zwykłymi liniami? Podróż była bardzo męcząca. A wszystko dlatego, że ta baba nie wyraziła zgody, żeby wysłać po nią samolot.

Doug nie mógł powstrzymać uśmiechu, słysząc, jak

Kerry wspaniale naśladowuje płaczliwy ton Grace OToole, narzekającej na „nieznośne warunki” podróży, bo nie mogła skorzystać z luksusowego samolotu firmy, którym latała jako udziałowiec zawsze, kiedy tylko mogła. Nigdy, nawet kiedy jeszcze była żoną Fountaina, nie uważała się za członka rodziny, jeśli nie widziała w tym jakiejś konkretnej korzyści dla siebie. Jednak bez skrupułów korzystała z przywilejów, przysługujących udziałowcom firmy.

Byłaby jeszcze bardziej zła, gdyby wiedziała, że „ta baba”, Jennifer Kelly, która się nie zgodziła wysłać po nią samolotu firmy, jest jej rodzoną córką. Ale Grace nie wiedziała, gdzie jej córka pracuje ani gdzie mieszka i wcale się tym nie interesowała. Chociaż Kelly zmieniła kolor włosów i oczu, z łatwością by ją rozpoznała, gdyby kiedykolwiek pojawiła się w biurze, ale ponieważ nie przychodziła nawet na zebrania udziałowców, Kelly czuła się całkiem bezpieczna.

Grace interesowała się wyłącznie swoimi własnymi wygodami.

- Uciekłem - dodał Kerry - żeby przez resztę wieczoru nie wysłuchiwać jej narzekań.

Doug uniósł brew. Kerry lubił Douga tak, jak psy lubią koty.

- Uciekłeś tutaj?

- Nie od razu. - Kerry obejrzał swoje podbite oko w lustrze za barkiem. - Widziałem, jak zapaliło się u ciebie światło, kiedy byłem w drodze do domu. Wiesz, że stanowiłbyś idealny cel dla każdego snajpera, który ukryłby się w jednym z trzech pobliskich budynków?

- Planujesz zabójstwo, Kerry?

- Nie, ale ktoś inny może wpaść na taki pomysł. Nie powinieneś niepotrzebnie ryzykować, mój drogi kuzynie. Jesteś człowiekiem bogatym. Komuś mogłoby na-

wet przyjść do głowy, żeby cię porwać. Powinieneś kogoś zatrudnić, na przykład mnie, jako swego goryla.

Doug poświęcił tej sprawie tyle uwagi, na ile zasługiwała. Kerry był zbyt gadatliwy. Do czegoś zmierzał.

- Dobra, przyszedłeś tu w konkretnym celu. O co ci chodzi?

Kerry wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Nie wierzysz w to, że chodzi mi o twoje bezpieczeństwo i chciałem wygłosić mowę na ten temat?

Doug nie wierzył.

- Najwyraźniej - powiedział - nie masz zamiaru zdradzić mi, po co tu przyszedłeś, więc proponuję, żebyś się stąd wyniósł.

- Dobra. Sprowadziła mnie tu ciekawość, a umożliwił klucz Kelly.

Doug wątpił, czy Kelly dałaby nawet swemu ukochanemu bratu klucz do gabinetu Douga, nie poprosiwszy go uprzednio o zgodę. Czyli że Kerry go ukradł z sobie tylko znanych powodów.

- Wymyśl coś innego - zaproponował.

- Naprawdę chcesz wiedzieć, dlaczego przyszedłem?

- Szczerze mówiąc, nie.

- No tak, zawsze musisz się starać z całych sił naśladować Franka.

Doug zacisnął zęby, słysząc tę uwagę o swoim zmarłym bracie.

- Co to za śliczny kociak, z którym cię widziałem? Czy to kobieta, która w najgłębszym przeświadczeniu starego Franklina będzie następną panią Fountain, matką prawowitych dziedziców?

- Nie - zapewnił z pełnym przekonaniem Doug. Po tym, jak ostatnio się wygłupił, nie było to możliwe.

- Sprawiałeś wrażenie, że bardzo dobrze się czujesz w jej towarzystwie - stwierdził Kerry. - Chyba

nie masz zamiaru wykiwać mojej siostry, co, Dougie?

- Nie rób z siebie większego idioty niż to konieczne. - Doug poszedł do kuchni, znajdującej się między gabinetem a salą konferencyjną, i wrócił z dwoma kubkami kawy. - Masz, napij się, Kerry - polecił kuzynowi, wciskając mu w rękę jeden kubek.

- Po co? Żeby sobie zepsuć wspaniały rausz?

- To nie rausz, Ker. Tak się chwiejesz na nogach, że boję się, że albo się porzygasz, albo padniesz nieprzytomny, albo jedno i drugie, a wolałbym, żeby nie nastąpiło to w moim gabinecie.

Kerry wziął kubek z parującą kawą, powąchał ją z wyraźnym obrzydzeniem, a potem odstawił kubek na cenny, stary stolik okolicznościowy, który stał przed nim. Doug się zastanawiał, czy specjalnie nie postawił go na ceramicznej podstawie. Kerry opadł na sofę, odchylił się na oparcie, splótł ręce za głową i położył nogi na stoliku.

Uśmiechnął się oblesnie.

- Więc cóż to za jedna, kuzynie?

Doug wolno usiadł w fotelu, stojącym pod kątem prostym do kanapy.

- Kto taki? - Doskonale wiedział, kogo Kerry ma na myśli. Ciekaw był, gdzie ich widział, na obiedzie czy dziś wieczorem? A może u jubilera? Czy widział, jak się całowali? I co miało znaczyć, że „bardzo dobrze się czuje w jej towarzystwie”?

- Kto taki? - powtórzył Kerry jak echo. - Właśnie o to zapytałem.

Doug nic nie powiedział, bo nie miało to sensu. Kerry mógł próbować tak długo, jak zechce. Ponieważ jednak był niecierpliwy, znów się odezwał.

- Ta ślicznotka, z którą cię przyuważyłem dziś wieczorem w hotelu.

Aha! Czyli przynajmniej teraz wiadomo, gdzie i kie-

dy ich widział. Dobrze, że Kerry nie był świadkiem, jak Doug pocałował Marilyn. Jezu! Sam wciąż jeszcze nie mógł w to uwierzyć. Pocałowała go raz, potem on pocałował ją dwa razy i poprosił, żeby wyszła za niego za męż. Nic dziwnego, że uciekła, jakby ją diabeł gonił.

- Nie widziałem cię - powiedział.

- To się rozumie samo przez się, bo wtedy prawdopodobnie wolałbyś ją zabrać do najbliższego baru, niż mnie przedstawić. Co to za jedna? Wygląda na babkę z klasą.

- To kobieta, z którą zamierzam... - Urwał i poprawił się. - Z którą zamierzałem ubić interes.

- Tylko tyle? - Kerry nie ukrywał sceptycyzmu.

- Tylko tyle - potwierdził Doug i dodał: - Zresztą to nie twoja sprawa.

Kerry przechylił głowę na bok.

- Niekoniecznie. Szczególnie jeśli się nazywa Marilyn Antioch.

Doug przez chwilę milczał.

- Nazywa się Marilyn Ross.

- Niech będzie. To znaczy, że zdążyła wyjść za męż. Wielka szkoda, chyba że go rzuciła.

Zabrzmiało to niemal jak pytanie.

- O ile wiem, jest rozwiedziona - powiedział cierpko Doug. - Ale czemu cię to interesuje?

- Poznałem ją kiedyś - wyznał Kerry. - Miała wtedy z osiemnaście lat. Jej ojciec był ambasadorem w jakimś europejskim, alpejskim kraju, gdzie razem z mamą jeździliśmy na narty. Spotkaliśmy się na wyciągu krzeselkowym, potem przez kilka tygodni widywaliśmy się na różnych przyjęciach. Trochę piliśmy, trochę żartowaliśmy, próbowałem ją poderwać, ale była nieśmiałą dziewczicą i nic z tego nie wyszło.

Wyszczерzył zęby w uśmiechu, zdjął nogi ze stolika, pochylił się i pociągnął duży łyk kawy.

- Skoro była mężatką, a od tamtej pory minęło przynajmniej piętnaście lat, podejrzewam, że przestała już być nieśmiałą. I nie jest już dziewicą.

Doug poczuł, że świerzbiał go ręce.

- Do czego zmierzasz?

- Chętnie odnowiłbym znajomość, ale oczywiście nie chciałbym ci wchodzić w paradę. Jednak... -

Urwał, napił się kawy i uśmiechnął się jeszcze szerzej - ...skoro łączą was wyłącznie interesy, nie powinieneś mieć nic przeciwko temu. Jaki jest do niej telefon?

- Nawet gdybym go znał, nie dałbym ci go. To porządna kobieta i niepotrzebny jej naciągacz, który lubi zaglądać do kieliszka.

Wstał, podszedł do drzwi i je otworzył.

- Dobranoc, Kerry. Czeka mnie jutro ciężki dzień, a teraz muszę jeszcze dokończyć pracę papierkową.

Kerry nagle wytrzeźwiał i Doug się domyślił, że za chwilę pozna prawdziwy powód jego wizyty.

- Chcę ci tylko przypomnieć, Doug, że Kelly śmiertelnie serio traktuje plan, który obmyśliliśmy we trójkę. Nawet nie myśl o tym, żeby ją wykiwać.

Doug wytrzymał jego badawcze spojrzenie.

- Ani mi to w głowie, Kerry. Pragnę przestać być dyrektorem naczelnym równie gorąco, jak Kelly chce nim zostać. Możesz być spokojny.

Kerry przyglądał mu się przez chwilę, a potem skinął głową.

- A ty możesz być spokojny - powiedział - że nie będę próbował poderwać twojej Marilyn Ross.

Doug się roześmiał, zamykając drzwi za kuzynem. Nie potrzebował Kerry'ego, żeby mu popsuł szyki.

Zrobił to świetnie sam, bez niczyjej pomocy.

6

Marilyn weszła do domu, oparła się o drzwi, zdjęła buty i cisnęła je przez pokój. Co za wieczór! W głowie się jej kręciło, ale nie od wypitego wina. Mogła się zgodzić na to, żeby udawać narzeczoną Douga, ale propozycja, by została jego żoną, była śmieszna.

Zamrugła powiekami na widok ogromnego bukietu czerwonych róż, stojącego na stoliku okolicznościowym. Jak, u diaska, zdążył to zrobić tak szybko, na dodatek o tej porze? Nie miał nawet jej domowego adresu, podała mu go dopiero o dziesiątej wieczorem.

- Kto się tu tak tłucze po nocy? - Rhonda wyjrzała przez drzwi swego mieszkania w suterenie. Włosy, ufarbowane na rudo, przewiązała niebieską, jedwabną wstążką, czarny, aksamitny peniuar sięgał jej do kostek, na nogach miała czerwone klapki na szpilkach. Najwyraźniej złożył jej wizytę Harley - może jeszcze u niej był. Ziewnęła, zasłaniając usta wierzchem dłoni, i zmrużyła oczy. Bez soczewek kontaktowych prawie nic nie widziała, ale nie uznawała okularów. - To ty, Marilyn?

- Nie. - Marilyn rzuciła torebkę na stół obok wielkiego bukietu. - Jestem zdeprawowanym włamywaczem, specjalizującym się w brukowcach, i przyszłam ukraść trzy stosy gazet, leżących na nocnej szafce, nie wspominając o tych, które trzymasz pod łóżkiem. Spróbuj stawić mi opór, to cię zabiję.

- Będziesz musiała to zrobić. - Rhonda przybrała bojową postawę, rękę w gipsie uniosła w górę niczym kij

baseballowy. - Po moim trupie oddam ci swoją ulubioną lekturę. - Przysiadła na oparciu kanapy i przesunęła dłonią po włosach. - Skoro już mowa o stosach papieru, w kuchni leży plik poczty do ciebie. Chcesz herbaty?

Marilyn zdjęła marynarkę i rzuciła ją na fotel. Zanurzyła palce we włosach i stała na bosaka na dywanie, napinając i rozluźniając mięśnie, żeby się odprężyć, ale na próżno. Czasami ćwiczenia relaksacyjne nie dawały efektu.

- Nie. Poproszę o kieliszek whisky z jedną kostką lodu.

Usiadła w fotelu.

- Jeden kieliszek wystarczy?

Marilyn skinęła głową. Rhonda odwróciła się do szafki, nalała alkoholu do szklaneczki, dodała trochę wody i kilka kostek wody. Pociągnęła spory łyk, potem nalała whisky do drugiej szklaneczki i podawszy ją Marilyn, wyciągnęła się w eleganckiej pozie na kanapie.

- Ciężki dzień?

- Można tak powiedzieć. Znalazłam pracę dla Niny Carradine w Swanson Group, miałam telefon od Neil-sons Inc., szukają kandydatek na dyrektora kadr. Jeden szpital potrzebuje kierownika administracyjnego, a firma naftowa z Albeny rewidenta. No i na koniec dziś wieczorem dziewięć kolejnych korporacji i trzy osoby prywatne zobowiązały się wpłacić na fundację i miałam ciekawą propozycję małżeństwa z niezwykle bogatym facetem, który uważa, że byłabym odpowiednią kandydatką, ponieważ między innymi ładnie pachnę.

Rhonda leniwie podniosła rękę.

- No, no, no! - powiedziała tonem, zdradzającym rozbawienie i niedowierzanie. - Czyli to dzień miłosnych uniesień. Najpierw Szybki Freddy, a potem oświadczyły.

Wskazała ręką na czerwone róże.

- To od Freddy'ego. Przeczytaj bilecik.

Kwiaty nie były od Douga? Cholera, nie ma prawa czuć się taka zawiedziona. Była wściekła, rozczarowana i serdecznie nie cierpiała Douglasa Ellery'ego Fountaina juniora. Gdyby bukiet był od niego, wylądowałby w koszu na śmieci.

Ale... czemu, do diaska, Freddy przysłał jej kwiaty?

- Był liścik? - spytała, szukając kartonika, ale go nie znalazła.

- Tak. Odłożyłam go do twojej poczty. Znów się żeni.

Marilyn nie zareagowała na fakt, że u Rhondy ciekawość wzięła górę nad dobrym wychowaniem i przyjaciółka przeczytała bilecik. Rhonda taka już była. Zresztą Marilyn naprawdę to nie przeszkadzało.

- I wysłała swojej byłej żonie kwiaty? - spytała, zbyt zmęczona, by przeczytać liścik

- Przypuszczam, że uznał, iż jakiś gest będzie na miejscu. Może coś na odczepnego, by ukoić twoje obolałe serce?

Obie kobiety zachichotały. Właśnie tak rozumował Freddy. Zupełnie zapomniał, że to Marilyn go zostawiła, wystąpiła o rozwód i odrzucała wszystkie próby pojednania.

Rhonda usiadła i machnęła ręką tuż przed nosem Marilyn.

- Harley znów mi się oświadczył. Zgodziłam się. - Wyszczrzyła zęby w uśmiechu. - Chyba złamana kość osłabiła moją siłę woli.

Marilyn usiadła prosto.

- Słucham? - Spojrzała na dłoń Rhondy. Na jej palcu serdecznym zobaczyła nowy pierścionek. Nie zauważyła go od razu z uwagi na mnóstwo innych pierścionków, błyszczących na wszystkich palcach Rhon-

dy, ale owszem, wśród nich był pierścionek z brylantem, w którym odbijała się czerwień róż.

- Kiedy?

- Kiedy mi się oświadczył? Dziś wieczorem.

- Nie, do cholery. Kiedy ślub?

- Gdyby to zależało od Harleya, pojutrze. Jeśli wytrzymam, za sześć tygodni. Chcę się nacieszyć okresem narzeczeństwa. Chcę, żeby o mnie zabiegał.

Marilyn bez słowa gapiała się na kobietę, która od dziesięciu lat była jej najserdeczniejszą przyjaciółką.

- Och, nie martw się. - Bez troski ton Rhondy w najmniejszym stopniu nie rozproszył w sercu Marilyn przecucia, że nadciąga katastrofa. - Nie opuszczę cię natychmiast. Harley jest człowiekiem niezwykle wyrozumiałym.

- Harley, o ile dobrze pamiętam, dziewięć miesięcy w roku spędza w Kostaryce.

- To prawda, ale zostaniemy tu wystarczająco długo, żebyś zatrudniła kogoś na moje miejsce. Nie odejdę, zanim kogoś nie znajdziesz. Sprzedamy jego mieszkanie i przeniesiemy się tutaj, póki nie przyjdzie pora, by wyruszyć na południe. Będę na bieżąco zajmowała się fundacją, mogę też od czasu do czasu posprzątać.

Marilyn gapiała się na Rhondę, w głowie kłębiły się jej setki myśli. W końcu dotarło do niej, że Rhonda nie żartuje, a jej zamiary będą miały poważne następstwa dla Marilyn. Jej najlepsza przyjaciółka wyjdzie za mąż i wyprowadzi się! A ona zostanie dosłownie sama jak palec w obcym mieście, w którym z nikim się nie zaprzyjaźniła, chociaż mieszka tu od roku. Miała tylko znajomych z pracy. Brakowało jej czasu na zawieranie przyjaźni.

- Wyjedziesz do Kostaryki, jak tylko skończy się pora huraganów. Nie będzie cię przez długie miesiące, jeśli w ogóle jeszcze tu wrócisz! - powiedziała płacząco.

Rhonda wybuchnęła śmiechem i uszczypnęła Marilyn w policzek

- Tylko siebie posłuchaj. Zachowujesz się jak mała dziewczynka.

Marilyn wiedziała, że to prawda. Zapadła się głębiej w fotelu, ale się nie uśmiechnęła. Wyciągnęła nogi przed siebie, głowę odchyliła do tyłu, zamknęła oczy, ręce opuściła po bokach fotela.

- To tylko zły sen, prawda? - Jęknęła. - Za chwilę się obudzę cała złana potem i będę się z tego śmiała.

-Otworzyła oczy i uważnie przyjrzała się Rhondzie. -Wiesz co? Właśnie mi się śniło, że postanowiliście się z Harleyem pobrać po pięciu latach „chodzenia ze sobą”, kiedy akurat był w pobliżu. Dziwne, co?

Rhonda usiadła na oparciu fotela.

- Kochanie, tak mi przykro. - Pogłaskała Marilyn po włosach. - Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz.

Poradzisz sobie beze mnie. Znajdziesz sobie kogoś innego do prowadzenia domu.

Marilyn usiadła prosto i przez dłuższą chwilę przyglądała się badawczo Rhondzie.

- Kogoś do prowadzenia domu? Myślisz, że jesteś dla mnie tylko gosposią? Nikt nigdy mi ciebie nie zastąpi. Jesteś moją najlepszą przyjaciółką, powierniczką...

Urwała i mocno objęła starszą kobietę.

- Na całym świecie najbardziej kocham ciebie. Cieszę się twoim szczęściem, Rhondo, naprawdę.

Tylko wiadomość o ślubie spadła na mnie jak grom z jasnego nieba. Ale jakoś się pogodzę z nową sytuacją.

- Wiem, dziecinko. Ja też ciebie kocham. Gdyby nie ty, prawdopodobnie nie byłoby mnie dziś pośród żywych. Poza Harleyem jesteś jedyną osobą na świecie, którą kocham. Pewnego dnia - dodała - ty też znajdziesz swojego Harleya.

- Tak - powiedziała Marilyn. - Prawdopodobnie w najbliższym sklepie z motocyklami. - Wypiła połowę zawartości szklaneczki i wzdygnęła się. - Wcale nie mam ochoty na whisky. Nie wiem, dlaczego o nią poprosiłam.

- Ponieważ to był ciężki dzień i... Ejże, wspomniałaś, że ktoś poprosił cię, żebyś za niego wyszła za mąż. Co to za historia? Żartowałaś czy znalazłaś swojego Harleya?

- Odpowiedź na obydwa pytania brzmi „nie”. Rhonda lekko nią potrząsnęła.

- A więc co powiedziałaś facetowi, który chce się z tobą ożenić, bo ładnie pachniesz?

- Żeby dał mi święty spokój. Cóż innego mogłam mu powiedzieć?

Rhonda milczała przez dłuższą chwilę. Potem bardzo cicho, ale najzupełniej poważnie odparła:

- Może „tak”? Marilyn się roześmiała.

- Myślisz, że ponieważ jesteś zakochana, cały świat powinien pójść za twoim przykładem?

Ale najgorsze było to, że nie mogła pozbyć się wrażenia, że zbyt przesadnie zareagowała na propozycję Douga. Zrobiła z siebie idiotkę, traktując rzecz całą poważnie. Doug nie mówił tego serio, a ona w przypływie złości przywiązała zbyt wielką wagę do całego incydentu.

- Chyba nie mówił serio - wyjaśniła. Jej wzrok padł na torebkę, w której schowała pierścionek Wyjęła go i pokazała Rhondzie, której aż zapało dech.

- A niech mnie! Według mnie to wygląda na coś całkiem poważnego!

- W pewnym sensie, ale nie tak, jak myślisz. - Krótko, bez nazwisk i szczegółów, przedstawiła powody udawanego narzeczeństwa, kończąc słowami: - Ale kiedy w żartach mi się oświadczył, ogarnęła mnie panika i powiedziałam, że nasze wcześniejsze ustalenia

przestają obowiązywać. Teraz czuję się jak idiotka.

- A ja uważam, że jesteś głupia, skoro zrezygnowałaś z takiego pierścionka i oświadczyń człowieka, którego stać na jego kupno.

- Rhondo, to był tylko żart! Teraz to widzę. Wtedy tego nie zrozumiałam, ale spójrzmy prawdzie w oczy. Faceta stać na każdą kobietę, jaka mu się spodoba. Dlaczego miałby wybrać właśnie mnie? Rhonda się uśmiechnęła.

- Może dlatego, że ładnie pachniesz?

Marilyn skrzywiła się z niesmakiem i wcisnęła się głębiej w fotel.

- Rozmowa z tobą nie ma sensu. Lepiej idź do łóżka i śnij o swoim ukochanym. Ja dopiję whisky i zrobię to samo, tylko nie będę śniła o ukochanym, bo chwilowo cierpię na jego brak. Natomiast kłopotów mam aż nadto.

Rhonda westchnęła głęboko.

- Lepiej szybko wypij whisky, moja mała. Masz więcej kłopotów, niż przypuszczasz. Telefonował Lucas. Prosił, żebyś do niego oddzwoniła bez względu na to, kiedy wrócisz do domu. Powiedział, że jeśli będzie trzeba, w ogóle nie położy się spać, bo koniecznie musi z tobą porozmawiać jeszcze tej nocy.

Marilyn jęknęła.

- W żadnym razie nie zamierzam z nim rozmawiać i może mnie pocałować w nos.

Nie lubiła kontaktować się ze swoim młodszym bratem nawet wtedy, kiedy była w dobrym humorze, a co dopiero teraz. Wstała, wyłączyła telefon i wzięwszy ze sobą szklaneczkę z whisky, poszła do sypialni. Zadzwoi do Lucasa rano.

Ale myśli, kłębiące się jej w głowie, długo nie pozwalały jej usnąć. Wciąż słyszała głos Douga, nawet rano,

kiedy się obudziła i leżała, wspominając wydarzenia poprzedniego dnia.

Nagle przypomniała sobie, że jest umówiona z samego rana. Pora wstać i przestać roić o mężczyźnie, którego wymaganiom nigdy nie sprostą, o mężczyźnie, który nigdy nie będzie jej.

Nie żeby kogoś potrzebowała czy pragnęła. Może kiedyś, w dalekiej przyszłości. Nie zachwycała jej perspektywa samotnego życia, ale jak do tej pory nie znalazła mężczyzny, u którego boku chciałaby się zestarzeć.

Jednak teraz... Westchnęła. Było w Dougu coś, co ją pociągało, coś, co nie miało nic wspólnego z namiętnymi pocałunkami i przeświadczeniem, że kochanie się z nim byłoby z pewnością satysfakcjonujące. Ale musiała zdecydowanie skończyć z tymi marzeniami, które nie miały szans spełnienia.

Zaraz po spotkaniu zamierzała pojechać do biura i rzucić się w wir pracy, by przestać myśleć o mężczyźnie, którego prawdopodobnie nigdy więcej nie zobaczy, chyba że na zdjęciu w lokalnej prasie.

Dzień był ładny, Marilyn, pragnąc podnieść się nieco na duchu, włożyła żółtą sukienkę, długi, kremowy blezer, a pod szyję zawiązała niebiesko-zielono-złoty jedwabny szal. Pojechała do śródmieścia i spotkała się z klientką w małej restauracji w pobliżu miejsca pracy kobiety.

Spotkania nie można było nazwać udanym. Kobieta, z którą Marilyn zgodziła się porozmawiać o tak wczesnej porze, miała pracę, ale szukała czegoś innego. Nie należała jednak do osób, wobec których Perfect Partners gotowe było wystąpić jako pośrednik w szukaniu nowego zajęcia. Miała wprawdzie świetne kwalifikacje zawodowe, ale jej charakter pozostawiał wiele do życzenia, a do tego obwiniała innych za swoje niepowodzenia.

Kiedy Marilyn wyszła z restauracji, stwierdziła, że pogoda się zepsuła. Bardziej odpowiadała teraz jej nastrojowi. Zachmurzyło się i padał deszcz. Do cholery, przecież był lipiec. Czy tak wygląda lato? Po przyjściu do biura wytarła włosy i twarz ręcznikiem, przeciągnęła grzebieniem po wilgotnych lokach. Zdjęła marynarkę i powiesiła ją na kaloryferze w łazience, żeby wyschła, a potem usiadła za biurkiem, postawiwszy przed sobą kolejną filiżankę kawy.

Miała masę roboty, ale siedziała i gapiła się na pierścionek ze szmaragdem, który wsunęła na palec, jakby się z nim żegnała. Dziś rano wsadzi go do koperty i odeśle kurierem do biura Douga. Albo poprosi Josie, żeby go odniosła. Bez względu na to, w jaki sposób się go pozbędzie, wiedziała, że musi to zrobić, ponieważ jego widok przypominał o tym, o czym wołała zapomnieć. Dotyk ust Douga, pocałunki, od których nogi robiły się miękkie, w głowie się kręciło, a w środku robiło gorąco. Odczuwała wyrzuty sumienia, kiedy myślała o pełnym zachwyty spojrzeniu starszego pana, kiedy zaakceptował wybór swego wnuka. Im dłużej o tym myślała, tym bardziej wydawało się jej to wszystko okropne.

Zadzwoił telefon na biurku, wrywając ją z zamyślenia.

Jęknęła bezgłośnie, słysząc w słuchawce płaczliwy głos swego brata. Słuchając litanii narzekań na ich matkę, naląła sobie jeszcze jedną filiżankę kawy i popijała ją, by się wzmocnić. Obracając pierścionek na palcu, obserwowała, jak brylanty błyszczą w świetle lampy, stojącej na biurku, spoglądała w szmaragd, jakby to była szklana kula, w której można ujrzeć przyszłość. Ale oczywiście niczego nie zobaczyła.

Wsadziła pierścionek z powrotem do pudełeczka i zostawiła go na skraju biurka. Od czasu do czasu rzu-

cała coś do słuchawki w odpowiedzi na narzekania swego brata.

Dwadzieścia minut później, mając tego wyraźnie dosyć, powiedziała głośno i dobitnie, licząc na to, że sens jej słów dotrze do brata.

- Lucas, po raz ostatni powtarzam, nie. Nie i już. Wiem, że zawsze było ci to trudno zrozumieć, ale nie chcę, żebyś tu przyjeżdżał. Jeśli masz kłopoty z matką, rozwiąż je, ale nie przybiegaj z nimi do mnie. Masz dwadzieścia jeden lat. Na Boga, zacznij zachowywać się jak człowiek dorosły!

Nim się zmobilizował, by kontynuować atak, rozłączyła się, a następnie porwała z biurka białą, wypchaną fokę i cisnęła nią z całej siły przez pokój, mówiąc:

- Idiota!

- Ejżel

Trafiła Douga, który akurat pojawił się w drzwiach, prosto w splot słoneczny. Na widok niespodziewanego gościa Marilyn uniosła się lekko z krzesła, a po chwili znów usiadła.

- Co ty tu robisz?

Doug miał na policzkach jednodniowy zarost i patrzył zmęczonym wzrokiem. Marynarka była wilgotna, a spodnie ciemne na udach, jakby mokre. Na włosach połyskiwały mu kropelki deszczu. Spojrzała na niego twardo, starając się przewyciężyć typowo kobiece współczucie na jego widok. Wciąż czuła się okropnie z powodu swojej zbyt gwałtownej reakcji na wczorajsze niespodziewane oświadczenia.

Przerzucił foczkę z ręki do ręki.

- Cieszę się, że nie miałaś niczego ciężkiego pod ręką, kiedy wczoraj wieczorem doprowadziłem cię do wściekłości - powiedział. Jego niski głos wywarł na niej takie samo wrażenie, jak poprzedniego dnia. Nie była w sta-

nie wydusić z siebie słowa, tylko gapiła się na niego. -Mam nadzieję, że nie rozmawiałaś z klientem - dodał. Pokręciła głową.

- Nie, to mój brat. Nikt nie doprowadza mnie do takiej furii jak on. Może z wyjątkiem mojego byłego męża. Obydwaj nie potrafią zrozumieć, że „nie” znaczy „nie”.

Wyraźnie zmarkotniał.

- W takim razie chyba niepotrzebnie tracę czas.

- Słucham?

- Przyszedłem cię przeprosić. Chciałbym, żebyś jeszcze raz wszystko przemyślała.

- To znaczy co? - Jej głos zabrzmiał dziwnie piskliwie.

- Och, chodzi tylko o pierwszą część naszego planu -zapewnił ją. - Wiem, że to, co powiedziałem wczorajszego wieczoru, było, jak to ujęłaś, zupełnie nie na miejscu. Nie mam do ciebie pretensji, że się nie zgodziłaś. Żadna kobieta przy zdrowych zmysłach nie przyjęłaby oświadczyn nieznajomego mężczyzny.

- Naturalnie. - Odchrząknęła i wskazała mu krzesło. - Naturalnie, że nie. Chociaż, kiedy dotarłam do domu i ochłonełam, zrozumiałam, że tylko żartowałeś. Ja również przepraszam za swoje zachowanie. Musiałeś mnie uznać za osobę głupią i niewychowaną. - Zmusiła się do śmiechu. - Miałeś okazję przekonać się, jakie maniery ma córka dyplomaty.

- Nie mam zastrzeżeń do twoich manier - zapewnił. Przez chwilę stał, patrząc na nią. Tak mocno ścisnął

wypchaną zabawkę, że Marilyn się zastanawiała, czy szwy wytrzymają. W końcu usiadł na krześle, które mu wskazała.

- Nie chciałem przeszkadzać, ale drzwi do sekretariatu były otwarte, więc wszedłem. Usłyszałem, że rozmawiasz przez telefon, więc zaczekałem, aż skończysz. Znajdziesz teraz dla mnie trochę czasu?

Marilyn nabrała głęboko powietrza w płuca i wolno je wypuściła. Skinęła głową.

- Tak. Kilka minut. Napiął mięśnie twarzy.

- Jak już mówiłem, chciałbym, żebyś jeszcze raz to rozważyła, Marilyn. Naprawdę jesteś mi potrzebna do realizacji pierwszej części mojego planu.

Zamierzała odmówić. Miała odpowiednie słowa na końcu języka, ale kiedy otworzyła usta, padło z nich: „Dobrze”. Wiedziała, że gapi się na niego jak ryba wyciągnięta z wody, ale teraz nie mogła się już wycofać. Klamka zapadła.

- Pod warunkiem, że będziesz pamiętał, że zgodziłam się przez miesiąc udawać twoją narzeczoną i nic ponad to.

- W porządku - obiecał. - Nie poproszę ponownie o nic więcej.

Widząc ulgę na jego twarzy, wiedziała, że Doug doskonale sobie uświadamia, jaki z niego szczęściarz. Musiał zadawać sobie pytanie, w jakim kłopotliwym położeniu by się teraz znalazł, gdyby powiedziała „tak” na jego nieprzemyślane oświadczyły. Drżał na samą myśl.

- Wierz mi, że firma Perfect Partners zostanie hojnie wynagrodzona za to, co zrobisz.

- Nie - odrzekła. - To nie ma nic wspólnego z Perfect Partners. To prywatne ustalenia między tobą a mną i nie wezmę za to pieniędzy.

- Prywatne czy nie, to interes.

- Za który nie chcę żadnego wynagrodzenia. Chyba że będziesz chciał wspomóc jedno z moich dzieciaków?

Twarz rozpromienił mu uśmiech.

- Jasne! Ale zatrzymaj pierścionek

- Przez miesiąc, potem ci go oddam. Pokręcił głową i przysiadł na skraju biurka.

- Nie chcę go z powrotem. - Uniósł jej dłoń, wziął pudełeczko i wyciągnął z niego pierścionek, zamierzając wsunąć go jej na palec. Cofnęła rękę. - Chcę, żebyś go nosiła, Marilyn.

- Nie ma takiej potrzeby - powiedziała - chyba że w obecności twojego dziadka. Boję się go zgubić. Przesunął dłonią po jej palcach:

- Jest ubezpieczony. Chcę, żebyś go nosiła, nawet kiedy w pobliżu nie będzie mojego dziadka.

Wolno oswobodziła dłoń z jego uścisku i spojrzała mu prosto w oczy.

- Dlaczego?

- Bo go kupiłem dla ciebie. Żeby pasował do twoich oczu. Uważam, że ślicznie wygląda na twoim palcu. Noś go dla mnie, Marilyn. Proszę.

- No dobrze.

- Świetnie.

Wsunął pierścionek na jej palec i zatrzasnął pudełeczko, nim wrzucił je do otwartej szuflady biurka. Kiedy się uśmiechał, wyglądał znacznie młodziej.

- Co takiego zrobił twój brat, że cię tak rozzłościł? Kiedy jej o tym przypomniał, odsunęła krzesło, wstała, przeszła przez pokój, a potem przystanąła przed biurkiem. Wzięła przycisk do papieru z przezroczystego szkła, przez chwilę mu się przyglądała, a potem szybko odstawiła go na miejsce.

- Lucas prowadzi swego rodzaju wojnę z naszą matką i jak zwykle wychodzi z niej, używając przenośni, cały poharatany i zakrwawiony. I wtedy zwraca się do mnie o pomoc. A ja nie chcę mu pomagać. - Uderzyła pięścią w otwartą dłoń. - Nie chcę i już! Nie chcę mieć z nim nic wspólnego!

- To twoje święte prawo.

- Gdyby to było takie proste - westchnęła. - Mogę

wygłaszać tyrady i złościć się, mówić sobie i całemu światu, że odmawiam, ale jak przyjdzie co do czego, poczucie więzi rodzinnej jest silniejsze od moich postanowień. To głównie przez niego i matkę przeniosłam się aż tutaj, na drugi koniec Ameryki. Miałam już dosyć występowania w charakterze buforu między nimi i dostawania się w krzyżowy ogień, nim się kolejny raz pogodzą i...

Zreflektowała się i z powrotem opadła na krzesło.

- Przepraszam. To nie twoje zmartwienie. Postaram się od tej pory panować nad swoimi humorami.

Obrzucił ją rozbawionym spojrzeniem.

- Nie masz za co przepraszać. Z przyjemnością na ciebie patrzyłem. Ślicznie wyglądasz w żółtym i kiedy się złościsz.

Ze śmiechem uchylił się, kiedy znów wzięła przycisk do papieru i udała, że zamierza nim w niego rzucić.

- Wybacz, ale nie mogłem się oprzeć. Dlaczego kobiety tak się wściekają, kiedy się im powie, że są słodkie, gdy się złością?

Marilyn wolała nie odpowiadać na pytanie, na które nie było odpowiedzi. Nachyliła się nad biurkiem.

- Wiesz, że okropnie wyglądasz?

- Domyślam się. Nie spałem całą noc. Dziś rano zadzwoniłem do ciebie do domu, ale kiedy się włączyła automatyczna sekretarka, zorientowałem się, że już cię nie zastałem. Więc przyszedłem tutaj, żeby cię przeprosić i zabrać na śniadanie.

- Wyglądasz raczej na kogoś, kto powinien położyć się do łóżka, a nie zasiadać do śniadania.

Jego uśmiech rozbroił ją.

- Obawiam się, że nie znamy się wystarczająco dobrze, bym mógł mieć taką nadzieję, ale skoro sama poruszyłaś ten temat...

Zacisnęła usta, żeby się nie uśmiechnąć.

- Nie zapominaj, jaki charakter ma nasza znajomość.

- Nie zapominam. To prawdopodobnie wyjaśnia, dlaczego przez pół nocy rzucałem się na kanapie w swoim gabinecie, a przez drugą połowę chodziłem, bijąc się z myślami. Marilyn, za nieprzespaną noc winna mi jesteś przynajmniej śniadanie.

- Nie czuję się winna twojej nieprzespanej nocy -oświadczyła, ale serce zabiło jej mocniej.

Nachylił się do niej.

- Chcesz się założyć?

- Zresztą jestem już po śniadaniu.

Prawdę mówiąc, tylko pokruszyła drożdżówkę z jeżynami na talerzu, a potem przykryła wszystko serwetką.

- Rozumiem - powiedział Doug. W tym momencie Marilyn głośno zaburczało w brzuchu, co im obojgu przypomniało, że jej organizm zareagował tak samo wczoraj wieczorem, kiedy zaprzeczyła, że jest głodna. Obydwoje się roześmieli.

- Nawet jeśli wywieram na tobie tylko takie wrażenie, Marilyn, zawsze to coś. - Wyciągnął do niej rękę. - Chodźmy - rzucił. - Ja funduję.

To nie jedyne wrażenie, jakie na niej wywierał, i musiał o tym wiedzieć. Niewinne zaproszenie na śniadanie sprawiło, że Marilyn natychmiast wyobraziła sobie, jak leżą w łóżku i jedzą śniadanie z talerza, stojącego na jego brzuchu Douga. Zagryzła usta i gapiała się na niego, oszołomiona realistyczną wizją, że karmi go winogronami. Niemal czuła jego miękkie usta na swych palcach. Ostatnio rzadko jej się zdarzały takie wybryki fantazji. Była zbyt zajęta. Pojawienie się Douga wszystko zmieniło, ale wypadki toczyły się zbyt szybko.

Jednak kiedy powtórzył: „Proszę”, wiedziała, że nie ma wyboru. Wstała, okrążyła biurko i podała mu rękę.

Josie, która akurat weszła i strząsała krople deszczu z jaskrawoczerwonej parasolki, przystanęła i spojrzała na nich. Marilyn przedstawiła jej Douga, a potem powiedziała:

- Idę na śniadanie.

Josie gapiała się na Marilyn i Douga, trzymających się za ręce.

- Czy nie byłaś na śniadaniu z klientką? Marilyn skinęła głową.

- Chyba zjem jeszcze jedno.

Otworzyła szafę i wyciągnęła z niej płaszcz przeciwdeszczowy z kapturem. Josie uniosła brwi.

- Na to wygląda. Następne spotkanie kwadrans po dziesiątej. Kiedy wrócisz?

Marilyn spojrzała na Douga, który uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Nie wiem - odrzekła. - Ale na pewno przed dziesiątą piętnaście.

- Co mówić, kiedy ktoś zadzwoni?

- Powiedz, że nie wiesz - zaproponował Doug, wciąż uśmiechając się do Marilyn, kiedy znów ujął ją za rękę.

Może Josie coś odpowiedziała, ale Marilyn słyszała w uszach jedynie głośny szum. Nie widziała nic poza czekoladowobrazowymi oczami, spoglądającymi na nią spod gęstych, ciemnych rzęs. Nie czuła nic poza dużą, ciepłą dłonią, która mocno ścisnęła jej rękę.

Wciągnęła głęboko powietrze, przesiąknięte zapachem wilgotnego garnituru Douga. Nigdy przedtem mokre ubranie nie pachniało tak., podniecająco.

Pociągnął ją za rękę i wyszli. Starła się pamiętać o spotkaniu, o którym przypomniwała jej Josie.

Gdyby mogła, z chęcią przełożyłaby je na inny dzień.

Doug spojrział na Marilyn. Krople deszczu połyskiwały na jej ciemnych włosach, długich rzęsach i policzkach, spływały z kaptura jaskraworóżowego płaszcza przeciwdeszczowego. Uśmiechała się do niego, nie przejmując się pogodą.

Pokręcił głową, myśląc o innych znanych sobie kobietach, które za nic nie dałyby się wyciągnąć na deszcz. Trzymał ją za rękę, kiedy czekali, aż Zmieni się światło na skrzyżowaniu. Ale przecież nie mógł tak stać bez słowa. Wyciągnął ją z biura, miał ją wyłącznie dla siebie; dlaczego nie potrafił wymyślić jakiejś zabawnej uwagi?

- Jadłaś już śniadanie?

Rany! I to ma być ta zabawna uwaga? Spojrzała na niego, uśmiechając się niepewnie.

- Zamówiłam śniadanie - odrzekła lekko przepraszającym tonem.

- Ale nie zjadłaś?

- Nie.

- Dlaczego? Roześmiała się.

- Może coś mi powiedziało, że zjawisz się za godzinę.

- Lubię kobiety, które idą za głosem intuicji - oświadczył, biorąc ją pod rękę. Był bez reszty pod urokiem Marilyn. Zachwycał się jej ożywioną buzią, różowionymi policzkami, beztroskim śmiechem. Uważał ją za niezwykłą kobietę. Mógł spędzić cały dzień, wpatrując się w nią.

Zwolnić, by przepuścić starszą parę w drzwiach do restauracji.

- Mam nadzieję, że ci się spodoba - powiedział. -Przychodzę tu prawie codziennie. Nie umiem gotować, więc na ogół jem na mieście. Ta restauracja jest mniej więcej w połowie drogi między domem i biurem. Mieszkam po drugiej stronie False Creek. Właśnie tam jechałem, kiedy zauważyłem twój samochód i postanowiłem wstąpić i spotkać się z tobą.

- Akurat - odparła. - Chciałeś się schronić przed deszczem.

- To prawda - zgodził się. - Chociaż kiedy wyruszyłem, nie padało.

Kelnerka zaprowadziła ich do stolika, naląła im kawy i zostawiła ich, by mogli przestudiować kartę dań. Po chwili pojawił się kelner, dolał im kawy do filiżanek i przyjął zamówienie na potrawy.

- Masz tylko jednego brata? - spytał Doug, kiedy zostali sami.

- Tak, i zupełnie mi to wystarczy. - Krótco opisała wszystkie problemy Lucasa - prawdziwe, jak również te, których przysparzała mu matka, a także te, które sam sobie stwarzał i wyobrażał. - W dzieciństwie był chorowity, chociaż, patrząc na niego teraz, trudno w to uwierzyć. Wyrósł z chorób, ale nadal pozostał maminsynkiem. Kiedy czuje, że stosunki z matką są zagrożone, uważa, że powinnam wkroczyć i zostać jego opiekunką.

Przyniesiono sałatkę owocową i grzanki dla niej i śniadanie dla Douga. Według Marilyn wyglądało smakowicie, ale mogła się nim pożywić czteroosobowa rodzina.

- I właśnie w tej sprawie dzwonił dziś rano? - spytał po zjedzeniu kilku kęsów.

- Tak. - Marilyn napiła się kawy. - Błagał, żebym pozwoliła mu do siebie przyjechać, ponieważ znów po-

sprzeczał się z matką i chce się wyprowadzić z domu. Doug uniósł jedną brew.

- Zgodzisz się?

-Za nic! Wiem, że gdybym to zrobiła, Rhonda natychmiast by się wyprowadziła.

- Rhonda?

- Moja najlepsza przyjaciółka. Przyjechała ze mną z Bostonu, zajmuje mieszkanie w suterenie. Dużo mi pomaga przy prowadzeniu fundacji. Jest jedyną osobą przez nią zatrudnioną, na więcej nas nie stać. Staramy się jak najwięcej ofiarowanych pieniędzy przeznaczać na pomoc dla dzieci. Znam Rhondę od lat. Poznałyśmy się w ośrodku rehabilitacyjnym, do którego trafiła po wypadku samochodowym. Zginęli w nim jej mąż i dwóch nastoletnich synów. Przyłgnęłyśmy do siebie i kiedy mogła opuścić ośrodek, wprowadziła się do mnie. Nie miała dokąd pójść. Nie znosi mojego brata. Jego aura sprawia, że czuje się przy nim chora.

- Twój brat ma aurę?

- Tak, a do tego okropną, zdaniem Rhondy. Jest bardzo wrażliwa na takie rzeczy. Twierdzi, że aura mojej matki jest niewiele lepsza. Rhonda była zachwycona, kiedy postanowiłam wyprowadzić się z Bostonu i zostawić tam moją rodzinę. - Po chwili dodała z uśmiechem: - Muszę wyznać, że ja też, kiedy już się skończyła batalia z matką. Naprawdę nie najlepiej układają mi się stosunki z rodziną.

- Jednak twój brat dzwoni do ciebie, kiedy ma kłopoty.

- To prawda. - Roześmiała się szczerze rozbawiona. -Najśmieszniejsze jest to, że wcale mnie nie lubi. Zazdrości mi wszystkiego, począwszy od stylu życia i ubierania się, potraw, które jem, i towarzystwa, w jakim przebywam, do moich poglądów politycznych i filozoficznych.

Jednak zawsze, kiedy pokłóci się z matką, uważa, że powinnam radośnie pospieszyć mu na pomoc.

- Ile ma lat?

- Właśnie skończył dwadzieścia jeden. Jest wystarczająco dorosły, by zamieszkać samodzielnie, znaleźć sobie jakieś zajęcie albo przynajmniej zdobyć wykształcenie. Szkopuł w tym, że nie ma pojęcia, jak dbać o swoje sprawy. Oczywiście postarała się o to matka; chce, żeby był od niej uzależniony. Lucas musi zgadzać się na to, co mu proponuje, ponieważ poza nią nikt się o niego nie troszczy. Myślę, że jej to odpowiada. Gdyby się wyprowadził, zostałaby zupełnie sama. Zjadła trochę sałatki owocowej, wybierając kawałki arbuza i odkładając je na bok.

- Nie lubisz arbuza? Pokręciła głową.

- Chcesz? - Z jego białej, ceramicznej patelni zniknęły smaźone ziemniaki, boczek, ser i jajecznica. Uśmiechnął się szeroko i zaczął nabierać na swój widelec kawałki owoców, zjadając je bezpośrednio z jej talerza. To przypomniało Marilyn rojenia o tym, jak karmi go winogronami.

- Ty też miałaś tylko jednego brata? - spytała pospiesznie, by o tym nie myśleć.

- Tak - powiedział Doug i sposepniał. - Kiedy Frank zginął, czułem się, jakby umarła część mnie. Był o rok

i dwa tygodnie starszy. Byliśmy nie tylko braćmi, ale również najlepszymi przyjaciółmi.

- Musisz uważać mnie za potwora. Nie potrafię przyjaźnić się ze swoim bratem, nie chcę mieć nic wspólnego z nim ani ze swoją matką.

- Wcale nie. Założę się, że jako dziewczynka marzyłaś o tym, żeby mieć siostrę.

- Masz rację. Nawet ją sobie wymyśliłam. Przez

pierwsze dwa lata towarzyszyła mi w szkole z internatem. Potem chyba się przystosowałam do sytuacji, bo zaczęłam zostawiać Marjorie w domu.

- Sam nie wiem, co jest gorsze - wyznał. - Nigdy nie mieć nikogo bliskiego, czy też mieć i go stracić. - Zmarszczył czoło. - Chyba dlatego marzę o licznej rodzinie.

MariJyn z trudem przełknęła ślinę, czując w gardle gulę.

- Tak - powiedziała, odsuwając talerz. - To idealne rozwiązanie. - Spojrzała na zegarek. - Chyba musimy się zbierać do wyjścia.

Doug wstał i podał jej płaszcz przeciwdeszczowy.

Uśmiechnął się, kiedy zatrzymali się pod markizą przed jej biurem.

- Może powinniśmy gdzieś wyjechać na ten miesiąc na wypadek, gdyby niespodziewanie pojawił się twój brat?

- Nie kuś mnie. - Marilyn się roześmiała.

- Mówię serio. Właśnie sobie uświadomiłem, że Kelly mogłaby udowodnić, że świetnie radzi sobie w pracy beze mnie. Lubisz Meksyk? Mamy tam dwa luksusowe hotele: jeden w Cancun, drugi na południowym krańcu Baja. Jestem pewien, że by ci się tam spodobało.

- Nie. - Pokręciła głową, ale się uśmiechnęła. - Lepiej nie.

Doug wcale się nie spodziewał, że Marilyn się zgodzi. Nie nalegał. Wzruszył ramionami, ale nie przestał trzymać jej za rękę. Czuł pierścionek na jej palcu. Cieszył się, że zgodziła się go nosić i że poszła na śniadanie. Nie miał ochoty się z nią rozstawać; pragnął na nią patrzeć, wdychać jej zapach... Stwierdził, że zwyczajnie chce stale przebywać w jej towarzystwie.

- Póki jesteś moją narzeczoną - powiedział - mogę korzystać z przysługujących mi praw. - Chociaż póki

jej nie poznał, nigdy nie był człowiekiem impulsywnym, objął ją i pocałował.

Marilyn wydała cichy, pełen zdumienia okrzyk, który przeniknął Douga do głębi, dotarł tam, gdzie ukrywał swoje najskrytsze uczucia, i otulił je niczym kojący balsam. W jednej chwili Dougowi zrobiło się gorąco. Przesunął językiem po rozchylonych, drżących wargach Marilyn, poczuł ich słodycz i zapragnął czegoś więcej. Wciągnął powietrze, przesycone zapachem jej włosów. W chwili, kiedy przestał ją całować, poczuł na swych ustach jej ciepły oddech.

Uniósł głowę, spojrział w błyszczące, zielone oczy i jęknął cicho. Patrzyła na niego pytająco, lekko zdezorientowana. Widział, jak na ułamek sekundy wysunęła język i przeciągnęła nim po ustach, jakby też smakowała jego pocałunek. Przygryzła wargi. Była lekko zmieszana, patrzyła na niego trochę nieufnie.

- Nie rób tego - szepnął.

- Czego? - spytała. Doug jęknął.

Nim Marilyn zdołała zaczerpnąć powietrza, znów ją objął jednym ramieniem, a ręką przytrzymał pod brodą i pocałował. Całował ją tak długo, że aż kolana zrobiły się jej miękkie. Była pewna, że nigdy więcej nie otworzy oczu, a nawet jeśli, na zawsze zostanie jej zez.

Kiedy ją puścił, nie mogła wydusić z siebie jednego słowa. Jakoś udało się jej wejść do budynku i wsiąść do pustej windy. Dopiero wtedy Marilyn poczuła, że nogi jej drżą, i przyznała sama przed sobą, że Doug Fountain może wyrządzić większe spustoszenie w jej sercu niż wszyscy mężczyźni, których poznała do tej pory. Wystarczyło, że kilka razy ją pocałował, a...

Oparła się o ściankę windy i zamknęła oczy. Otworzyła je dopiero wtedy, kiedy kabina się zatrzymała.

Gdy weszła do biura, Josie przyjrzała się jej uważnie i spytała:

- Dobrze się czujesz?

Marilyn pokręciła głową, wsuwając lewą rękę do kieszeni.

- Nie wiem - powiedziała. - Nie jestem pewna, czy jeszcze kiedykolwiek będę się dobrze czuła.

- Co się stało?

- Nic. Tylko mnie pocałował raz. Albo dwa razy. Może trzy - Zmarszczyła czoło. - Tak mi się wydaje.

Chociaż w tej chwili chyba nie jestem zdolna do logicznego myślenia.

Josie zrobiła okrągłe oczy.

- Doug Fountain? Mój Boże! Masz skórę podrażnioną od męskiego zarostu!

Nim Marilyn zdążyła jej odpowiedzieć, zadzwonił telefon. Josie podniosła słuchawkę.

- Do ciebie.

Marilyn się skrzywiła. Chciała mieć trochę spokoju, by ochłonać.

I podelektować się.

Potarła skórę na brodzie. Rzeczywiście była podrażniona. Czuła przyjemne swędzenie. Po chwili uświadomiła sobie, że uśmiecha się bezmyślnie. Odwróciła się, żeby nalać sobie kawy. Trzymając w ręku kubek, poszła do siebie, zamknęła drzwi i podniosła słuchawkę telefonu.

Pierścionek ze szmaragdem na jej palcu rzucał złote błyski na brylanciki, otaczające zielony kamień.

Wpatrywała się w niego, aż obraz się zamazał. Schowała rękę pod biurko.

Nawet nie próbowała się tłumaczyć, czemu nosi ten pierścionek, czemu tak się nim zachwyca, nie mówiąc już o tym, dlaczego tak reaguje na mężczyznę, którego znała zaledwie od poniedziałku.

Musiła skupić się na sprawie zasadniczej: wszystko to nie działa się naprawdę.

Nawet przez chwilę nie dopuszczała myśli, by tego wieczoru zostać dłużej w pracy, żeby zająć się sprawami fundacji. Pojechała do domu, przez parę godzin pracowała w ogródku, wspólnie z Rhondą zjadła kolację i położyła się spać, by przez pół nocy rzucać się na łóżku.

Jeśli Doug już sobie zaplanował, gdzie się będzie z nią pokazywał, nie wspomniał o tym ani słowem. Irytowało ją, że najpierw prosi o przysługę, a potem trzyma ją w niepewności. Może powinna zacząć udawać jego narzeczoną dopiero od przyszłego tygodnia, podczas swego urlopu? Jeśli tak, mógł jej to jasno powiedzieć. I nie powinien jej tak całować. Do cholery, nie miał do tego prawa i najwyższa pora, by sobie to uświadomił.

W środę po południu, w drodze do domu, czuła się tak, jakby wszyscy kierowcy specjalnie się na nią zawzięli, klimatyzacja w samochodzie zepsuła się akurat w najcieplejszym dniu miesiąca, a na drodze powstał wielki korek, który rozładował się po przeszło półgodzinie.

Kiedy w końcu dotarła do domu, wzięła prysznic, a potem włożyła szorty i bawełnianą koszulkę. Akurat miała wyjść do ogrodu, gdy zadzwonił telefon. Odebrać czy nie, zastanawiała się. Złapała słuchawkę po trzecim dzwonku, tuż przed włączeniem się automatycznej sekretarki.

- Cześć - powiedział Doug. - Jesteś gotowa na swoje pierwsze spotkanie towarzyskie?

Marilyn przyglądała się swojemu odbiciu w lustrze, wiszącym nad kominkiem. Irytacja sprawiła, że jej głos zabrzmiał ostro.

- Właściwie nie - odrzekła. - Doug, uważam, że powinniśmy ustalić kilka podstawowych zasad.

Wolała-

bym, żebyś informował mnie o takich okazjach z dwudziestoczerogodzinnym wyprzedzeniem.

- Już sobie coś zaplanowałaś. - Dosłyszała rozczarowanie w jego głosie.

- Nie. - Nie chciała go okłamywać. - Ale właśnie dotarłam do domu po pracy, mam jeszcze wilgotne włosy i nie jadłam obiadu. Nie jestem w odpowiednim nastroju na spotkanie z ludźmi bogatymi i wpływowymi.

- To spotkanie połączone jest z obiadem - powiedział. - O ile lubisz hamburgery z różną, kolby kukurydzy, lody i towarzystwo małych dzieci. Strój niezobowiązujący. Kelly zaprosiła nas na obiad. Chce cię poznać i ci podziękować.

- Och! - To całkowicie zmieniało postać rzeczy. - Nie musi mi dziękować.

- Jest innego zdania. Prawdę mówiąc, zobowiązała mnie, żebym koniecznie cię namówił na przyjęcie. Dzwonię od niej, mieszka niedaleko od ciebie. Co powiesz na to, żebym przyjechał po ciebie za pół godziny?

Do jej uszu dobiegł sprzeciw dziecka.

- Za pół godziny! Stryjku Dougu, już jestem głodny!

- Idź i poproś mamę, żeby ci dała herbatnika. Dla mnie też przynieś parę. Damy muszą mieć czas, żeby się przygotować do wyjścia.

Rozległ się zdecydowany głos kobiety.

- Doug! Wiesz, że żadnych herbatników przed posiłkiem.

Marilyn się roześmiała, jej zły humor nagle przysł.

- Prawdopodobnie uda mi się wyszykować szybciej niż za pół godziny, Doug. Nie chcę, żeby przeze mnie jakieś dziecko umarło z głodu. Kwadrans powinien mi wystarczyć.

- Świetnie. Weź kostium, jeśli chcesz popływać. Rozłączył się, a Marilyn niespodziewanie wpadła

w popłoch, co było dla niej czymś nietypowym. Czy chciała popływać? Nie! Na samą myśl, że miałyby pokazać się Dougowi w kostiumie kąpielowym, ogarnął ją niepokój. Zupełnie niepotrzebnie, bo figurę miała bez zarzutu. Jednak wahała się. Rzuciła kostium na łóżko, spojrzała na niego, schowała go z powrotem do szuflady, włożyła pierścionek ze szmaragdem, który zdjęła z palca, szykując się do pracy w ogródku, i stała przez dłuższą chwilę, podziwiając go.

Kupiłem go dla ciebie, żeby pasował do twych oczu. Chcę, żebyś go nosiła.

Czy mężczyźni zdawali sobie sprawę z tego, jak takie słowa działają na kobietę?

Jasne, że wiedział. Zapomniałaś, Marilyn? Złamał serce już niejednej.

Co mam włożyć? myślała gorączkowo, susząc włosy. Co to znaczy dla Fountainów „strój niezobowiązujący”? Czy mogą być szorty i bawełniana koszulka? Dżinsy? Spódnica i bluzka?

Eleganckie spodnie? A może sukienka plażowa? Sandałki na płaskim obcasie czy szpilki?

Wciąż jeszcze była niezdecydowana i nadal miała na sobie białe szorty, żółtą, bawełnianą koszulkę i różowe tenisówki, kiedy rozległ się dzwonek u drzwi.

- Powiedział „strój niezobowiązujący” - mruknęła, idąc mu otworzyć. - Dla Marilyn Ross to jest właśnie strój niezobowiązujący. Jeśli Fountainowie rozumieją przez to coś innego, trudno.

Starając się uspokoić, otworzyła drzwi i na jego widok niemal wyrwał się jej okrzyk z ust.

Jeśli Doug Fountain w garniturze przyprawiał dziewczyny o przyspieszone bicie serca, Doug Fountain w obcisłych, spłowiałych dżinsach i jaskrawonie-bieskiej koszulce mógł sprawić, by serce zupełnie zamarło im w piersiach. Marilyn odruchowo się cofnę-

ła. Wszedł do środka i rozejrzał się bez skrępowania. Po chwili powiedział, nie kryjąc podziwu:

- Podoba mi się tu. Ten dom ma swój styl. Twój styl.

- A jaki jest ten mój styl?

- Spokojny, ale elegancki. Awangardowy, ale swobodny. Kanapa wygląda na taką, na której facet może się wyciągnąć, by obejrzeć w telewizji mecz piłki nożnej. - Wyszczrzył zęby. - Tylko nie widzę telewizora.

- Jest w sypialni. Uśmiechnął się szerzej.

- To brzmi jeszcze lepiej - powiedział.

Marilyn postanowiła nie komentować jego słów. Przewiesiła przez ramię koszyk i spytała:

- Możemy iść?

- Chyba tak będzie lepiej, chociaż bardzo chciałbym obejrzeć twój dom. - Coś w jego spojrzeniu mówiło jej, że interesuje go nie tylko jej dom. - Dziś ja gotuję.

- Może się jednak rozmyślę. Mówiłeś, że nie umiesz gotować.

Roześmiał się.

- To prawda. Ale nie bój się. Kelly przygotowała mięso, przyrządziła sałatkę. Mnie pozostaje jedynie stanąć przy rożnie, wrzucić hamburgery na ruszt i robić wrażenie na dzieciakach.

- Widocznie niewiele potrzeba, by wyrzucić na nich wrażenie - rzuciła z lekką ironią, kiedy już pomógł jej wsiąść do samochodu, zatrzasnął drzwi i zajął miejsce za kierownicą.

- Mają po siedem lat. Uważają mnie za Boga, tylko od Niego wyższego.

Wycofał się z podjazdu.

- A jesteś? - spytała. -Jaki?

- Wyższy.

Uśmiechnął się.

- Na pewno jestem wyższy od nich, chociaż prawdopodobnie to się kiedyś zmieni. Są kubek w kubek podobni do Franka.

- Są bliźniakami jednojajowymi?

- Tak. Jeśli jednak też chcesz na nich wyrzucić wrażenie, zdradzę ci pewną tajemnicę. Joe ma malutką bliźnię na brodzie. Jako dwulatek spadł z rowerka, kiedy Jimmy najechał na niego swoim trójkołowcem. Jimmy jest odważniejszy, ale Joe jest chyba bystrzejszy. Jest spokojniejszy, więc więcej do niego dociera. Czasem mnie zadziwia swoimi trafnymi spostrzeżeniami. Zadaje również bezczelne pytania. Najczęściej w najbardziej nieodpowiedniej chwili. Spędzam z nimi czas albo próbując odpowiedzieć na jedno z pytań Joego, albo wspinając się na drzewo lub zbiegając z góry, by uchronić Jimmy'ego przed niebezpieczeństwem.

Marilyn się uśmiechnęła.

- Kochasz ich. Skinał głową.

- Tak. To wspaniałe dzieciaki. Kiedyś chciałbym mieć dwójkę albo trójkę takich własnych.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu. W końcu Doug skręcił na podjazd przed dużym domem na narożnej działce, porośniętej drzewami, i rzekł z przekonaniem:

- Frank byłby z nich bardzo dumny.

Marilyn świetnie go rozumiała. Położyła mu dłoń na ręku.

- Mają ciebie - powiedziała. - A ty masz ich. Zaciągnął ręczny hamulec, a potem ujął jej dłoń w swoje ciepłe ręce.

- Wiem - zgodził się.

Ale Marilyn wiedziała, że to za mało.

Okrążył samochód, otworzył drzwi i pomógł jej wy-

siaść. Odgarnął jej z twarzy kosmyk włosów. Czując na policzku delikatny dotyk jego palców, aż wewnątrz zadrżała.

- Jesteś gotowa? - spytał. - Są nieznośni. Jimmy ubóstwia płać psikusy.

Zza domu dobiegał pisk dzieci, bawiących się w wodzie. Zmusiła się do uśmiechu.

- Jasne. Nie boję się małych dzieci.

Czego nie można było powiedzieć o uczuciach, jakie wywoływał w niej ich stryjek. Musi się mieć na baczności.

Chłopcy rzucili się na Douga, jakby go nie widzieli przez kilka dni. Marilyn stała z boku i przyglądała się im. Jeśli te ociekające wodą dzieci, które Doug wyciągnął z basenu i owinał ręcznikami, były podobne do swego ojca, to Doug i jego brat też musieli być do siebie bardzo podobni. Jimmy i Joe mieli takie same ciemne włosy, brązowe oczy i proste brwi jak ich stryjek. Szybko ustaliła, który z nich to Joe, kierując się blizną na brodzie.

Wyszła Kelly z butelką wina i czterema kieliszkami na tacy. Przyłączyła się do powitań. Marilyn z miejsca poczuła do niej sympatię.

- A teraz - zaproponowała Kelly, kiedy wszyscy się trochę uspokoili - usiądźmy i napijmy się po lampce wina.

Gdy Kelly napełniała kieliszki, z domu wyszedł jakiś mężczyzna, zatrzymał się i powiedział:

- Cześć, Marilyn. Pamiętasz mnie?

Zmarszczyła czoło. Siedziała w słońcu, on stał w cieniu i nie widziała jego twarzy. Podeszedł bliżej, uśmiechając się, w jego niebieskoszarych oczach błyskały wesołe ogniki. Wziął ją za rękę i pomógł jej wstać, żeby móc się jej lepiej przyjrzeć.

Przez dłuższy czas mierzył ją wzrokiem, co było tro-

chę krępujące. Ucałował ją w obie ręce, spojrzał na pierścionek ze szmaragdem i powiedział:

- A więc ty udajesz narzeczoną Douga? Mała Marilyn Antioch! Ależ świat jest mały! Upłynęło tyle lat, a ty prawie wcale się nie zmieniłaś.

Kelly spojrzała na Marilyn swymi turkusowymi oczami.

- Znasz mojego brata?

Marilyn próbowała zebrać myśli. Przyglądała się blondynowi, starając się przypomnieć jego twarz.

Wyglądał znajomo. Ależ naturalnie! Dostrzegła rodzinne podobieństwo do Douga mimo innego koloru włosów. Jedno oko miał podbite, a na skroni niewielki opatrunek, ale najwyraźniej się tym nie przejmował.

Nagle doznała olśnienia.

- Kerry? Kerry OToole!

- We własnej osobie - powiedział, kiedy Doug stanął za Marilyn. - A więc mnie pamiętasz!

Marilyn dosłyszała triumfalną nutkę w jego głosie i zauważyła, jak Kerry przeniósł wzrok na Douga, jakby chciał go wyzwać na pojedynek.

Marilyn spojrzała na Kelly.

- Kerry jest twoim bratem? Przecież macie różne nazwiska...

- Ja noszę nazwisko matki - wytłumaczył Kerry. - Pamiętasz Grace? O ile dobrze sobie przypominam, nasze matki większość czasu spędzały razem.

- Masz rację. Co za niespodzianka spotkać cię tutaj, Kerry.

- Znacie się? - powtórzyła pytanie Kelly.

- Poznaliśmy się dawno temu - wyjaśnił Kerry.

- Byłam jeszcze dzieckiem - powiedziała Marilyn. - Dziwię się, że mnie pamiętasz.

- Jak mógłbym zapomnieć? I nie byłaś takim małym

dzieckiem. - Uśmiechnął się lekko. - Budziłaś we mnie żądze, ale nie zgodziłaś się ich zaspokoić.

- Co to są „żądze”?

Marilyn zobaczyła bliźniaka z blizną na brodzie, spoglądającego pytająco na wujka. Doug wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- No, dalej, Kerry. Wytłumacz chłopcu.

- Dowiesz się, jak dorośniesz - powiedział Kerry, a potem zwrócił się do swej siostry i wyjaśnił: - Pojechaliśmy z mamą na narty. Ojciec Marilyn pracował w ambasadzie, a sama Marilyn właśnie skończyła szkołę, była dojrzała, gotowa do zerwania. Osiemnastoletnia dziewczina o wielkich oczach i niezwykle czujnej matce. - Westchnął głęboko. - Była zbyt czujna nawet jak dla mnie, więc Marilyn pozostała dziewicą.

- Co to jest „dziewica”? - spytał Joe.

Tym razem Doug roześmiał się i zmierzwił chłopcu włosy.

- Coś, o czym marzy wujek Kerry, ale prawdopodobnie jego marzenie nigdy się nie ziści. Obraca się w niewłaściwych kręgach, a kiedy znajdzie się w odpowiednim miejscu, stwierdza, że świat jest pełen czujnych matek. I bardzo dobrze.

- Co to znaczy „czujna”?

- Czujna matka pilnuje swoich dzieci, tak jak wasza mama pilnuje ciebie i Jima, żeby nikt was nie skrzywdził.

- Skrzywdziłbyś dziewczynkę? - spytał Joe Ker-ry'ego, który obrzucił Douga gniewnym spojrzeniem.

- Nie - odpowiedział Joemu, a potem znów spojrzął na swego kuzyna. - Gdybym coś zrobił pannie Antioch, byłoby to coś bardzo dobrego, za co by mi podziękowała.

Doug prychnął, a Joe zauważył:

- Stryjek Doug mówi, że to jest pani Ross.

Kerry w końcu zostawił Marilyn w spokoju, ale nie wypuścił jej dłoni, obrzucając ją jeszcze jednym spojrzeniem od stóp do głów.

- Bardzo się cieszę, że znów cię widzę, mała. Wyrosłaś na śliczną kobietę. Tym bardziej żałuję, że zmarnowałem pierwszą szansę.

- Dlaczego uważasz, że kiedykolwiek miałeś u niej jakąś szansę? - szybko spytał Doug. Zaskoczył Marilyn, obejmując ją w pasie, przyciągając do siebie i cofając się jednocześnie na tyle, że Kerry musiał puścić jej dłoń. Wsunęła ręce do kieszeni szortów, mając nadzieję, że nikt nie zauważy, że ręce i nogi jej drżą, kiedy Doug ją tak obejmuje.

- Dougie - powiedział Kerry wyraźnie rozbawionym tonem, spoglądając na kuzyna z lekką naganą. - Zawsze mam szansę.

A potem zwrócił się do Marilyn:

- A więc jak się czujesz, moja droga? Opowiedz mi wszystko o ciekawym świecie, w którym się obracasz.

- Nie obracam się w specjalnie ciekawym świecie - rzuciła Marilyn lekkim tonem. - Praca, praca, praca. To moje pierwsze od dawna spotkanie czysto towarzyskie.

- Bez trudu mogę to zmienić. - Kerry znów wyciągnął do niej rękę, ale Doug zauważył:

- Ręce przy sobie, kuzynie. Nie zapominaj, że to ode mnie dostała ten pierścionek

- Przecież - Kerry wzruszył ramionami - to tylko tymczasowy układ, prawda, Marilyn?

- Prawda - przyznała. Nie chciała go zachęcać, ale musiała powiedzieć prawdę, ponieważ to on wspólnie z Dougiem uknuł cały ten spisek

8

- Nie licz na to - mruknął Doug.

Nie życzył sobie, żeby Kerry OToole dotykał Marilyn. Nie chciał, żeby Marilyn dotykała Kerry'ego. W tamtej chwili miał wielką ochotę zrobić coś bratu Kelly, coś gwałtownego i nieodwracalnego. Musiał na siłę sobie przypominać, że jest człowiekiem cywilizowanym, a nie jaskiniowcem, jednak najchętniej zabrałby Marilyn i ukrył w jakimś bezpiecznym miejscu, uprzednio udowodniwszy jej swoją męskość przez zrobienie miazgi ze swego kuzyna. Nigdy tak silnie nie owładnęły nim prymitywne żądze.

Ale zamiast ulec atawistycznym odruchom, zaprowadził Marilyn na leżak obok basenu i pomógł jej usiąść, a sam przycupnął tuż obok. Kelly podała wszystkim napełnione kieliszki.

Kerry nachylił się i stuknął swoim kieliszkiem z Marilyn.

- Za dawne czasy - powiedział i dodał z wyraźną aluzją: - I za nowe.

- Odwal się, Kerr - wycedził Doug przez zaciśnięte zęby. - Nikomu nie wyjdzie na dobre, jeśli się zapomnisz i dziadek przyłapie cię, jak flirtujesz z moją narzeczoną.

- Dougie, czy nie nadto poważnie traktujesz całą tę komedię z „narzeczoną”? - spytał Kerry, patrząc znacząco na pierścionek na palcu Marilyn. Nie ulegało wątpliwości, że w mig ocenił jego wartość i jeśli nie zro-

biło to na nim wrażenia, to przynajmniej zaskoczyło. - Chodzi mi o to, że jesteśmy we własnym gronie spiskowców, więc nie musisz traktować tego tak poważnie. Lepiej idź smażyć hamburgery i ustąp miejsca prawdziwemu mężczyźnie. Joe oparł się o nogę Douga.

- Kto to jest spiskowiec?

- Ktoś, kto razem z innymi układa plany.

- Jakie plany układacie? Czy ja i Jimmy też możemy się przyłączyć?

Dorośli wybuchnęli śmiechem.

- Nie, skarbie, nie planujemy wycieczki - powiedziała Kelly. - To... to związane jest z naszą pracą. Joe zmarszczył noseć i podreptał do basenu, by wskoczyć do wody i pobawić się z bratem.

Kerry wyszczerzył zęby i mrugnął porozumiewawczo do Marilyn.

- Życie nie składa się wyłącznie z pracy, chyba że chodzi o jakieś zabawne zajęcie, zapobiegające nudzie. Skarbie, jeśli poczujesz się zaniedbywana przez Douga, daj mi znać, a zajmę się tobą.

Dougowi zrobiło się ciepło na sercu, kiedy usłyszał, jak Marilyn się śmieje tak, jakby wiedziała, że Kerry bezczelnie ją podrywa.

- Kerry, nic a nic się nie zmieniłeś.

- I nie zapominaj o tym ani na chwilę - mruknął Doug, a jego ostrzeżenie jeszcze bardziej rozbawiło Marilyn. Czy śmiała się z niego, wiedząc, jak niepodobne do niego jest okazywanie zazdrości? To pytanie nie dawało mu spokoju.

- Myślisz, że żartuję? - spytał, nachyliwszy się do niej.

- Nie - odparła równie cicho. - Ale takie ostrzeżenia są absolutnie zbędne. Jestem całkowicie odporna na

zabiegi podrywaczy. Nie zapominaj, że byłam żoną Szybkiego Freddy'ego Rossa.

- Czyją żoną byłaś? - wtrącił się Kerry, dając Dougo-wi do zrozumienia, że jego rozmowa z Marilyn nie była całkowicie prywatna. - Szybkiego Freddy'ego? Mój Boże! A twoja matka niemal dostała apopleksji, kiedy próbowałem się z tobą umówić. Jakim cudem pozwoliła ci poślubić Freddy'ego Rossa? Czyżby nie wiedziała, że jego przydomek nie ma prawie nic wspólnego z prędkością, z jaką szusował w dół zbocza?

- Miałam dwadzieścia jeden lat - wyjaśniła z uśmiechem - i byłam buntowniczo nastawiona wobec całego świata.

- To rzeczywiście musiał być wielki bunt. - Marilyn się uśmiechnęła.

- Owszem. Dziwne, jak bardzo przypominasz mi Freddy'ego.

Nie poznawszy się na subtelnej aluzji, Kerry zrobił minę człowieka zadowolonego z siebie.

- Kobiety zawsze mają słabość do tego samego typu mężczyzn - powiedział zadufanym tonem. - Chyba wiesz, że ja i Doug zupełnie różnimy się charakterami.

Akurat wtedy Kelly stwierdziła, że Doug musi zacząć smażyć hamburgery, bo jeszcze trochę, a dzieciaki zaczną jeść trawę. Pociągnął Marilyn za rękę i poszedł z nią na taras, gdzie stał rożen. Kerry podążył za nimi, domagając się, by Marilyn mu powiedziała, co się wydarzyło w jej życiu w ciągu ostatnich dwunastu lat.

Podczas gdy Doug wrzucał kotlety na ruszt, Marilyn opowiadała Kerry'emu o firmie, przejętej po wuju. Doug zauważył, że sprawiała wrażenie zadowolonej, gawędząc z Kerryem.

Słyszając jej głośny śmiech, gdy zręcznie uniknęła odpowiedzi na jedno z wyjątkowo bezczelnych pytań

o przyczynę rozwodu z Freddym, Doug zacisnął zęby, czując kolejne ukłucie zazdrości. Wiedział, że nie ma prawa tak się zachowywać. Wprawdzie nosiła na palcu pierścionek od niego, ale przez najbliższy miesiąc łączyła ich tylko umowa. Trudno nawet było uznać tę umowę za interes, skoro Marilyn nie zgodziła się przyjąć pieniędzy. A Kerry O'Toole był przystojniaczkiem, który podobał się kobietom. Mimo zapewnień Marilyn, mało prawdopodobne, by okazała się niewrażliwa na osobisty urok jego kuzyna. Jak powiedział Kerry, kobiety zazwyczaj lubią jeden typ mężczyzn. A Doug zdecydowanie różnił się od Szybkiego Freddy'ego Rossa i Kerry'ego O'Toole'a. Mógł nie zwracać uwagi na Kerry'ego i Marilyn, oddających się przyjacielskiej pogawędce po latach niewidzenia się, ale wmówił sobie, że jest jej coś winien. Może powinien ją chronić przed niebezpiecznym człowiekiem, jakim był jego kuzyn? Marilyn była już rozwódką, ale wyczuł, że pod zewnętrzną warstewką kobiety wyzwolonej kryje się sama niewinność. Jako osiemnastolatka miała szczęście, że nie wpadła w sidła Kerry'ego.

Dwanaście lat później, mimo dojrzałości i siły charakteru, samo szczęście jej nie wystarczy, ponieważ Kerry też dojrzał i udoskonalił swoje metody uwodzenia.

Marilyn nie mogła się powstrzymać od śmiechu, słuchając zabawnej opowieści Kerryego o jednej z jego ostatnich przygód, po której pamiątką było podbite oko.

Zauważyła, że Kerry, mówiąc, nie patrzy cały czas w twarz swego rozmówcy. Jego głos nie był tak głęboki i chropawy i nie wywoływał w niej takiego dreszczyku jak głos Douga. Kerry był od niego trochę niższy,

nie taki barczysty, na policzkach miał kilka blizn, prawdopodobnie pozostałości po trądziku młodzieńczym.

Miał jednak uśmiech bardzo podobny do uśmiechu Douga, a podziw, malujący się w jego oczach, zwiódłby niejedną kobietę.

Marilyn nie potrzebowała jednak eleganckiego czarusia, by przypominał jej, jaka jest kobieta. Wystarczyły jej pocałunki Douga. Dość, by musnął palcem jej policzek, a stawała się zupełnie bezwolna.

Żeby o tym nie myśleć i by uciec od obu mężczyzn -jednego, który ją irytował, i drugiego, który ją zniewalał - Marilyn poszła do kuchni i zaproponowała Kelly swoją pomoc.

- Pani Ross, co by pani wolała zrobić: zjeść talerz rzygowin czy przepłynąć rzekę glutów?

- Jimmy! - Kelly walnęła ręką w stół, aż wszyscy podskoczyli. - Masz natychmiast przeprosić panią Ross.

Jimmy spuścił głowę i spojrzał na Marilyn spod oka.

- Przepraszam - powiedział, a ona z całej siły starała się nie wybuchnąć śmiechem.

To było trzecie kłopotliwe pytanie tego wieczoru i chyba najgorsze. Ponieważ Marilyn zrobiło się żal chłopca, spytała:

- Jimmy, jaka jest różnica między kaczką? Spojrzał na nią znad talerza. Policzek miał wymazany keczupem aż do ucha.

- Słucham?

Joe przechylił głowę tak samo, jak robił to Doug.

- Między kaczką a czym? Marilyn się uśmiechnęła.

- Zwyczajnie... między kaczką.

Obaj chłopcy, a także trójka dorosłych zrobili zdziwione miny.

- Jedna noga jest taka sama - odparła z poważną miną Marilyn.

- Racja - powiedział Doug.

Jimmy jeszcze raz spytał: „Słucham?“, ale Joe się roześmiał.

Kerry gapił się na niego.

- Zrozumiałeś?

- Jasne. Chodzi o to, żeby zagadka była pozbawiona sensu.

Doug obrzucił Marilyn długim, pełnym podziwu spojrzeniem, jakby miał ochotę ponownie rozważyć warunki ich umowy.

- Wspaniale ci się udało - powiedział, ale właśnie wtedy niezmordowany Jimmy wyskoczył z kolejnym dowcipem, na szczęście takim, że jego matka nie czuła się zmuszona zbesztać syna.

Posiłek upływał w miłej atmosferze. Kelly okazała się kobietą inteligentną, a poza tym cudowną matką. W głębi serca Marilyn jej zazdrościła i ogarnęło ją poczucie pustki, kiedy Kelly zabrała chłopców do domu, by przygotować ich do snu.

Zapadał zmrok, gdy pojawili się ponownie, wykąpani i w piżamach, by powiedzieć dobranoc.

Ucałowawszy obu wujków, stanęli przed Marilyn, jakby nie wiedzieli, czego się od nich oczekuje.

Podąła rękę Joemu i powiedziała:

- Cieszę się, że cię poznałam. Zadajesz ciekawe pytania. Smacznie śpij.

Następnie uścisnęła rękę Jimmy'emu, nachyliła się do niego i szepnęła:

- Wiesz co, Jim... chyba wolałabym przepłynąć rzekę. Zachichotał.

- Ja też.

Kerry skrzywił się i wstał, by zapalić reflektorki wo-

kół tarasu, a Doug objął Marilyn w pasie i przyciągnął ją bliżej do siebie. Roześmiał się cicho.

- Ja też tak odpowiedziałem - oświadczył. - Jimmy ubóstwia przyprawiać ludzi o mdłości.

- I zazwyczaj mu się to udaje - przyznała nieznajoma kobieta, która akurat wtedy wyszła z domu.

Doug przedstawił Marilyn Shirley Benton, nianię chłopców. Shirley właśnie wróciła z randki, która - jak to wyjaśniła drwiąco i z silnym szkockim akcentem - niezbyt się udała.

Kerry dał wyraz swemu ubolewaniu, prowadząc wszystkich z powrotem na leżaki, ale Shirley wzruszyła ramionami.

- Nie traktuję go poważnie, Kerry.

Marilyn westchnęła. Musiała przyznać, że o ile przyjaciel Shirley nie jest dla niani nikim ważnym, nie można tego powiedzieć o jej stosunku do Douga, od którego niemal nie była w stanie oderwać wzroku.

Marilyn ciekawa była, czy Doug dużo czasu spędza w domu Kelly i czy Shirley zaliczała się do tych kobiet, którym - a było ich podobno wiele - Doug złamał serce.

Wróciła Kelly i następne półtorej godziny upłynęło im na rozmowie na tematy ogólne. Shirley zabawiła Marilyn opowiadaniem o psikusach Jimmy'ego i Joego, których najwyraźniej ubóstwiała, a Kerry wciąż dolewał sobie wina.

Gdy w końcu Marilyn wstała, mówiąc, że na nią pora, zrobiła to wyraźnie niechętnie. Nie pamiętała, kiedy spędziła tak miły wieczór. W ciągu jedenastu miesięcy pobytu na zachodnim wybrzeżu nie miała czasu na zawieranie przyjaźni. Dziś wieczorem uznała, że znalazła kogoś bliskiego, szczególnie w osobie Kelly. I do tego czującego do niej wdzięczność.

- Bardzo ci dziękuję - powiedziała Kelly do Marilyn, stojąc na podjeździe razem ze swym bratem-bliźnią-

kiem. - W pierwszej chwili ich pomysł niezbyt mi przypadł do gustu, ale musiałam przyznać, że może to być dla mnie jedyna szansa. Naprawdę nie chciałabym stracić firmy, przekazać jej w ręce ludzi, którzy mogliby drastycznie zmienić jej oblicze. Kiedy się zgodziłaś udawać narzeczoną Douga, wielki ciężar spadł mi z serca. Mam nadzieję, że gdy się to wszystko skończy, bez względu na ostateczny rezultat, będziemy się częściej spotykać.

- Możesz być o to spokojna - zapewnił siostrę Kerry, lekko się zataczając. Uśmiechnął się czarująco. - Już się o to postaram. Dwanaście lat temu mi się nie udało. Teraz się to nie powtórzy.

- Kerry! Jak można mówić, takie rzeczy kobiecie, która dopiero co się zaręczyła! - wykrzyknęła Marilyn, udając oburzenie.

- Wszyscy wiemy, że razem z Dougiem nie traktujecie tego poważnie - odparł Kerry.

- Podobnie jak to, że tobie w głowie tylko małpie wygłupy - nie pozostał mu dłużny Doug.

Kelly uśmiechnęła się, patrząc na Douga, obejmującego Marilyn.

- Drogi kuzynie, z tego, co widzę, mogę powiedzieć, że nie jesteś dużo lepszy od niego.

- No właśnie. Miej się na baczności - zwrócił się Kerry do Marilyn. - Jeśli zaczniesz się zachowywać nieodpowiednio, powiedz mi, a ja już się postaram, żeby się poprawił. W przeciwnym razie złamię ci serce, a potem cię rzuci.

Marilyn i Kelly wybuchnęły śmiechem. Kelly szturchnęła brata w tors.

- I kto to mówi - powiedziała z identycznym akcentem jak Kerry. - Sam masz na swym koncie mnóstwo złamanых kobiecych serc. - Spojrzała na Marilyn. - Ale nie sądzę, by Marilyn powiększyła grono twoich ofiar.

- I masz rację - potwierdziła Marilyn. - Dość trudno mi złamać serce.

Kelly się uśmiechnęła i poklepała ją po ramieniu.

- Nie bądź taka pewna. Może trudno je złamać, ale łatwo zranić.

Mówiąc to, patrzyła nie na swojego brata, tylko na kuzyna.

Przez całą drogę do domu Marilyn jechali w milczeniu. Gdy odprowadził ją do drzwi, rzucił jedynie:

- Dobranoc. Skontaktuję się z tobą.

Położyła się do łóżka głęboko rozczarowana, że nie pocałował jej na pożegnanie, i obudziła się z bólem głowy.

Obawiała się, że Kelly ma rację - a zarazem się myli. Jej serce już było zranione i z całą pewnością groziło, że zostanie złamane, jeśli Marilyn nie weźmie się w garść i nie ukryje go pod pancierzem, by Douglas Ellery Fountain junior nie uczynił w nim większych spustoszeń.

Do końca poprzedniego tygodnia i na początku tego nie brali udziału w żadnych oficjalnych spotkaniach towarzyskich, co nie znaczy, że się nie widywali. Z każdą wspólnie spędzoną godziną Marilyn odkrywała kolejne cechy charakteru Douga i jeszcze bardziej umacniała się w przekonaniu, że ściąga sobie na głowę coraz większe kłopoty. Doug pilnował się, podobnie jak Marilyn, by do minimum ograniczać kontakty fizyczne. Skończyły się pocałunki, przytulanie, czasem tylko przypadkiem spotykały się ich ręce. Nic, co można by uznać za „nieodpowiednie zachowanie”.

Stopniowo zaczęło to Marilyn doprowadzać do szaleństwa, bo pragnęła czegoś więcej.

Dwa razy zjedli obiad z jego dziadkiem, podczas których Doug nie skąpił jej pieszczotliwych gestów:

lekko przesunął ręką po plecach Marilyn, kiedy pomagał jej usiąść, delikatnie odsunął jej włosy za ucho, uśmiechnął czule, gdy Franklin zauważył, że widzi, jak bardzo są w sobie zakochani.

Nieprawda!- miała ochotę powiedzieć Marilyn starszemu panu. - *Nie widzisz, że tylko udajemy?*

Czy aby na pewno? pytało jej serce. Nie mogła mówić za Douga. Natomiast jeśli o nią chodziło, miała poważne obawy, czy tak jest. Mało brakowało, by się w nim zakochała.

Kilka razy odwiedzili Kelly i jej synów, parę razy zabrali dzieciaki na lody albo na przejażdżkę, by dać wytchnąć Shirley, kiedy Kelly dłużej zostawała w pracy. To wystarczyło, żeby Marilyn się przekonała, że Doug naprawdę kocha swoich bratanków i byłby wspaniałym ojcem.

Był wtorkowy wieczór, drugi tydzień ich „narzeczeństwa”, kiedy mało brakowało, by Marilyn znów zrezygnowała z całej tej komedii. Jak zwykle odprowadził ją pod same drzwi i nie pocałował jej, ale ujął pod brodę i przesunął palcem po ustach.

- Marilyn, wiem, że postawiłaś sprawę jasno, i zgodziłem się na twoje warunki. Staram się, ale chciałbym...

Urwał i ją objął.

- Chcę tego.

Delikatnie musnął jej usta swoimi wargami. Rozchyliła je, czując falę pożądania. Chwyliła poły jego marynarki i cicho westchnęła.

Objął ją mocniej i przycisnął do siebie. Zsunęła z nogi sandał i przesunęła bosą stopą po jego łydce. Odchylił głowę Marilyn do tyłu i zaczął ją całować jeszcze żarliwiej. Przyparł ją do drzwi, jego ruchy były wolne i zmysłowe, podobnie jak pocałunek. Marilyn serce waliło jak młotem, w głowie jej się kręciło. Roz-

koszowała się jego pieścizotami, wdychała jego zapach, mieszający się z wonią kwiatów, rosnących w ogródku przed domem.

Oderwał się od niej. Oddychał ciężko, nierówno. Przyjrzał się jej w żółtawym świetle lampy, zainstalowanej nad drzwiami.

- Jutro muszę lecieć do Los Angeles - powiedział. - Nie będzie mnie przez tydzień. Pojedź ze mną.

- Jechać z tobą?

- Tak. We wszystkich naszych hotelach są apartamenty z kilkoma sypialniami, wyposażonymi w zamki w drzwiach. Marilyn, nie proszę o więcej, niż jesteś gotowa mi dać. Zwyczajnie chcę cię mieć przy sobie. Rozmawiać z tobą, śmiać się. Widzieć cię, słyszeć twój głos, dotykać twoich włosów.

- Doug... - Głos jej drżał, być może ze strachu. Widocznie tak to odebrał.

- Cokolwiek wydarzy się między nami, chcę, żebyś to ty dyktowała tempo - obiecał.

Miała ogromną ochotę z nim pojechać. Nigdy w życiu nie pragnęła niczego równie gorąco.

Ładna historia! Wyraźnie widziała niebezpieczeństwa, których chciała uniknąć, ale teraz wcale nie była pewna, czy chce tego naprawdę. Już samo to napawało ją lękiem.

Jednak zmusiła się do śmiechu i odsunęła od Douga. Kiedy jej nie dotykał, łatwiej jej było zachować rozsądek.

- Los Angeles? Może inne twoje znajome są na każde twoje skinienie. Ja do nich nie należę.

- Dlaczego nie możesz wyjechać? Przecież jesteś na urlopie.

- Tak, ale pojutrze mam odczyt w Klubie Kobiet Interesu, a w piątek po południu jest konferencja wszystkich członków zarządu fundacji. Poza tym muszę być

na miejscu na wypadek, gdybym była potrzebna Josie lub Edwinowi. - Improwizowała, więc ograniczyła się do tego, co było prawdopodobne. - Ale nawet gdyby nie to, nasza znajomość miała pozostać czysto platoniczna.

- Wiem. - Zanurzył palce w jej włosach. - Lecz tak nie jest, prawda, Marilyn? - Ton głosu Douga stał się nieco niższy. - Obydwoje pragniemy tego samego.

- Nie! -i Odsunęła się, by uwolnić się od budzącego jej pożądanie dotyku jego rąk. - Nic z tego nie wyjdzie! - powiedziała głosem pełnym paniki. - To nie ma sensu. To...

- To nieuniknione - przerwał jej cicho. Udowodnił jej to, a ona się nie opierała.

Zalała ją fala pożądania, kiedy ją całował, a gdy przestali się całować, stała bezwolna.

- Marilyn, jesteś... - urwał, gdy na podjazd skręcił samochód, oślepiając ich światłem reflektorów.

Doug odskoczył od niej pospiesznie i schował ręce do kieszeni, przybierając nonszalancką pozę.

Dlaczego? Bo nie chciał, by ktokolwiek wiedział, co ich łączy? Ponieważ z chwilą, kiedy przestanie mu być potrzebna, zostawi ją i nawet się za nią nie obejrzy?

Jeszcze nigdy Marilyn nie pragnęła tak gorąco, by Rhonda znajdowała się w tej chwili jak najdalej stąd. Co zamierzał powiedzieć Doug? Czy rozproszyłby jej obawy, uśmierzył lęki? Już nigdy się tego nie dowie.

Starając się odzyskać panowanie nad sobą, przedstawiła Douga swojej przyjaciółce. W chwilę później odjechał, a ona czuła się, jakby właśnie ominęło ją coś wyjątkowego.

Doug zadzwonił do Marilyn dopiero w czwartek po południu.

- Właśnie wróciłem z Los Angeles i sekretarka przypomniała mi o imprezie, w której muszę wziąć udział.

Czy możesz mi towarzyszyć na przyjęciu ślubnym w piątek wieczorem?

- Myślałam, że cię nie będzie przez cały tydzień.

- Spieszyłem się z powrotem - powiedział takim tonem, że poczuła miłe łaskotanie na całym ciele. -
Pójdiesz ze mną?

- Tak - zgodziła się, mając nadzieję, że jej głos nie zdradzą, jak bardzo tego pragnie. - Gdzie i kiedy?

- O siódmej w sali balowej hotelu. Przyjadę po ciebie koło wpół do siódmej. Odpowiada ci to?

- Naturalnie, ale możemy się spotkać na miejscu.

- Nie ma takiej potrzeby. Wolę po ciebie pojechać, a potem odwieźć cię do domu.

- No cóż, zgoda. - Już go miała zapytać, jak udała się podróż, kiedy uświadomiła sobie, że chce przedłużyć z nim rozmowę tylko po to, by słyszeć jego głos. Niechęć do odłożenia słuchawki, przzerwania nawet takiego kontaktu z Dougiem, sprawiła, że poczuła się jak zakochany podlotek.

Doug, jakby przeżywał to samo, spytał:

- Masz jakieś plany na dzisiejszy wieczór?

- Tak. Odczyt dla grupy stomatologów o działalności fundacji.

- Jestem pod wrażeniem. W takim razie do jutra.

- Do jutra.

Tamtego wieczoru, udzieliwszy odpowiedzi na kilkanaście pytań, Marilyn zakończyła przedstawianie fundacji, podziękowała obecnym za uwagę i wskazała kwestionariusze, wyłożone na długim stole po lewej stronie, gdzie zainteresowani mogli zostawić swoje nazwiska i adresy. Zeszła z mównicy, żegnana głośnymi oklaskami, wcale nie będąc pewna, czy na nie zasłużyła.

Przez ostatnią godzinę, odkąd zobaczyła, że przyszedł Doug i zajął miejsce w rzędzie z tyłu, ciężko było się jej skupić.

Zbliżył się do niej, kiedy opuściła mównicę.

- Nie spodziewałam się tu ciebie - powiedziała.

- To była spontaniczna decyzja. Chciałem cię zobaczyć. Chciałem się dowiedzieć czegoś więcej o fundacji. A także powiedzieć ci, jak bardzo za tobą tęskniłem.

Ich spojrzenia się spotkały.

- A więc jak bardzo?

- Ktoś mi kiedyś doradził, że lepiej to okazywać, niż o tym mówić.

- Naprawdę? A jak zamierzasz to okazać?

Zanim odpowiedział, ktoś dotknął jej ramienia, zadając pytanie o fundację.

Przez następne trzy kwadransy krążyła między poszczególnymi grupkami, odpowiadała na pytania, wyjaśniała bardziej szczegółowo niektóre aspekty działalności fundacji, ani przez moment nie okazując, że wolałaby już wyjść.

Była zła, że musi tu być i pełnić honory gospodyni spotkania, wolałaby pójść gdzieś z Dougiem i słuchać go, jak mówi. Jego głos, jak zawsze niski i chropawy, brzmiał, jakby Doug był przeziębiony. Albo - przemknęło jej przez myśl - jakby się dopiero obudził. Niektórzy mają zaspane oczy. On miał zaspany głos.

Uśmiechnęła się. Kiedy spojrzała na niego, uświadomiła sobie, że on ma i zaspane oczy, i zaspany głos.

- Dlaczego mi się tak przyglądasz?

- To znaczy jak?

- Marilyn... - zaczął ostrzegawczo. Wydawało jej się, że wstrzymał oddech, patrząc jej w oczy. - Czy możemy już wyjść?

- Tak - rzuciła jednym tchem. Tłum się przerzedził, większość tac z przekąskami była pusta, bar nieczynny. Obsługa hotelu krążyła w głębi sali, wyraźnie chciała już posprzątać i pójść do domu.

- Z przyjemnością obserwowałem cię w akcji - powiedział. Wyszli na ulicę. Powietrze przesycone było słodkim zapachem petunii i werben, rosnących w koszykach, zawieszonych na słupach wszystkich latarni. - Umiesz porwać słuchaczy. Sprawiasz wrażenie, jakbyś lubiła swoją pracę, i jestem pewien, że twoja obecność na sali zwiększyła zainteresowanie fundacją.

Roześmiała się.

- Nie tylko sprawiam wrażenie, jakbym lubiła swoją pracę. Naprawdę lubię wyjaśniać, jak działa nasza fundacja, i obserwować, jak ludzie uświadamiają sobie ogrom potrzeb, a także ile dobrego mogą zrobić i jak wiele skorzystać na tym osobiście. To prawie równie satysfakcjonujące, jak obserwowanie współdziałania ofiarodawców z konkretnym kalekim dzieckiem i jego rodziną. Ma to dla mnie ogromne znaczenie. Jest...

Urwała i wybuchnęła śmiechem.

- Ale to wszystko już słyszałeś.
 - Nie szkodzi. Lubię słuchać, jak mówisz. Twoje przemówienia są pełne humoru, potrafisz dotrzeć ze swoim przesłaniem do ludzi. Każdego z tych dentystów owinęłaś sobie wokół palca. Powinnaś być komikiem.
 - O, nie, dziękuję bardzo - sprzeciwiła się Marilyn. - Wystarczą mi wystąpienia publiczne, do których zmusza mnie działalność w fundacji. Czuję się po nich kompletnie wykończona.
 - Czy wstąpimy gdzieś, żeby się napić, czy też jesteś za bardzo zmęczona?
 - Zaproś mnie na pączka, nie odmówię - powiedziała. - Umieram z głodu.
- Przystanął.
- Przyznajesz się do głodu? Nie zamierzasz zaprzeczać i czekać, aż zdradzi cię burczenie w brzuchu? Marilyn roześmiała się i ujęła go pod ramię.
 - Tym razem nie.
 - To chyba oznacza, że zaczynasz mi ufać. Zagryzła usta.
 - Być może. - Czy nie domyślał się, że to coś więcej niż zaufanie?
- Objął ją ramieniem.
- Nie jadłaś przed swoim wystąpieniem? Pokręciła głową.
 - Nigdy wcześniej nie jem. I nie mam ochoty na serwowane później przekąski. Zresztą, czy próbowałaś kiedyś odpowiadać na pytania, mając usta pełne krakersów z pastą serową? Doug przytulił ją mocniej i się roześmiał.
 - Lubię cię za twoje poczucie humoru, Marilyn - powiedział. - Było mi ciebie brak.
- Patrzyła na niego i uśmiechała się, a serce jej rosło ze szczęścia. W końcu wyznała:

- Mnie też było ciebie brak.

- W takim razie... - powiedział i urwał.

Cały czas ją obejmował. Kiedy znaleźli się przed hotelem, zamiast wprowadzić ją przez główne wejście, skręcił za róg, gdzie w ocienionej wnęce znajdowały się mniejsze drzwi, do których prowadziło kilka niskich stopni.

Zanurzył palce w jej włosach.

- Chcesz wiedzieć - zaczął zachrypniętym głosem - jak bardzo za tobą tęskniłem?

Marilyn kolana zrobiły się jak z waty, ale udało jej się odpowiedzieć lekkim tonem:

- Chyba tak. Możemy porównać notatki.

Pozwoliła się objąć i nastawiła usta do pocałunku.

Kiedy przestali się całować, stali blisko siebie bez słowa, póki jakiś pijak, który ich mijał, poprosił o ćwierćdo-larówkę. Doug puścił Marilyn, wyciągnął z kieszeni jakiś banknot i dał go mężczyźnie, który odszedł, zataczając się.

- Chyba jednak nie mam ochoty na tego pączka - doszła do wniosku Marilyn. - Zdaje się, że straciłam apetyt na jedzenie.

Przesunął palcami po jej policzku i wzdłuż szyi aż do miejsca, gdzie kończył się dekolt jej sukni.

- Ja też - wyznał. - Co wcale nie oznacza, że go zaspokoilem.

- Doug... - Głośno przełknęła ślinę.

- Wiem. - Westchnął. - Tego nie przewidywała nasza umowa.

Miał rację i powtórzył to, co mu powiedziała przed jego wyjazdem, więc skinęła głową, choć w pierwszym odruchu chciała zareagować inaczej. Sama nie wiedziała, czy się cieszy, czy też jest rozczarowana, że nie wspomniał o tym, co nieuchronne. Może z dala od niej miał czas, żeby wszystko spokojnie przemyśleć, i górę nad emocjami wziął zdrowy rozsądek.

- Chyba lepiej, jak wrócę do domu.

- Dobra - zgodził się. - Odprowadzę cię do samochodu.

Niewiele mówili, kiedy szybko szli do miejsca, gdzie zaparkowała. Przed samochodem pocałował ją krótko, ale tak delikatnie, tak czule, że poruszyło to w niej jakąś strunę, która nadal drżała, kiedy Marilyn wchodziła do swego domu.

Przed położeniem się spać odsłuchiwała wiadomości, pozostawionych na automatycznej sekretarce. Nagrał się tylko jej brat, narzekający, że matka jest „niemożliwa”. Ponieważ przeważnie taka była, Marilyn nie czuła się zobowiązana do oddzwonienia do brata. W Bostonie był właśnie środek nocy, zresztą nie miała ochoty rozmawiać z Lucasem.

Poza tym telefon mogła odebrać matka. Na samą myśl o tym Marilyn się wzdrygnęła. Środek nocy to na pewno najgorsza pora na rozmowę z matką, szczególnie gdyby ją obudziła.

Jednak przede wszystkim wolała myśleć o czymś innym i nie chciała, by cokolwiek jej w tym przeszkadzało.

Marilyn była gotowa, kiedy Doug przyjechał po nią w piątkowy wieczór. W pełni panowała nad swoimi emocjami. Miała na sobie powiewną sukienkę z granatowego jedwabiu, srebrną biżuterię, białe sandały i biały szal, przewiązany na jednym ramieniu. Uważała, że w pełni zasługuje na podziw, jaki dostrzegła w jego spojrzeniu.

Jadąc do centrum, słuchali radia. Stwierdzili, że podoba im się podobny rodzaj muzyki, w czym nie było nic dziwnego, bo należeli do tego samego pokolenia. Kiedy nadawano wiadomości, odkryli, że tylko nieznacznie różnią się poglądami politycznymi. Wywiązała się między nimi dyskusja o książkach; obydwójce byli gorliwy-

mi czytelnikami, interesowało ich wszystko, od biografii przez fantastykę naukową do najlepiej sprzedających się dreszczowców, poza tym on lubił również opowieści z Dzikiego Zachodu, a ona - romanse.

- Opowieści z Dzikiego Zachodu - powiedziała - to romanse dla mężczyzn.

- Tak - zgodził się, szczerząc zęby w uśmiechu. - Z tą różnicą, że w opowieściach z Dzikiego Zachodu na koniec facet jedzie w stronę zachodzącego słońca na swym wiernym wierzchowcu, a w romansach odchodzi z ukochaną swego życia. Nigdy nie ma tam mowy o rozwodzie, który następuje tuż po happy endzie.

- Być może. Ale po szczęśliwym zakończeniu opowieści z Dzikiego Zachodu koń może złamać nogę i będzie go trzeba zastrzelić.

Wciąż chichotał, kiedy portier na całą szerokość otworzył przed nimi drzwi, a parkingowy zaopiekował się samochodem Douga.

- Czy zawsze masz na wszystko odpowiedź? - spytał, kiedy wchodzili do środka.

Marilyn uśmiechnęła się zadowolona z siebie.

- Staram się.

- No tak - przyznał. - Jedną nogę mają zawsze taką samą. Gdzie to usłyszałaś?

- Gdybyś wystarczająco długo przebywał z dziećmiakami w ośrodkach rehabilitacyjnych, usłyszałbyś wiele naprawdę dziwaczných dowcipów. Czasem osobliwe poczucie humoru to jedyne, co czyni życie tych dzieci znośnym.

- A ty dużo z nimi przebywasz, prawda? - spytał, kiedy mijali fontannę, skrzącą się pod kryształowym żyrandolem.

- Nie tyle, ile bym chciała. Sprawy papierkowe zabierają mi zbyt wiele czasu. Najlepiej, gdybyśmy mogli zatrudnić administratorkę na pełny etat, ale nie chcemy na

to przeznaczać pieniędzy, które naprawdę potrzebne są dzieciakom. Fundacja płaci Rhondzie za pracę w niepełnym wymiarze godzin, ale Rhonda wkrótce wychodzi za mąż. Razem z Harleyem będzie spędzać większość roku w Kostaryce. Będzie mi jej brakowało. Dzieciom też.

- Lubisz dzieci, prawda?

Marilyn skinęła głową. Doug pchnął drzwi, dobiegł ich gwar, śmiech i dźwięki muzyki.

- Bardzo - powiedziała.

- To widać, kiedy jesteś z Jimmym i Joem.

Ktoś go zatrzymał, uściśnął mu dłoń i klepnął w plecy, mówiąc, że cieszy się, że udało im się przyjść.

Doug przedstawił Marilyn ojca panny młodej, a potem prowadził ją od grupki do grupki, ze wszystkimi zamieniając kilka słów, zaprezentował młodej parze, rodzicom pana młodego, matce i siostrze panny młodej oraz kilkorgu znajomym. Jeśli ktoś zauważył pierścionek na jej palcu, nikt tego nie skomentował, więc nie trzeba było nic wyjaśniać, kłamać.

Marilyn nawet się ucieszyła, że na przyjęciu są znajomi Douga, a nie jego dobrzy przyjaciele, z których każdy mógł się czuć uprawniony do zadawania pytań.

Kiedy tak krążyli po sali, zastanawiała się, czy kiedykolwiek będzie miała okazję poznać ludzi, których Doug uważa za swych przyjaciół...

Doug okazał się wymarzoną partnerem na przyjęciach towarzyskich. Troszczył się o Marilyn, przynosił jej napoje, na które miała ochotę, pomagał nakładać na talerz zimne przekąski. Podczas kolacji siedzieli z dwójką znajomych Douga z pracy. W miłym towarzystwie zjedli smaczny posiłek. Wzniesli niezliczoną liczbę toastów za każdego, za kogo tylko można wznosić toasty podczas weselnego przyjęcia.

Potem zaczęła grać muzyka i Doug zaprosił Marilyn do tańca. Bała się tego, ale jednocześnie na to czekała.

Stopniowo, wraz z kolejnymi tańcami, traciła kontrolę nad sobą. W tańcu obejmował ją, ale bez przesady. Kiedy ocierali się o siebie, kolana Marilyn się uginały i czuła palące ją pożądanie. Pragnęła czegoś więcej, pragnęła czuć go całego, chciała, żeby ją obejmował tak mocno, jak to zrobił już raz czy dwa razy, chciała, żeby ją całował tak, by zakreśliło się jej w głowie. Nigdy tak bardzo nie pragnęła żadnego mężczyzny.

Chuć, upomniała siebie. Bezwstydna, szokująca chuć. Prawie wcale go nie znała, chociaż spędzili ze sobą tyle czasu. Pocałunki, rozmowy, jej rozmyślenia o nim, marzenia, które snuła - to wcale nie znaczy, że go naprawdę poznała.

Bez względu na to, co ich łączyło, donikąd ich to nie zaprowadzi. Nie może zaprowadzić. Bo jeśli jego rodzina nie zaakceptuje Kelly i jej synów, kiedy prawda wyjdzie na jaw, jeśli nie otrzymają tych kilku dodatkowych głosów, na które liczą Doug i Kelly, wtedy sytuacja Douga się nie zmieni.

Nadal będzie się poczuwał do obowiązku wypełnienia obietnicy, złożonej bratu, że nie dopuści do oddania firmy w obce ręce.

Będzie jedynym Fountainem, godnym stać na jej czele. I będzie potrzebował kobiety, która urodzi mu dziedziców.

Marilyn Ross nie była tą kobietą. Wyrwało się jej głębokie westchnienie.

Doug ujął ją pod brodę.

- Co się stało? - spytał cicho, spoglądając na nią spod gęstych rzęs.

- Nic - skłamała. - Rozkoszuję się muzyką, tańcem. - Uśmiechnęła się. - I towarzystwem.

Doug spojrział Marilyn głęboko w oczy. Wiedział, że go okłamuje. Mogła się cieszyć muzyką, tańcem i jego towarzystwem, ale kąci jej ust, stworzonych do całowania, smutno opadały, póki nie zmusiła się do uśmiechu.

Jej zazwyczaj ożywiona twarz i błyszczące oczy zdawały się pozbawione wszelkich uczuć z wyjątkiem cienia... lęku?

Przytulił ją mocniej i poczuł, że przebiegł ją dreszcz. Czyżby się go bała? Zwolnił uścisk, ale nie skorzystała z okazji, by się od niego odsunąć, tylko wtuliła się mocniej.

Odruchowo przygarnął ją do siebie, starając się nad sobą panować. Wiedział, że wszystko to dzieje się za szybko, wiedział, że musi znaleźć jakiś sposób, by okiełznać pożądanie, nim na dobre odstraszy Marilyn. Ale jak? Wiedział, że ta kobieta jest stworzona dla niego.

Nie było odwrotu. Musi ją przekonać, że kiedy nadchodzi właściwy moment, nie ma na to rady bez względu na to, jak krótko trwa znajomość. Po prostu niektórych rzeczy nie da się w żaden sposób uniknąć. I właśnie mieli do czynienia z jedną z nich.

Przez chwilę trzymał Marilyn blisko, chociaż muzyka umilkła. Najchętniej w ogóle by jej nie wypuszczał z objęć. Wdychał jej zapach, na swoim policzku czuł gęste, lśniące niczym jedwab włosy. Ale gdy parkiet opustoszał, musiał ją puścić. Poprowadził ją do małego stolika w głębi sali, po drodze wziął z tacy dwa kieliszki szampana.

Obserwował Marilyn, jak sący szampana, obserwował, jak stara się być beztroska ze względu na niego, obserwował, jak stara się zapomnieć o tym, że on jest mężczyzną, a ona kobietą. Podziwiał jej próby, chociaż wiedział, że skazane są na niepowodzenie, podobnie jak jego starania.

- Masz jakieś plany na weekend?

Wzruszyła kragłymi, gołymi ramionami, stworzonymi do pieszczot.

- Właściwie nie - powiedziała. - Chcę odpocząć i po-leniuchować.

- Trudno mi sobie to wyobrazić - odparł, kiedy zespół od nowa zaczął grać.

- Cóż, prawdopodobnie uzupełnię komputerową bazę danych o fundacji.

- Rozumiem - rzekł, pomagając jej wstać, by znów z nią zatańczyć. - Ale możesz również wypłynąć na kilka godzin moją łodzią. Poza tym zostaw mnie sprawę tej administratorki na pełny etat.

Roześmiała się.

- Wiem, że szukasz nowej pracy, ale nigdy by mi nie przyszło do głowy, że pragniesz się zatrudnić w fundacji. Zresztą już ci mówiłam, że nie możemy sobie pozwolić na wydawanie pieniędzy, przeznaczonych dla dzieci, na takie cele. Przynajmniej na razie.

Zespół zaczął grać dyskotekowy utwór z lat siedemdziesiątych i szybkie tempo zmusiło ich do rozdzielenia się.

- Nie ja, głuptasie - powiedział Doug, zbliżając się do Marilyn, ale jej nie dotykając. - Zatrudnię kogoś. Albo będę płacił pensję osobie, zatrudnionej przez ciebie.

- Nie! - zaprotestowała gwałtownie. Obróciła się, suknia zawirowała jej wokół bioder. - Już zaproponowałeś swój odrzutowiec i wsparcie dla jednego dziecka i jego rodziny - przypomniała, odwracając się przodem do Douga, świadoma, gdzie powędrował jego wzrok. Czy tak szybko obróciła się w rytm muzyki, że zobaczył, iż ma na sobie pończochy, a nie rajstopy?

- Odrzutowiec i wsparcie daje firma - odrzekł, tańcząc przed nią. Zmuszała się, by patrzeć tylko na jego

twarz, a nie na biodra. Nigdy jeszcze nie zetknęła się z tak zmysłową mową ciała.

- To będzie mój osobisty wkład. Zatrudnię kogoś do administrowania fundacją. - Przez moment otarła się biodrami. - Będziesz kierowała tą osobą, więc nie musisz się bać jakichkolwiek nacisków ze strony korporacji

- Ależ, Doug...

Położył jej rękę na ramieniu i przyciągnął bliżej, nadal poruszając się w rytm muzyki. Wstrzymała oddech, kiedy położył jej dwa palce na ustach.

- Żadnych ale - powiedział. - Chcę to zrobić, ponieważ zależy mi na tym, żebyś miała więcej czasu dla mnie.

Na szczęście puścił ją, nim stopniał w niej wszelki opór.

- Będę miała czas dla ciebie - obiecała. - Dotrzymam słowa.

Złapał ją za rękę i okręcił nią.

- Wiem. Chcę także, żebyś miała czas dla mnie, kiedy skończy się ta cała farsa.

- Nie.

- Dlaczego nie? - Odsunął ją w tańcu od siebie, a potem znów przyciągnął tak, że się znalazła tuż przy nim.

- Bo nie - powiedziała.

- Bo to tylko przysługa? - Tak.

- Nie. - W tonie jego głosu można było dosłyszeć ostrzeżenie. - Nie wydaje mi się, by którekolwiek z nas mogło zwyczajnie odejść, kiedy minie ten miesiąc, bez względu na to, czym się to zakończy.

- Wtedy będziemy się o to martwić - rzuciła lekko, choć nagle zakręciło się jej w głowie. Nie wiedziała: od wina, tańca czy jego bliskości.

Wiedziała jedynie, że teraz nie ma ochoty o tym myśleć. Dziś wieczorem chciała poddać się emocjom.

Objął ją w pasie, wziął za rękę, obrócił nią, by zna-

lazła się z nim twarzą w twarz, i znów przyciągnął do siebie, mówiąc coś cicho. Nie zrozumiała, co, ale ponieważ ledwo mogła oddychać, nie miało to większego znaczenia.

Kiedy tańczyli, krew szybko krążyła w żyłach Marilyn. Gdy czuła jego dotyk, jej serce się radowało. Kiedy ją pocałował, nie oponowała.

Muzyka zwolniła rytm, stała się cicha i nierealna. Sami nie wiedzieli, jak znaleźli się na ciemnym tarasie, otoczonym wysokim murem. Marilyn pozwoliła się Dougowi całować, tulić, pieścić.

Wydawało jej się, że unosi się w powietrzu, w głowie się jej kręciło, łapczywie chwytła powietrze. Usłyszała, jak wymawia imię Douga. Czuła na swej szyi i ramionach jego gorące wargi. Nie upadła tylko dlatego, że mocno ją obejmował. Odchyliła głowę do tyłu, pozwalając mu całować się w szyję i płatki uszu, przesuwać palcami po karku.

Kiedy poczuła na piersiach chłodne, wieczorne powietrze, jej nabrzmięte sutki stwardniały, stając się lekko bolesne. Wstrząsnął nią dreszcz rozkoszy.

- Cały wieczór tego pragnąłem - powiedział niskim głosem. - Pragnąłem cię dotykać, czuć.

Pozwoliła mu na to, ponieważ sama przez cały wieczór pragnęła tego samego. Odkąd go poznała. Całe swoje życie?

Gorącymi, wilgotnymi ustami dotknął jej twardej brodawki, pieścił ją zębami, wargami, językiem, wywołując w ciele Marilyn szalone sensacje, wypełniając jej serce czułością, która sprawiła, że do oczu napłynęły jej łzy.

Doug podsadził Marilyn na kamienny murek, sięgający mu do pasa.

Kiedy jedną ręką dotknął jej gołej skóry nad pończo-

chę, oboje przeszedł dreszcz. Marilyn przycisnęła się do Douga, czując jego pożądanie, czując własne pożądanie. Ujęła jego twarz w obie dłonie, przyciągnęła ją do swych ust, pragnąc czuć jego wargi, jego język. Ich pocałunek trwał bez końca. Miłosny pojedynek, w którym nie ma zwycięzców. Poczuła jego silne ciało na swej miękkiej skórze, poruszali rytmicznie biodrami, pieścili się ustami, z każdą chwilą ich pożądanie stawało się coraz silniejsze, coraz trudniejsze do opanowania. Marilyn przyłgnęła całym ciałem do Douga.

Nagle dobiegł ich z oddali gwar głosów i śmiech. Błysnęła zapalniczka, na chwilę oświetlając ich ciemny kącik. Wietrzyk przyniósł zapach dymu papierosowego. Marilyn drżała z podniecenia, pragnęła, by wszyscy intruzi sobie poszli, pozwolili się delektować nowo odkrytą rozkoszą, którą mogła obdarzyć mężczyznę, trzymającego ją w ramionach.

Oderwał się od niej. Oddychał ciężko, przycisnął czoło do jej czoła.

-Nie.

Cofnął się o pół kroku, postawił ją na ziemi, osłaniając przed wścibskimi spojrzeniami.

- Musimy przestać.

- Przestać? -Tak.

Przebiegł ją dreszcz. Szybko poprawił górę jej sukienki. Westchnienie Marilyn przypominało szloch.

- Jedź ze mną do domu - poprosił, wygładzając jej spódnice. Ujął jej twarz w obie dłonie. - Pragnę cię, Marilyn. Bardzo cię pragnę! Ale nie tutaj. Nie w taki sposób.

Wolno, bardzo wolno wróciła stamtąd, gdzie nieomal obydwójce dotarli. Wolno, tak wolno, że zastana-

wiała się, czy kiedykolwiek się jej to uda, zdołała się opanować.

Odetchnęła głęboko, otworzyła oczy i spojrzała mu prosto w twarz, chociaż niewiele widziała w panującym mroku. Ale nie musiała widzieć. Słyszała jego pożądanie w urywanym oddechu, wdychała w upojnym zapachu za każdym razem, gdy wciągała powietrze w płuca, czuła w drzeniu jego rąk, którymi obejmował ją w pasie, jego ud, które przyciskał do niej.

- Pojedź ze mną do domu - powtórzył. Prawie bez wahania szepnęła:

- Dobrze.

Kiedy jechali do Douga, trzymał jedną rękę na jej udzie, gładząc skórę przez jedwab sukienki, a Marilyn przytuliła się do niego i położyła mu głowę na ramieniu.

Otworzył drzwi, włączył światło i przepuścił ją przodem.

Spojrzał na nią w jasnym świetle lampy.

- Jesteś pewna, że tego chcesz?

Wytrzymała jego badawcze spojrzenie, położyła mu dłonie na ramionach, przysunęła się do niego bliżej. Czuła się, jakby krew nadal płynęła w jej żyłach w rytm muzyki.

- Tak. Pragnę ciebie. - Przeszedł ją dreszcz, kiedy na głos wypowiedziała swoje pragnienie.

Jego: „Teraz?” było tylko szeptem, jej: „Teraz” tchnieniem, które wyczuł ustami, kiedy wziął ją w ramiona.

Doug starał się opanować. Położył Marilyn w ubraniu na łóżku, potem cofnął się i nie spuszczać z niej wzroku, ściągnął buty i skarpetki, rozluźnił krawat i uwolnił się od niego, a potem zdjął marynarkę. Marilyn cały czas mu się przyglądała.

Zgięła jedną nogę w kolanie, jedwabna spódnica podsunęła się ku górze wzdłuż biodra, ukazując aksamitną skórę nad pończochą.

Krew pulsowała mu w żyłach, pożądanie sprawiało fizyczny ból. Przyklęknął na skraju łóżka i przesunął dłoń po obnażonym udzie Marilyn, rozkoszując się jej przyspieszonym, nierównym oddechem. Dotknęła rękami jego szelek, zsunęła mu je z ramion i szepnęła:

- Seksowne!

Potem wolno rozpięła mu i zdjęła koszulę. Jej palce lekko prześlizgnęły się po jego owłosionym torsie. Zahaczyła kciukiem o sutek, aż przeszedł go dreszcz.

Posadził ją i wolno zsunął górę sukni, całując ukazującą się skórę Marilyn. Wtulił twarz w jej dłoń i wdychał zapach, który od tak dawna doprowadzał go do szaleństwa.

Delektował się sposobem, w jaki gładziła mu czoło, mierzwiła włosy, pieściła płatki uszu, kark, ramiona, plecy. Rozkoszował się, słysząc, jak Marilyn wstrzymuje oddech, gdy on ją pieści.

Pragnął czegoś więcej. Pragnął, by cała należała do niego. Delikatnie przewrócił Marilyn i uwolnił ją od

sukienki. Została w samej bieliźnie. Zsunął jej jedną cienką jak pajęczyna pończochę, potem drugą. Wreszcie leżała przed nim naga, prześliczna, mając na sobie jedynie delikatne majteczki w takim samym odcieniu błękitu jak sukienka.

Obserwowała spod na wpół przymkniętych powiek, jak się jej przygląda, oddech miała przyspieszony, serce waliło jej niby oszalałe. Była gotowa na jego przyjęcie.

Gdy pochylił się nad nią, nie odepchnęła go, tylko przywarła do niego jeszcze mocniej. Przestała nad sobą panować. Straciła kontrolę nad swoim ciałem, ale nie dbała o to. Doug rozebrał się do naga, a kiedy znów go do siebie przyciągnęła, ich ciała się połączyły.

Wkrótce odnaleźli wspólny rytm. Spełnienie nadeszło szybko. Znieruchomiała w jego ramionach i wypowiedziała jego imię, a Doug jęknął cicho i przeciągle.

- Marilyn - powiedział jakiś czas potem.

- Hmm?

- Nic. Po prostu... Marilyn. Lubię powtarzać twoje imię. - Chciał się przewrócić na bok, ale nie pozwoliła mu na to.

- Nie ruszaj się - poprosiła. - Tak mi dobrze.

- Wiem.

Marilyn znów poczuła podniecenie, kiedy przesunął ustami wzdłuż jej brody. Delikatnie przeciągnęła palcami wzdłuż jego pleców, jędrnych pośladków i poczuła, że lekko się poruszył.

- Znów cię pragnę - powiedział zaskoczony. - Już znowu cię pragnę.

Marilyn z uśmiechem wolno pogłaskała go po policzku.

- Nigdzie się nie spieszę.

Tym razem kochali się wolno, rozkoszując się sobą. Kiedy było po wszystkim, Marilyn aż łzy popłynęły z oczu.

Doug otarł je dłonią.

- Co się stało? Pokręciła głową.

- Nic. To było... takie piękne. Nie wiedziałam, że może być takie.

Tym razem przekręcił się na bok, ale nie wypuścił jej z objęć.

- A ja tak - powiedział.

- Jesteś ode mnie bardziej doświadczony.

- Nie to miałem na myśli. - Uśmiechnął się i przesunął palcem wzdłuż jej nosa, ust i brody. - Odkąd pocałowałaś mnie pierwszy raz, wiedziałem, że kiedy zaczniemy się kochać, będzie to coś niezwykłego.

- A było? - szepnęła. - Dla ciebie też?

- Dla mnie, dla ciebie, dla nas.

Miał rację, uświadomiła sobie Marilyn, nim usnęła. Ich miłość była czymś niezwykłym. Nie potrafiła opisać tego dokładnie, ale kiedy Doug znów ją obudził przed świtem i zaprosił do jeszcze jednego słodkiego, zmysłowego tańca, wiedziała, że pragnie spędzić resztę weekendu, próbując to poznać lepiej.

A może nawet całe życie.

Jeśli los da im szansę...

Doug obudził się i drgnął gwałtownie.

- Co, u diabła?

Czuł się, jakby prosto z nieba trafił do piekła. Tylko że w piekle nie powinno być mokro i zimno. Z góry leciała lodowata woda prosto na nich, na łóżko, zasłony. Marilyn usiadła gwałtownie obok niego. Chwyciła poduszkę, ciężką od wody, i uniosła ją nad głowę. Mokre włosy oblepiły jej twarz, kropelki wody spływały z piersi na brzuch. Zerwała się z łóżka, obrzucając Douga oskarżycielskim spojrzeniem, pełnym niedowierzania.

Odrzuciła poduszkę, chwyciła mokre prześcieradło, owinęła się nim i uciekła. Doug pobiegł za nią nago.

W korytarzu, salonie, kuchni nie było lepiej. Całe mieszkanie przypominało las deszczowy w środku nawałnicy. Wkoło z hukiem płynęły kaskady wody. Doug chwycił Marilyn i zaciągnął ją na taras, gdzie przynajmniej było sucho. Zauważył, że teraz nie ma to już większego znaczenia. Była kompletnie przemoczona. Mokre prześcieradło niewiele zasłaniało. Patrząc na nią, tak się podniecił, że mógłby natychmiast znów ją posiąść w jasny dzień, na tarasie.

- Jak możesz w takiej chwili o tym myśleć? - spytała. Kiedy się zorientował, gdzie patrzy Marilyn, uświadomił sobie, że nic na sobie nie ma, a jest widno. Wkoło śpiewały ptaki. Przejechał jakiś samochód. Kierowca zatrał.

Doug wrócił do zalanego mieszkania. Mokry płaszcz kąpielowy wisiał na drzwiach łazienki. Owinął się nim i pobiegł z powrotem do Marilyn, która z niedowierzaniem gapiła się na wodę, sikającą z instalacji przeciwpożarowej, która najwyraźniej zwariowała.

Marilyn oderwała wzrok od wody, płynącej na meble, dywany i zasłony. Woda lała się do wielkiej, kryształowej misy, stojącej na środku stołu. Na jasnobezowych kanapach i fotelach, obitych zamszem, robiła wielkie, brzydkie plamy, które zlewały się i niebawem wszystko znów nabrało jednolitej barwy, tym razem brunatnej. Spływała z obudowy oryginalnej maszyny Remingtona. Zalała komputer, stojący we wnęce w pokoju dziennym, spływała ze wszystkich ścian, okien, sycząc nieprzyjemnie.

- Czy wybuchł pożar? - spytała, przekrzykując szum wody.

- Jeśli nawet - powiedział - nie miałby szans przetrwania tego potopu.

Marilyn zamrugnęła i odgarnęła mokre włosy z twarzy.

- Chyba masz rację. - Wybuchnęła na pół histerycznym śmiechem, przypomniawszy sobie, jak gwałtownie zostali wyrwani ze snu, i dodała: - Powinnam była wziąć kalosze.

- Kalo... - Doug gapił się na nią z przerażoną miną. - Kalosze? - powtórzył za Marilyn jak echo. - O Boże! Jasna cholera! Kalosze! - Cofnął się o krok, poblądł na twarzy.

- Co się stało?

Chwycił się leżaka, cały czas gapiąc się na nią.

- O Boże! - jęknął znowu. - Co ja najlepszego zrobiłem! Zapomniałem o kaloszach. Marilyn, strasznie cię przepraszam. Nie wiem, co się ze mną stało. - Uderzył się dłonią w czoło. - Jasne, że wiem. To ty tak na mnie działasz, ale to żadne usprawiedliwienie. Nie mam do ciebie pretensji. To wyłącznie moja wina. Nie pomyślałem. Kompletnie o tym zapomniałem.

- O czym ty mówisz? - krzyknęła, starając się przerwać potok słów Douga.

- O kaloszach. Znaczą się... prezerwatywach. Kochaliśmy się bez prezerwatywy! Cholera! To najbardziej nieodpowiedzialna rzecz, która mi się przytrafiła, odkąd skończyłem szesnaście lat. Marilyn opadła na jeden z leżaków, zanosząc się śmiechem.

- Kalosze? Nazywasz prezerwatywy „kaloszami”? Doug, nigdy w życiu nie słyszałam, żeby ktoś tak na nie mówił.

Kucnął przed nią, położył jej ręce na kolanach, owiniętych w mokre prześcieradło.

- Przestań się śmiać. To nic zabawnego, że zapomniałem.

- Nie, tylko tak komicznie je nazywasz.

- Pierwszy raz usłyszałem to określenie od ojca, kiedy zacząłem się umawiać z dziewczynami. Powiedział mi: „Synu, nigdy nie zapominaj o kaloszach”. Od tamtej pory zawsze je tak nazywam. Marilyn tylko głośniej się roześmiała.

- Przestań! - powiedział Doug, potrząsając nią, aż musiała mocniej przytrzymać prześcieradło, którym się owinęła. - To było głupie, nieodpowiedzialne, niedojrzałe i...

- Niepotrzebne - przerwała mu. - Nie jestem chora. A ty?

- Nie, ale...

- I nie mogę zejść w ciążę, więc nie mamy się absolutnie czym przejmować.

- Bardzo się cieszę, że to słyszę - rozległ się czyjś niezwykle poirytowany głos. Obydwoje gwałtownie unieśli głowy. Jakiś mężczyzna zaglądał przez balustradę, otaczającą taras. - Czy zdają sobie państwo sprawę z tego, która godzina? Jeśli nie, to informuję, że dopiero szósta rano. Lubię sobie dłużej pospać w sobotni rano, więc może mogliby państwo gdzie indziej prowadzić rozmowę o metodach antykoncepcji?

Marilyn odebrało mowę. Spojrzała na mokre prześcieradło, które oblepiało jej ciało, prześwitujący materiał jak na jej gust ukazywał zbyt wiele. Wbiegła do środka, bo wolała znów być oblewana wodą niż pokazywać się sąsiadowi Douga.

Nawet mimo szumu wody usłyszała, jak krzyczy:

- A skoro już o tym mowa, proszę zakręcić prysznic. Woda mała nie rozerwie rur.

Doug przesunął dłonią po mokrych włosach.

- To nie prysznic - powiedział. - Zwariowała instalacja przeciwpożarowa. Proszę wezwać straż pożarną! Zalewa mi mieszkanie!

Gdy w końcu odcięto dopływ wody, Doug mógł poszukać w szafach czegoś suchego do włożenia. W ubraniu poczuł się nieco lepiej.

Marilyn, w jego szortach, mocno ściągniętych w pasie, i jednej z jego bawełnianych koszulek, wyglądała na tyle skromnie, że mógł ją odwieźć do domu.

- Przykro mi z powodu sukienki - powiedział, kiedy byli w połowie drogi do Marilyn. Wsadziła suknię do plastikowej torby razem ze swoją bielizną. Trzymała ją na kolanach, jakby było to coś drogiego. -Kupię ci drugą.

Marilyn pokręciła głową. Wilgotne włosy wokół twarzy pozlepiały się, przypominając strąki.

- Nie trzeba - powiedziała ostrym tonem. Miała prawo gniewać się na niego, być zła. - Jedwab jest naprawdę odporny na takie rzeczy. Oddam sukienkę do pralni, będzie jak nowa.

Nigdy wcześniej nie słyszał, żeby się zacinała. Musi być wściekła. Świetnie ją rozumiał. Przypomniał sobie, jak wbiegła do środka. Wolą znaleźć się pod strumieniami wody, niż stać na tarasie, gdzie mogli ją zobaczyć ludzie i zorientować się, że spędziła noc z Dougiem.

Cholera! Nie tylko zanadto się pospieszył, zrobił coś, na co nie była jeszcze gotowa, a jeszcze na dodatek naraził ją na wstyd, kiedy musiała wybiec półnaga na taras, by ją zobaczył cały świat. Marilyn nie rozumie, że jego sąsiad prawdopodobnie widział znacznie gorsze rzeczy niż kobietę, owiniętą w mokre prześcieradło. Podobnie jak facet, który nacisnął klakson. Chciał w ten sposób wyrazić swój podziw, ale Marilyn z pewnością odebrała to inaczej.

Do diabła, nawet nie chce na niego spojrzeć. Patrzyła prosto przed siebie, twarz miała spiętą. Widząc jej zmieszanie, nie mógł sobie darować, że ją naraził na ta-

kie przykrości. Jak może naprawić to, co zepsuł? Czy kiedykolwiek da mu jeszcze jedną szansę? Gdy zatrzymał się na światłach, zaryzykował i ponownie obrzucił ją szybkim spojrzeniem. Ramiona jej się trzęsły, ale z zaciśniętych ust nie wydobywał się żaden dźwięk.

- Cholera! - powiedział skonsternowany. - Marilyn, tak mi przykro! - Nie oszukiwał jej. Było mu przykro, że zapomniał zabezpieczyć ją przed niepożądaną ciążą, z powodu jej zniszczonej sukienki i ich zepsutego ranka po upojonej nocy. Był beznadziejny do kwadratu. Głupi, po-rywczy, nieodpowiedzialny.

To ostatnie było najgorsze. To straszne, że zepsuła się instalacja przeciwpożarowa, ale nie mógł sobie darować, że ostatniej nocy zupełnie stracił głowę.

Dobrze, że brała pigułki. Decyzję o powiększeniu rodziny chciał podjąć wspólnie z Marilyn, pragnął, żeby obydwójce tego chcieli, a nie postawić ją przed faktem dokonanym dlatego, że się zapomniał.

- Boże - jęknął, kiedy ukryła twarz w dłoniach. - Najdroższa, proszę, przestań!

Z jej ust zaczęły się wydobywać zduszone odgłosy i Doug zapomniał o wszystkim. Objął ją.

- Marilyn, proszę, przestań!

- Staram się - powiedziała niewyraźnie. - Wiem, że to nic ś-ś-śmiesznego, ale to silniejsze ode mnie...

Och, Doug, gdybyś widział swoją m-m-minę!

- Słucham? - Odsunął się od niej i lekko nią potrząsnął. - Śmiejesz się? Z czego?

- Z ciebie. Z siebie. Z w-wody i z tego, co się wydarzyło. Wyobrażałam sobie romantyczny poranek w łóżku, wyobrażałam sobie, że będę cię karmiła winogronami i... Przepraszam - wydusiła, ocierając dłonią łzy z policzków. - Twoje mieszkanie jest zupełnie zde-

wastowane. Wiem, że to nic zabawnego, że to okropne, ale to takie... takie przekomiczne! Miałeś taką zdumioną minę. Byłeś taki zawiedziony.

Doug gapił się na nią. Nagle dostrzegł zabawną stronę całego wydarzenia, a potem sam wybuchnął śmiechem, bo wesołość Marilyn okazała się zaraźliwa.

- Zawiedzony? - Roześmiał się. - A ty próbowałaś ukryć się przed potopem, kładąc sobie poduszkę na Obydwoje śmieli się, trzymając się za brzuchy. Światła się zmieniły. Rozległy się klaksony. Kierowca z samochodu za nimi wysiadł i zaczął walić pięścią w dach wozu Douga, wykrzykując coś gniewnie. Doug otarł załzawione oczy, zdjął nogę z hamulca i przemknął skrzyżowanie na żółtym świede, zostawiając za sobą sznur samochodów i sfrustrowanych kierowców.

Jak tylko dojechał do miejsca, gdzie można się było zatrzymać, zaparkował i stali, póki oboje z Marilyn się nie uspokoili. Wyczerpani, siedzieli przez dłuższą chwilę, gapiąc się na siebie; potem broda Marilyn zaczęła się trząść, dziewczyna zmrużyła oczy i znów wybuchnęła śmiechem, a Doug jej zawtórował. W końcu na tyle się opanowali, że mógł odwieźć ją do domu.

Kiedy wsiedli, zawahała się na moment, a potem powiedziała:

- Doug, jeśli nie masz gdzie zamieszkać...

Szybko pokręcił głową, rozglądając się wkoło. W sąsiednim domu nad drzwiami garażowymi był kosz do koszykówki. Po drugiej stronie na trawniku stał trójkołowy rowerek. Była to dzielnica, w której mieszkały rodziny z dziećmi, a nie wytworny kompleks mieszkalny w centrum miasta. Fakt, że Marilyn właśnie tutaj się wprowadziła, dużo o niej mówił.

- Nie - powiedział, przesuwając wierzchem dłoni po

jej gładkim policzku. - To byłoby dla ciebie zbyt krepujące. Zresztą nie zapominaj, że moja rodzina ma w tym mieście parę hoteli. Znajdę sobie jakieś lokum.

Bardzo chciałby z nią zostać po tym, co się między nimi wydarzyło, ale musiał wracać do siebie, by zobaczyć, co się da uratować. Musi wezwać ekipę remontową, by usunęła szkody, zgłosić wszystko firmie ubezpieczeniowej.

Zapowiadał się pracowity dzień.

- Dasz sobie radę? - spytał.

- Naturalnie, ale co ty zrobisz? - Dotknęła dłonią jego policzka, pokrytego jednodniowym zarostem.

Był wzruszony jej troską.

- Gorzej, że ominie mnie weekend, który miałem nadzieję spędzić z tobą.

- Ja też miałam taką nadzieję - wymamrotała, obejmując go za szyję. - Ale będzie jeszcze wiele weekendów.

Doug odniósł wrażenie, że zabrzmiało to niemal jak pytanie. Musi ją zapewnić, że tak będzie. Kiedy ją całował, ciepło, bijące od jej ust, sprawiło, że zalała go fala gorąca. Doszedł do wniosku, że i tak jeszcze za wcześnie, żeby zadzwonić do firmy ubezpieczeniowej. Całował Marilyn, aż zakręciło mu się w głowie, aż poczuł, że Marilyn stała się zupełnie bezwolna. Całował ją, aż obojgu zabrakło tchu. Wszelkie słowa były zbyteczne. Objęci w pół, skierowali się do drzwi. Doug świetnie wiedział, gdzie idą, ale nawet gdyby chciał, nie potrafiłby się powstrzymać.

Jednak kiedy Marilyn gwałtownie zatrzymała się na drugim stopniu, przystanął.

- Drzwi są otwarte - szepnęła, chwytając go tak mocno za rękę, że wbiła mu paznokcie w ciało.

- Spokojnie - powiedział Doug. - Zostań tu. Ja wślizgnę się do środka i rozejrzę. Jeśli ktoś się włamał, ma-

ło prawdopodobne, by jeszcze był w domu. Najpewniej złodzieje przyszli nocą i uciekli przed świtem. Marilyn skinęła głową i przepuściła Douga przodem. Bezszelestnie pchnął jedną ręką uchylone drzwi, otwierając je na całą szerokość, i stanął z boku. Stwierdziła, że musiał się naoglądać dużo filmów kryminalnych. Potem doszła do wniosku, że nie może pozwolić, by sam narażał się na ewentualne niebezpieczeństwo, stanęła za nim, zajrzała do środka i złapała go za rękę. Marilyn wystarczyło jedno spojrzenie, by zrozumieć, co się stało.

Cztery walizy, płócienna torba podręczna, czarna skórzana marynarka oraz wiele par butów, skarpetki, gazety i papierki po słodyczach w pokoju dziennym stanowiły pierwszą wskazówkę.

- Co... - zaczął Doug, ale gestem nakazała mu milczenie, kiedy z kuchni dobiegł głos jej brata, przemawiającego do Rhondy.

- Przynajmniej możesz mi przygotować śniadanie - mówił Lucas - i posłać łóżko.

- Nie. Przykro mi, ale zakres moich obowiązków tego nie obejmuje.

- Mój brat Lucas - szepnęła Marilyn, marszcząc nos. - Największa zmora ludzkości od czasów Torquemady.

- Przypominam sobie, jak mówiłaś, że nie należy do twoich ulubieńców - powiedział Doug. Napiął bicepsy, uśmiechając się jak spiskowiec. - Chcesz, żebym się go pozbył?

Marilyn z trudem się powstrzymała, by nie zachichotać.

- Przekonajmy się najpierw, jak poradzi sobie Rhonda. Wiedziała, że może zawsze bez wahania na nią postawić.

- Rhondo, mam za sobą długą, męczącą podróż, podczas której proponowano mi odrażające, niejadalne potrawy - zaskomlał Lucas. - Zresztą i tak nic bym nie przełknął, tak byłem zdenerwowany okropną awanturą z matką. Potem samolot wylądował w jakiejś dziu-

rze, gdzie spędziliśmy pół nocy z powodu głupiej usterki technicznej. Czekałem pięć godzin na drugi samolot. A gdy tu w końcu dotarłem, myślisz, że udało mi się wynająć limuzynę? Powiedziano mi, że z uwagi na sezon turystyczny powinienem był ją wcześniej zamówić! A oni nie wiedzą, kiedy jest sezon turystyczny? Nie mogą się do niego zawnocześnie przygotować? To najbardziej niecywilizowane miasto w Ameryce Północnej. Nie rozumiem, dlaczego moja siostra postanowiła zamieszkać właśnie tutaj.

- Może podoba się jej dlatego, że ciebie tu nie ma -powiedziała Rhonda.

Marilyn omal nie udławiła się ze śmiechu. Spojrzała na Douga i wyszczerzyła zęby na widok jego rozbawionej miny.

- To zwyczajnie nieprawda - obruszył się Lucas. -Jestem pewien, że oczekuje, iż się mną zajmiesz. Rhonda prychnęła.

- Jeśli jesteś głodny, syneczku, proponuję, żebyś nauczył się sam o siebie troszczyć. Widzisz to wysokie, białe pod ścianą naprzeciwko kuchenki? To lodówka -wyjaśniła łaskawie. Marilyn podeszła do drzwi do kuchni, tłumiąc śmiech. Doug pospieszył za nią. Lucas stał tyłem do nich. Jeśli Rhonda zauważyła Marilyn i Douga, nie dała tego po sobie poznać. - W środku -ciągnęła - znajdziesz kilka produktów, które potrafi przyrządzić ktoś obdarzony nawet minimalnymi umiejętnościami. Proponuję, żebyś ją otworzył i zajrzał do środka. Jeśli - mówiła dalej - nic ci nie przypadnie do gustu, w kuchni są też liczne szafki, również zawierające produkty spożywcze. Do ściany przymocowany jest otwieracz do puszek. W szafce narożnej znajdziesz półmiski i talerze. W szufladzie obok zlewozmywaka są sztuce. - Poprawiła peniuar z czarnego atłasu. - To

prostokątne na blacie to kuchenka mikrofalowa. Można w niej podgrzać potrawy, jeśli się wie, który guzik nacisnąć.

Marilyn starała się nie parsknąć śmiechem. Rhonda próbowała skłonić do działania Lucasa, przyzwyczajonego do tego, że usługują mu inni. Przez chwilę nawet pomyślała, żeby pozwolić Lucasowi zostać; może razem z Rhondą uda im się wyprowadzić go na ludzi.

- W razie potrzeby - dodała Rhonda - telefon jest tutaj. - Wskazała aparat teatralnym gestem, aż głośno zadzwoniły jej srebrne bransoletki. - Książkę telefoniczną znajdziesz w szufladzie poniżej. Wiele tutejszych restauracji dostarcza potrawy do domu. - Zrobiła przerwę, a potem dodała ze złośliwym uśmiechem: - Za opłatą.

Lucas się wyprostował, ale i tak nie dorównywał wzrostem Rhondzie, mierzącej ponad metr osiemdziesiąt.

- Jesteś czy nie jesteś służącą mojej siostry?

- Nie - oświadczyła Rhonda z uśmiechem. - Tak się składa, że akurat mam urlop. Popełniłam błąd, otwierając ci drzwi i wpuszczając cię do środka. A ty jesteś czy nie jesteś nieproszonym gościem?

Lucas, kiedy się postarał, potrafił być równie wyniosły jak jego matka.

- Marilyn jest moją siostrą. Nie musi mnie zapraszać, kiedy mam ochotę złożyć jej wizytę.

- To dla mnie coś nowego. Ale skoro stosunki między wami uległy aż tak daleko idącej poprawie, w takim razie ja już stąd znikam.

Marilyn wkroczyła do kuchni.

- Witaj, braciszku - powiedziała. Na dźwięk jej głosu Lucas się odwrócił. - I żegnaj. Wybacz, ale muszę spakować kilka rzeczy.

Lucas gapił się na nią. Była boso, miała na sobie obszerne, miękkie szorty Douga i dużą, workowatą ko-

szulkę bawełnianą. W jednym ręku trzymała białe sandały na wysokim obcasie, a w drugim małą torebkę wieczorową. Z plastikowej torby ciekła woda, krople z głośnym pluskiem rozpryskiwały się na kafelkach, co jeszcze podkreślało milczenie Lucasa.

- Dlaczego jesteś tak ubrana? - spytał w końcu.

- Tam u was na wschodnim wybrzeżu nie ma skej-tów? - wtrąciła się Rhonda.

Gniew sprawił, że głos Lucasa stał się piskliwy, zupełnie, jak matki.

- Jeździsz na deskorolce? W twoim wieku?

- Widocznie zdziecinniałam na stare lata - z uśmiechem oświadczyła Marilyn. - Tylko pomyśl, za dwanaście lat czeka cię to samo. Mówią, że przedwczesna demencja jest dziedziczna.

Jego przerażona mina stanowiła niemal wystarczającą nagrodę.

Po chwili Marilyn oświadczyła ostrym tonem:

- Prawdę mówiąc, uciekam z domu. Ale zanim skończę się pakować, chciałabym, żeby salon odzyskał zwykły wygląd.

Spojrzała wymownie na Lucasa.

- I ty masz sprzątnąć ten bałagan, braciszku, a nie Rhonda, która nie jest, nigdy nie była i nie będzie moją „służącą”. Jest moją przyjaciółką i domagam się, by traktowano ją z należnym jej szacunkiem.

Czy to jasne?

Nadał się. Lucas był mistrzem strojenia fochów. Spodziewała się, że za chwilę złapie się za gardło i wysapie: „Nie mogę oddychać!” Tę sztuczkę opanował już w wieku trzech lat. Matka prawie zawsze dawała się na nią nabrać. Jeszcze nie zrozumiał, że nie działa ona na innych.

Ale zamiast udać atak duszności, powiedział z irytacją:

- Pracuje u ciebie. Powinna więc wykonywać twoje polecenia.

- Och! Nie przyszło mi to do głowy. - Marilyn się uśmiechnęła. - Rhondo, czy wykonałabyś moje polecenie?

Oczy Rhondy się zaświeciły.

- Naturalnie. Zrobię wszystko, o co mnie poprosisz.

- Świetnie. W takim razie polecam ci, żebyś nie robiła nic, by uczynić pobyt mojego brata w tym domu znośnym. Jeśli o mnie chodzi, jak wiesz, wyjeżdżam i wrócę w przeddzień twojego ślubu.

- Ach, tak - powiedziała Rhonda tak słodko, jakby codziennie odgrywały takie sceny. Zmarszczyła czoło. - Powiedziałaś, że gdzie się tym razem wybieracie? - spytała, jakby Marilyn i Doug mieli w zwyczaju wspólnie wyjeżdżać.

Marilyn mogła liczyć tylko na to, że Doug okaże się nie mniej bystry od Rhondy.

- Kochanie, zdaje się, że wspomniałeś coś o Meksyku? - spytała, zwracając się do niego.

Doug się uśmiechnął.

- Pamięć cię nie myli, moja droga.

Lucas obrzucił Douga miażdżącym spojrzeniem, w czym bezkonkurencyjna była ich matka.

- Wyjeżdżasz z nim na urlop?

- Na to wygląda.

Marilyn głównie zależało na tym, żeby Lucas jej uwierzył i jak tylko dotrze do niego, że tutaj nikt nie będzie wokół niego skakał, natychmiast udał się w drogę powrotną do mamusi.

- Po powrocie nie życzę sobie cię tu widzieć.

- To znaczy kiedy?

- Za sześć tygodni.

- Marilyn, muszę stwierdzić, że nie jesteś zbyt gościnna. Przecież powiedziałaś matce, że w twoim domu jest samodzielne mieszkanie, a ponieważ masz gosposię, nie będę ci sprawiał najmniejszego kłopotu.

Marilyn nie mogła powstrzymać śmiechu.

- Lucas, ty zawsze sprawiasz kłopot. A to samodzielne mieszkanie zajmuje Rhonda.

- Być może, ale powiedziała, że wyjeżdża. Poza tym należę do rodziny! Z całą pewnością mam większe prawo, żeby tu mieszkać, niż ona. Gdzie się podzieję, skoro matka dosłownie wyrzuciła mnie na ulicę? Jesteś moją jedyną deską ratunku. Naturalnie nie licząc wujka Edwina, ale gdy przypomnę sobie godzinę, którą spędziłem raz w jego norze, na samą myśl o powtórce przebiega mnie dreszcz zgrozy.

Marilyn wzięła Douga za rękę i pociągnęła w stronę sypialni.

- Chodź, pomożesz mi się pakować, mój drogi - powiedziała.

Kiedy znaleźli się w sypialni, zablokowała drzwi. Lucas zdolny był do wszystkiego. Westchnęła głęboko.

- O rany! Co jeszcze może pójść nie tak?

- Nic - zapewnił Doug, kręcąc głową i rozkładając ręce. - Wszystko już się wydarzyło.

- Nieszczęścia lubią występować seriami.

- Nie bądź przesadna. Pakuj się. Żałuję, że nie mogę ci zaproponować, żebyś pojechała do mnie - dodał z uśmiechem - ale znajdzie się jakieś wyjście. Jak mówiłem, moja rodzina ma parę hoteli. Chyba uda mi się w jednym z nich wynająć dla nas pokój.

Marilyn spojrzała na niego.

- Dla nas?

Wytrzymał jej wzrok.

- Obydwoje potrzebujemy jakiegoś lokum. Wyłącznie od ciebie zależy, czy zamieszkamy razem.

Nic nie powiedziała, bo zwyczajnie nie miała pojęcia, co powiedzieć. Ostatnia noc była cudowna, ale Ma-

rilyn zdawała sobie sprawę, że prawdopodobnie popełniła jeden z największych błędów w życiu. Trzeba być naprawdę skończonym głupcem, by dwa razy zrobić ten sam błąd. Zakochanym głupcem, pomyślała. Czyż nie poświęcono temu mnóstwa piosenek? A czy jej się to podobało, czy nie, była po uszy zakochana w Dougu Fountainie, mężczyźnie, który - gdyby wiedział o niej wszystko - ani przez chwilę nie uznałby jej za odpowiednią kandydatkę na żonę. Zostało im jeszcze tylko parę tygodni, które mogli wspólnie spędzić, a potem - adieu. Najzwyczajniej w świecie nie wiedziała, czy powinna spędzić te parę tygodni z nim. Jeśli rzeczywiście traktował to jak kolejną ze swych ponoć licznych miłostek, wtedy ucierpi tylko ona, Marilyn. Ale jeśli...

Nie chciała o tym myśleć, nie chciała sobie przypominać, jaki był czuły, jakby dla niego, podobnie jak dla niej, ostatnia noc oznaczała coś więcej niż tylko seks.

Marilyn zdjęła z górnej półki w garderobie zniszczoną torbę turystyczną, wrzuciła do niej nocną koszulę, bieliznę, skarpetki, cienkie spodnie i szorty, parę koszulek i nylonową wiatrówkę. Złapała kilka kosmetyków, szczotkę do włosów, szczoteczkę do zębów i wszystko, co było potrzebne, kiedy się nosi soczewki kontaktowe.

Wsyłała zawartość swojej torebki wieczorowej do koszyka, przy okazji wlewając do niego pół szklanki wody. Akurat miała iść do łazienki, żeby się przebrać, kiedy rozległ się dzwonek u drzwi. Nie brzmiał tak, jakby przyszła sprzedawczyni kosmetyków Avon.

Marilyn znieruchomiała. Nie zdziwiła się, kiedy Rhonda powiedziała wyjątkowo głośno, tak żeby usłyszała ją Marilyn:

- Pani Antioch! Nie wiedziałam, że pani przyjeżdża!

Marilyn spojrzała na Douga, na zablokowane drzwi swojej sypialni i jęknąwszy cicho, opadła na skraj łóżka.

- A nie mówiłam, Doug? Spadła na nas cała seria nieszczęść. To moja matka!

Usłyszała, jak jej matka pyta Rhondę, gdzie jest Marilyn, i odpowiedź Rhondy:

- Na urlopie, pani Antioch. Ale jest tutaj pani syn.

- Wcale mnie to nie dziwi. Wiedział, że zamierzam odwiedzić jego siostrę, ponieważ ona nie chce zostawić tej swojej głupiej firmy, żeby wpaść do mnie. Zrobił mi na złość. - Rozległy się dwa głuchoe odgłosy, jakby ktoś energicznie postawił walizki na podłodze. Drzwi zatrzęsnęły się z hukiem. Na schodkach zadudniły ciężkie kroki mężczyzny. Marilyn się domyśliła, że to taksówkarz. Odjechał, zostawiwszy u niej matkę. Matka, Marilyn i jej brat znaleźli się pod jednym dachem.

- O Boże - jęknęła Marilyn, przesuając ręką po włosach, które zdążyły już wyschnąć. - Tylko nie to!

- A kiedy moja córka wróci?

- Nie mam pojęcia - usłyszeli rozbawiony głos Rhondy.

- W takim razie - rozległa się wyniosła odpowiedź -zaczekam tutaj do jej powrotu. Może jej uda się przemówić bratu do rozumu. Jestem zbyt wyczerpana, by chociaż próbować. W pierwszej klasie leciało dziecko. -Ostatnia uwaga została wypowiedziana tonem kobiety, mającej szczerze dość linii lotniczych, które w nieprzemysłany sposób przydzielają miejsca pasażerom.

Doug zachichotał tuż nad uchem Marilyn.

- Świetnie by się czuła w towarzystwie matki Kelly. Nim Marilyn mu przypomniała, że jej matka i Grace

O'Toole już się kiedyś spotkały, rozległ się słaby głos jej matki:

- Czy mogę prosić o herbatę?

- Nie rób tego, Rhondo - mruknęła Marilyn. - Powiedz „nie”.
- Bardzo mi przykro, pani Antioch, ale już wychodzę. Właśnie kończyłam porządki, kiedy pojawił się pani syn. Za niespełna dwie godziny mam samolot. Ale pokazałam Lucasowi, gdzie co jest. Jestem pewna, że z radością zaparzy pani herbatę. Sama będzie pani musiała przygotować sobie łóżko w sypialni gościnniej. Trzecia sypialnia została przerobiona na gabinet Marilyn, ale stoi tam rozkładana kanapa. Ręczniki i pościel znajdzie pani w szafie w głębi korytarza.
- Powiedz matce, że Marilyn nigdzie nie wyjechała -burknął Lucas. - Zamknęła się w swoim pokoju z mężczyzną. .
- Sam jej to powiedz.
- Nie rozmawiam z nią.

Gałka w drzwiach do sypialni poruszyła się. Marilyn usłyszała niecierpliwe pukanie, a potem głos matki.

- Marilyn, natychmiast otwórz drzwi. Wiem, że tam jesteś! Nie możesz się wiecznie ukrywać.
- Ma rację - szepnął Doug, śmiejąc się bezgłośnie. -Czy stawimy jej czoło, czy też jest stąd drugie wyjście?

Marilyn rozważyła wszystkie za i przeciw.

- Ucieczka - powiedziała - byłaby równoznaczna z tchórzostwem.

Doug poważnie skinął głową.

- Zgadza się.
- Jeśli nie stanę twarzą w twarz z matką i Lucasem, jeśli nie pokażę im, że nie są mile widzianymi gośćmi w moim domu, będzie to świadczyło o mojej niedojrzałości
- Masz rację - potwierdził Doug. Spojrzała w jego roześmiane oczy, z jej ust wydobył się zduszony chichot.
- Ponieważ z całą pewnością jestem dorosła i nie uważam się za tchórza, mogę zrobić tylko jedno.

- Tak jest.

- Oczywiście wcale nie zamierzam tego zrobić -oznajmiła, wkładając na nogi różowe tenisówki i łapiąc torbę turystyczną.

Potem rozsunęła szklane drzwi, prowadzące na taras. Kiedy skradali się wokół domu, Doug zaczął komicznie stąpać na palcach, wysoko unosząc nogi, aż Marilyn nie mogła się powstrzymać od chichotu.

- Przestań, wariacie - syknęła. - Za chwilę zacznę słyszeć temat przewodni z „Różowej pantery”. Razem z Dougiem przemknęli przez ogród, prześlizgnęli się przez furtkę i znaleźli przed tylnym wejściem do garażu.

Marilyn wyjęła z torebki klucze i otworzyła drzwi.

- Co robisz? - spytał. - Mój samochód stoi przed domem.

- Ha! Myślisz, że zostawię swój w garażu? Lucas bardzo szybko wzwie ślusarza, przekona go, że samochód należy do niego, i przysięgnie, że zgubił kluczyki. Potem z radością zasiądzie za kierownicą. Raz już tak zrobił - dodała ponuro.

- Dobra już, dobra - powiedział Doug, unosząc obie ręce, jakby się poddawał. - Wejdz do środka, zapal silnik, otwórz drzwi do garażu, a ja pobiegnę do swojego wozu. Jedź do hotelu Fountains w centrum miasta i przedstaw się recepcjoniście. Zadzwoń do niego i uprzedzę o twoim przyjeździe. Wszystko przygotuje. - Ujął ją pod brodę. - Dasz sobie radę?

Uśmiechnęła się szeroko.

- Jasne. Żałuję tylko, że nie zobaczę ich min, kiedy sobie uświadomią, że się im wymknęłam. - Zachichotała na pół histerycznie. - To lepsze od cyrku.

- No nie wiem - rzekł, mierząc ją spojrzeniem od stóp do głów. - Zawsze możemy wypożyczyć deskorolki...

Marilyn najciszej, jak mogła, zamknęła drzwi samochodu. Doug szykował się do wyjścia. Uruchomiła silnik i otworzyła automatyczne drzwi do garażu. Doug wybiegł przez nie, kiedy były dopiero do połowy uniesione, ani razu się za siebie nie oglądając. Gdy wrzucił wsteczny bieg w swoim wozie, Marilyn pełnym gazem ruszyła podjazdem, nie tracąc czasu na zamykanie drzwi garażowych. O wiele ważniejsza była ucieczka.

Poza tym, pomyślała z uśmiechem, Rhonda je zamknie, nim wyruszy, nie wiadomo na jak długo, w świat z Harleyem.

Harley będzie wniebowzięty.

W hotelu parkingowy zajął się jej samochodem, a recepcjonista wezwał kierownika, który się przedstawił jako John i, tak jak obiecał Doug, wszystkim się zajął. Obaj traktowali Marilyn, jakby miała na sobie gronostaje i perły, a nie szorty z krokiem gdzieś na wysokości kolan i bawełnianą koszulkę, która opadała jej z jednego ramienia.

Wszystko to sprawiło, że Marilyn czuła się jak jakaś księżniczka.

John zabrał ją prywatną windą. Chociaż jazda na górę trwała niespełna minutę, wokół trzech ścian kabiny umieszczono miękkie ławeczki na wypadek, gdyby ktoś miał ochotę usiąść. Ściany wyłożono lustrami, a drzwi wykonano z drzewa tekowego i ozdobiono złotym emblematem Fountain Enterprises.

- Apartament Regencki - zakomunikował John, kiedy drzwi rozsunęły się bezszelestnie i znaleźli się w przestronnym pomieszczeniu, urządzone w kolorach od ciemnego błękitu do perłowej szarości, z akcentami w barwach turkusu i zieleni. Za trzema szero-

kimi oknami rozciągał się widok na Stanley Park, Burrard Inlet i góry North Shore.

Marilyn z chęcią zostałaaby tu dłużej, ale John otworzył jedne z drzwi, prowadzących z głównego westybulu na lewo.

- Pan Fountain powiedział, żeby ulokować panią w Pokojach Jadeitowych.

W pokojach?

Tak, w pokojach. Marilyn znalazła się w przytulnym saloniku z widokiem na Coal Harbor i łódzie, zacumowane w jachtklubie. Salonik umeblowany był z gustem, znajdował się w nim sprzęt radiowo-telewizyjny, biblioteczka z bestsellerami i klasyką oraz malutki ciąg szafek kuchennych, z mikrofalówką, ekspresem do kawy i lodówką-barkiem.

- Którą sypialnię pani wybiera, pani Ross? - spytał John, prowadząc ją krótkim korytarzykiem. Za nimi podążał bagażowy.

Mężczyzna w liberii otworzył na całą szerokość pierwsze z dwóch par drzwi. Ukazał się pokój z podwójnym łóżkiem i widokiem na doki statków wycieczkowych.

- Ta będzie w sam raz - powiedziała Marilyn, wskazując na drzwi po prawej, przekonana, że obydwie sypialnie niewiele się od siebie różnią. Wszedł bagażowy i ostrożnie położył jej zniszczoną torbę turystyczną na stojaku, jakby była to najdroższa waliza Vuittona.

- Łazienka przylega do sypialni - oświadczył John, otwierając kolejne drzwi, i obrzucił uważnym spojrzeniem lśniące pomieszczenie, jakby spodziewał się dojrzeć gdzieś jakiś zabłąkany pyłek kurzu. Rozczarował się. - Dziękuję, Henry - zwrócił się do bagażowego, który odmówił wzięcia napiwku od Marilyn. John wymamrotał, że o wszystko się zatroszczono. - Na tarasie jest

wanna do gorących kąpieli - oznajmił John, wskazując przesuwane drzwi z saloniku. - Temperatura wody jest ustawiona na trzydzieści dziewięć stopni. Czy to pani odpowiada? Jeśli nie, każe zmienić - dodał.

Marilyn przypomniała sobie, że dorastała w warunkach bardzo zbliżonych do tych. Apartament Regencki nie różnił się od apartamentów, w których mieszkała w dzieciństwie jako córka dyplomaty. Dlaczego więc czuła się taka przytłoczona tym przepychem?

Czyżby świadomość, że dołączy do niej Doug, sprawiała, że miała wrażenie, jakby się znalazła po drugiej stronie lustra?

- Temperatura wody na pewno będzie w sam raz - powiedziała. - Zresztą nie wiem, czy w ogóle skorzystam z gorącej kąpieli - dodała, spoglądając mimo woli na torbę turystyczną, spakowaną w takim pośpiechu.

Najwyraźniej biegły w odczytywaniu takich spojrzeń, John wyjaśnił:

- Pani Ross, wanna jest w takim miejscu, że nikt tam pani nie zobaczy. Nie musi pani korzystać z kostiumu kąpielowego, ale gdyby sobie pani życzyła, każe przysłać na górę kilka, by mogła sobie pani wybrać odpowiedni. Pan Fountain polecił, żeby dołożyć wszelkich starań, by dobrze się pani u nas czuła, i spełniać wszystkie pani życzenia.

Obrzucił uważnym spojrzeniem jej nietypowy strój.

- Uprzedził, że była pani zmuszona szybko opuścić dom i nie zdążyła się pani spakować. Przyślę pokojówkę z zestawem ubrań sportowych i wyjściowych, jeśli sobie pani życzy. Może pani również odwiedzić hotelowe butik. Poinformuję sprzedawców, żeby wszystkie rachunki za zakupione rzeczy wystawiali na Apartament Regencki.

Słyszając to, Marilyn roześmiała się nerwowo.

- Dziękuję, ale nie skorzystam!

- Pan Fountain powiedział...

Marilyn wyprostowała się i wydeła usta.

- Pan Fountain jest niezwykle hojny - odparła z uśmiechem - ale niczego mi nie potrzeba. A jeśli mi czegoś zabraknie z ubrania, stać mnie, żeby sobie to kupić.

- Jak sobie pani życzy, panno Ross - zgodził się kierownik z grzecznym ukłonem. - Jest pani pewna, że ma pani wszystko?

- Tak. Dziękuję - powiedziała i odprowadziła go do drzwi.

Kiedy znalazła się z powrotem w przestronnym westybulu, stwierdziła, że podczas jej krótkiej nieobecności, jakby za sprawą czarów, na niskiej szafce z drzewa różanego pojawiła się ogromna kompozycja ze świeżych kwiatów, odbijających się w politurowanym blacie, wypełniających pokój słodkim zapachem. W kryształowym naczyniu, umieszczonym w większej, srebrnej misie, wypełnionej pokruszonym lodem, leżały egzotyczne owoce.

Kierownik, kłaniając się, opuścił Apartament Regencki. Marilyn wzięła prysznic, porządnie wysuszyła włosy, wyszczotkowała je i przebrała się w swoje rzeczy - szorty i bawełnianą koszulkę, które niezbyt pasowały do tego miejsca.

Mam tylko to, powiedziała sobie, wkładając resztę ubrań do szuflady w sypialni. Nie dopuści do tego, by onieśmielał ją wzrok kierownika hotelu, patrzącego na nią z dezaprobatą, albo - co gorsza - by dała się skusić na przyjmowanie prezentów od potomka rodziny, dysponującej większym majątkiem, niż wynosi budżet wielu małych państweczek.

Jej nieliczne kosmetyki wyglądały bardzo skromnie przy tych, które zapewniał hotel. Uśmiechnęła się do

swego odbicia w wielkim, podświetlonym lustrze. Pokojówki będą równie wstrząśnięte jak kierownik, kiedy zobaczą, jakiego szamponu używa. Wiedziała, że nie ma większych snobów od osób, usługujących bogaczom.

Chociaż nadal perspektywa zatrzymania się w hotelu Fountains wprawiała ją w zakłopotanie, nie mogła się powstrzymać, by nie zwiedzić pozostałych pomieszczeń. Do jej apartamentu przylegały Pokoje Korale, stanowiące jego lustrzane odbicie. Z wychodzących na południe okien saloniku rozciągał się widok na miasto, który po zmroku musiał zapierać dech w piersiach.

Pokoje Złote, w głębi wielkiego westybulu, wychodziły na wschód, na Burrad Inlet, i rano były skąpane w promieniach wschodzącego słońca. Podobnie jak w jej pokojach, także i tam nie brakowało żadnych wygód.

Znalazła również pomieszczenie służbowe z zapasem trunków, jakich nie powstydziliby się żaden znany jej cocktail-bar, a do niego przylegało w pełni wyposażone biuro, nafaszerowane taką ilością elektroniki, że starczyłoby jej do kierowania nowoczesną flotą wojenną. Na jednej ze ścian gabinetu od sufitu do podłogi wisiały półki z książkami w sztywnych okładkach. Było tam wszystko - beletrystyka, szeroki wybór literatury faktu, albumy i poradniki informatyczne.

W pobliżu wejścia do pomieszczenia służbowego, odgradzony przepierzeniem, porośniętym bujną winną latoroślą, znajdował się aneks jadalny, który z łatwością pomieściłby dwadzieścia osób.

W całym wielkim westybulu rozmieszczone były przepastne i miękkie kanapy i fotele, obite brokatem, a między nimi ustawiono dorodne rośliny. Na szklanych stolikach wyeksponowano kilka cennych rzeźb Indian Haida i figurek ze steatytu, wykonanych przez Eskimosów. Na podwyższeniu nieopodal foyer stał bia-

ły fortepian. Marilyn wyobraziła sobie orkiestrę kameralną, akompaniującą podczas obiadu, spożywanego przez członków rodziny królewskiej lub mężów stanu.

Kiedy opadła na fotel, stojący naprzeciwko kominka z różowego marmuru, ogarnęło ją takie zmęczenie, jakby minął cały dzień, chociaż, spojrzawszy na zegarek, stwierdziła, że jest dopiero wpół do dwunastej.

Nagle poczuła głód i sięgnęła do patery z owocami. Wybrała wielką, dojrzałą nektarynkę. Ledwo zdążyła ją ugryźć, gdy zadzwonił stojący obok telefon. Chwyciła grubą, lnianą serwetkę i wytarła brodę.

- Halo? - rzuciła do słuchawki z pełną buzią. Usłyszała śmiech Douga.

- Najpierw przełknij, potem porozmawiamy. Ja też nigdy nie mogę się oprzeć paterze z owocami.

Kiedy już mogła mówić, stwierdziła:

- Doug! Myślałam, że zamieszkam w pokoju hotelowym, a nie w podniebnym pałacu.

- Bardzo mi przykro. Tylko tym dysponowali. Sezon turystyczny, sama rozumiesz. Zresztą darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby. Jeśli nie pomyślałaś wcześniej, żeby zarezerwować pokój - dodał tonem, który ją rozbawił - musisz się zadowolić tym, co zostało.

- Zapomniałam, że tak żyją zwykli ludzie - rzuciła z lekką ironią.

- Masz szczęście, że książę i księżna odwołali oficjalną wizytę. - Nim Marilyn odgadła, o którego księcia i księżną chodzi, albo czy też Doug żartuje, mówił dalej: - Jak się domyślasz, przez większość dnia będę zajęty usuwaniem skutków awarii w domu, ale pojawię się w samą porę, by zjeść z tobą kolację. Do tego czasu zamów sobie śniadanie albo drugie śniadanie, albo obiad, albo co chcesz, odpocznij, zdrzemnij się, weź gorącą kąpiel albo każ pokojówce się uczesać, zrobić

sobie masaż czy to, na co masz ochotę. Może wszystko po kolei. Kiedy przyjadę, zamówimy coś na kolację. Jeśli czegokolwiek będziesz potrzebowała, dzwoń do recepcji albo powiedz o tym pokojówce. Marilyn gwizdnęła z niedowierzaniem.

- Pokojówce? Obejdę się bez pokojówki. Sama potrafię się uczesać. Jeśli mam być szczerą, już to zrobiłam.

Potem, by nie uznał jej za osobę niewdzięczną, dodała:

- Ale dziękuję, Doug. Naprawdę doceniam twoje starania.

- To ty wyświadczasz mi przysługę - przypomniał jej. Marilyn zaczerpnęła głęboko powietrza.

- Tak? Byłeś świadkiem sceny w moim domu. Uciekłabym tak czy inaczej, z tobą czy bez ciebie. Jak powiedziałeś, jest pełnia sezonu urlopowego i prawdopodobnie nigdzie nie dostałabym pokoju. Wierz mi, gdyby nie ty, musiałabym spać w parku.

Roześmiał się, w tej samej chwili otworzyły się na całą szerokość drzwi pomieszczenia służbowego. Weszła kobieta, ubrana na czarno, w białym fartuszk i czarno-białym czepeczku. Wyglądała, jakby się tu wzięła prosto z kiepskiego francuskiego filmu. Przez chwilę przyglądała się Marilyn, nim dygnęła.

Marilyn się zakrztusiła, skinęła jej na powitanie, a potem odwróciła głowę i wybuchnęła śmiechem, mając nadzieję, że kobieta pomyśli, że Marilyn śmieje się z czegoś, co właśnie usłyszała przez telefon.

- Co się stało? - spytał Doug. Ledwo mogła mówić.

- Powiem ci, jak wybierzemy się gdzieś na kolację.

- Jeśli mam być szczerą - zauważył - liczyłem na to, że zjemy w apartamencie. Nie masz nic przeciwko temu?

- Nie - powiedziała i nagle zrobiło się jej gorąco. - A więc do zobaczenia wieczorem. - Wieczorem? Do wie-

czora jeszcze tyle godzin! Pragnęła się z nim zobaczyć zaraz. Nie powinna się oszukiwać: zwyczajnie go pożałała.

Weź się w garść, Marilyn, nakazała sobie. Na miłość boską, przecież jesteś dorosłą kobietą.

Wprawdzie reagujesz niedojrzale i tchórzliwie, kiedy masz do czynienia ze swoją najbliższą rodziną, ale jesteś osobą dorosłą i nie brak ci pewności siebie. Chyba potrafisz przez jeden dzień zapanować nad swoimi hormonami?

Z trudem starając się zachować poważną minę, Marilyn odwróciła się w stronę swojej osobistej pokojówki. Na szczęście kobieta najwyraźniej uznała, że wystarczy jedno dygnięcie dziennie.

- Mam na imię Monika. Jakie są życzenia madame?

- Witaj, Moniko. - Marilyn się uśmiechnęła, starając się wstać z głębokiego fotela. - Myślę, że przyda mi się gorąca kąpiel. Z chęcią zjem też coś na drugie śniadanie.

- Tak jest, proszę pani.

Marilyn powiedziała jej, na co ma ochotę, a Monika spytała, jakby to było coś najzwyklejszego pod słońcem:

- Czy podać śniadanie, kiedy będzie pani brała kąpiel? Marilyn zamrugła powiekami, a potem się uśmiechnęła. Kiedy wejdiesz między wrony...

Po odprężającym masażu - Monika okazała się prawdziwą mistrzynią - długiej drzemce i odświeżającym prysznicu Mariłyn zjechała na dół prywatną windą. Nawet jeśli zamierzali zjeść kolację w apartamencie, nie miała żadnego odpowiedniego stroju, nic, co pasowałoby do tych wnętrz. Z pewnością w hotelu są jakieś sklepy odzieżowe, a nawet jeśli nie, Founpin Emporium było całkiem blisko.

Ułożyła sobie w głowie listę zakupów: sukienka, ładna bielizna, cieniutkie rajstopy, pantofle, dodatki... Przeszedł ją dreszczyk, kiedy sobie wyobraziła, jak Doug będzie ją rozbierał późnym - a może wczesnym - wieczorem. Ciekawa była, czy w ogóle zjedzą kolację. Ani przez moment nie wątpiła, że tę noc spędzą razem.

Nim pozbyła się pokojówki, przebrała do kolacji, uczesała i umalowała, była prawie szósta. Przyjrzała się swemu odbiciu w lustrze. Sukienka z lejącego się jedwabiu w kolorze szmaragdowej zieleni z wypustkami z czarnego atlasu leżała wprost idealnie. Pod spód włożyła body z czarnej koronki, której fragment był widoczny w głębokim dekolcie sukni. Dół ze skosu kończył się pięć centymetrów nad kolanami, a w czółenkach jej nogi wydawały się jeszcze dłuższe i smuklejsze. Poprawiła fryzurę i przeszła do wielkiego westybulu, by nalać sobie kieliszek wina z butelki, chłodzącej się w kubelku z lodem, i zaczekać na Douga.

Ledwo pociągnęła pierwszy łyk, kiedy drzwi windy się otworzyły i wysiadł z niej Doug. Był zmęczony, nieogolony, czymś strapiony i na pewno niegotowy do zjedzenia kolacji. Ale nie miało to znaczenia. Chociaż na niego czekała, była zupełnie nieprzygotowana na to, jak zareaguje na jego widok.

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale po chwili je zamknęła. Na moment zacisnęła powieki, ale kiedy znów na niego spojrzała, stwierdziła, że nic to nie pomogło.

Największym wysiłkiem woli powstrzymała się, by nie rzucić mu się w ramiona.

- Przykro mi - powiedział. - Zjemy kolację później. Nastąpiła zmiana planów. - Ujął ją pod łokieć i skierował się prosto do jej sypialni. Mariłyn niemal roześmiała się na głos. Spieszyło mu się tak samo jak jej?

Ale on tylko otworzył komodę, wyciągnął z niej torbę podróżną, a potem zaczął otwierać szafki i szuflady.

- Co, na Boga...

- Pakuję cię - wyjaśnił. - Musimy stąd wyjechać. I to natychmiast.

- Czy jakieś kolejne nieszczęście?

- Jakbyś zgadła! Dziadek powiedział moim rodzicom o naszych „zaręczynach”. Wracają dziś, pragną cię poznać i nas pobłogosławić.

Mówiąc to, rzucił na łóżko jej bieliznę. Mariłyn, nadal na wpół ogłuszona, wepchnęła ją do torby.

- Dam sobie radę - zapewniła. - Nie zapominaj, że jestem obyta towarzyszka. Sam to przyznałeś. Poza tym może się wstrzymają z błogosławieństwem.

Spojrzał na jej twarz i fryzurę, obcisłą górę sukienki, długość spódnicy i uśmiechnął się ponuro.

- Wątpię. Ojciec będzie oczarowany, a matka - zachwycona. Po dwóch minutach zaczniesz snuć plany, dotyczące naszego ślubu. - Rzucił na łóżko więcej ubrań.

- To śmieszne. - Marilyn złożyła kurtkę i położyła ją na dnie torby. - Nawet nie będą wiedzieli, że tu jestem, jeśli im tego nie powiesz.

- Właśnie tu jadą. W ich domu nadal trwa remont. Recepcjonista, który rozumie, co to dyskrecja, powiedział mi, że zadzwonili z lotniska, by poinformować o swoim powrocie. Jeśli się stąd nie wyniesiemy przed ich przybyciem, mama sprawi, że rano nasze zdjęcie ukaże się na pierwszych stronach gazet w obu Amerykach, a przypuszczalnie też w Europie i Azji, zadba, by sędzia pokoju udzielił nam ślubu najszybciej, jak to tylko możliwe, i najchętniej widziałyby nas w drodze na porodówkę w przyszły piątek w południe.

Marilyn się roześmiała, łapiąc szorty i spodnie, które jej rzucił.

- Nie śmieć się - powiedział, odsuwając ją na bok,

1 zgarnął resztę jej zakupów, zostawiając wysunięte szuflady, szeroko otwarte drzwi szaf, kołyszące się wieszaki. - Nie znasz mojej matki. Zaakceptuje cię, a do tego będzie chciała, żeby dowiedział się o tym cały świat. Jeśli sobie coś postanowi, to nie ma ratunku. Skutecznością działania przypomina taran.

Wszedł do łazienki, jednym ruchem ręki zgarnął starannie rozstawione przez pokojówkę kosmetyki Marilyn, jak również o wiele droższe, które zapewniał hotel, i wrzucił je do otwartej torby. Rozejrzał się wkoło.

- To wszystko? - spytał.

Marilyn wzięła tenisówki, które Monika postawiła w kącie szafki na buty, mogącej pomieścić kolekcję obuwia Imeldy Marcos, i skinęła głową.

- Dokąd się udamy?

Doug po raz pierwszy tego wieczoru się uśmiechnął.

- Znów musimy się wymknąć tylnym wyjściem. Samochód zaparkowałem w pobliżu. Chodźmy. Jeśli, jak

mówisz, nieszczęścia występują seryjnie, postaramy się uniknąć kolejnego.

Kiedy bezceremonialnie wepchnął ją do pomieszczenia gospodarczego, usłyszała, jak z cichym szumem rozsuwają się drzwi prywatnej windy.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi windy znacznie mniej imponującej, z podrapanymi ścianami, bez chodnika na podłodze, bez luster i boazerii z drewna tekowego. A w środku stał starszy pan, bardzo podobny do Douga, i bagażowy z wózkiem pełnym waliz.

- Tata - powiedział Doug pełen rezygnacji i na chwilę się przygarbił. Ale zaraz się wyprostował i wolną ręką objął Marilyn za ramię.

- Przedstawiam ci Marilyn Ross. Marilyn, mój ojciec, Douglas Ellery Fountain senior.

, - No, no, no - powiedział starszy pan, podparłszy się pod boki. Najpierw obrzucił wzrokiem Marilyn, ściskając pod pachą tenisówki, a potem Douga, trzymającego torbę turystyczną. - Właśnie przyszlście czy wychodzicie?

- Wychodzimy - oświadczył zdecydowanie Doug. - Słyszałeś kiedyś o ucieczce zakochanych?

- Ucieczce zakochanych? - rozległ się za nimi kobiecy głos.

Doug jęknął i odwrócił się, ciągnąc Marilyn za sobą.

- No tak - mruknął jej prosto do ucha. - Oto kolejne z serii nieszczęść.

Ojciec Douga dał im znak, żeby nie tarasowali drogi bagażowemu, który skierował się do Apartamentu Złotego.

W przestronnym westybulu stała pięćdziesięciokil-kuletnia kobieta o popielatoblond włosach, w niebieskim spodniemie, szeroko się uśmiechając.

- Uciekniesz po moim trupie - zagroziła, utkwivszy piorunujący wzrok w Dougu.

- To się da zrobić - odparł Doug, podchodząc do matki. Objął ją. - Dlaczego nie zostaliście w Europie aż do zebrania udziałowców, jak to było ustalone?

Pani Fountain roześmiała się i poprawiła fryzurę.

- Nie wierzę, że mój syn, zazwyczaj realista, mógł sobie tak pomyśleć. Przecież niebawem wasz ślub. Chyba że miłość odebrała ci rozum.

Ujęła dłoń Marilyn.

- Moja droga - powiedziała - jestem Eloise, matka Douga, jeśli się tego jeszcze nie domyśliłaś.

Przepraszam za jego maniery. Mężczyźni! - dodała ze wzruszeniem ramion, wzięła Marilyn pod rękę i zaprowadziła ją do stojącej w pobliżu kanapy. - Zachowują się zupełnie nieodpowiedzialnie, póki nie skończą przynajmniej osiemdziesięciu lat. Bardzo się cieszę, że Franklin okazał się na tyle rozsądny, by zrozumieć, że musi do mnie zadzwonić i ściągnąć mnie do domu. Gdybym pojawiła się dwie minuty później, Doug by cię stąd zabrał i ominąłby cię jeden z najradośniejszych, najbardziej romantycznych dni w życiu kobiety. Usiądź ze mną, Marilyn, moja droga. Mamy do omówienia wiele spraw.

- Mamo... - powiedział Doug ostrzegawczym tonem, ale matka nie zwróciła na to najmniejszej uwagi. Prychnęła lekko, siadając i pociągając za sobą Marilyn.

- Ucieczka zakochanych, dobre sobie. Mogłeś przynajmniej pomyśleć o drabinie, Dougie.

Obaj mężczyźni spojrzeli na nią.

- Która dosięgłaby dwudziestego trzeciego piętra? - spytali jednocześnie.

Marilyn odrzuciła głowę do tyłu i wybuchnęła śmiechem. Poza tym mogła się tylko zalać łzami.

O, tak, uniknęła paszczy lwa, ale gdzie wobec tego się znalazła?

Uciekła z własnego domu, który się przemienił w dom wariatów, by znaleźć się w czarującym towarzystwie, stwierdziła Marilyn po kilku godzinach. Kiedy państwo Fountain przeprosili i udali się do swojego apartamentu, a Doug poszedł się przebrać w strój, który jego matka uznałaby za bardziej odpowiedni do kolacji, ekipa sprawnych kelnerów nakryła srebrami i kryształami stół dla pięciu osób.

- Kto jeszcze przyjdzie? - spytała Marilyn, kiedy wrócił Doug, elegancki i szarmancki jak zwykle. Usiadł w fotelu obok, oddzielał ich jedynie mały stół. Jakby to było coś najzwyklejszego pod słońcem, ujął jej dłoń i przesunął kciukiem po pierścionku ze szmaragdem.

- Przypuszczam, że dziadek. Zachowuje się, jakby osobiście mi ciebie znalazł.

Marilyn na chwilę zasłoniła oczy dłonią, a potem pociągnęła łyk wina. Podejrzewała, że będzie musiała przerzucić się na perriera, kiedy pojawi się staruszek.

- Możemy jeszcze uciec, jeśli się pospieszymy - powiedział Doug, ale jego uśmiech oraz leniwie wyciągnięte i skrzyżowane nogi nie wskazywały na to, że miał na to ochotę.

Zresztą i tak było za późno, bo pojawił się jego ojciec. Ogolony, odświeżony, w szarym letnim garniturze i krawacie koloru bordo, starszy pan Fountain wyglądał w każdym calu jak bogaty dżentelmen. Stalowszare włosy i krótkie wąsy dodawały mu wytworności i jowialności, a kiedy się uśmiechał, bardzo przypominał swego ojca. Właśnie w tej chwili w drzwiach windy pojawił się Franklin we własnej osobie.

- Moja droga - powiedział, pochylając się, by ucałować Marilyn w czoło. - Bardzo się cieszę, że znów cię widzę. Wyglądasz prześlicznie. - Usiadł w fotelu, a potem uśmiechnął się do syna. - Dobrze, że wróciliście,

Douglasie. Wiesz, że jej ojcem był Gerald Antioch?

Najwyraźniej Franklin nie tracił czasu. Mariżyn chciała udać oburzenie, ale nie udało się jej. To chyba wino tak na nią wpływało. Podejrzewała, że rodzina Fountainów sprawdzała każdego, kto mógłby zainteresować się którymś z członków rodu.

- Naprawdę? - Doug się rozpromienił. - Spotkałem twojego ojca wiele lat temu, kiedy pracował w misji handlowej w ówczesnej Jugosławii. Okazał nam wielką pomoc, kiedy zaczęliśmy szukać luk w żelaznej kurtynie. - Na chwilę spoważniał. - Tata powiedział „był”. Czy to znaczy...

Mariżyn skinęła głową.

- Dziewięć lat temu zginął w wypadku samochodowym na Bliskim Wschodzie.

- Tak mi przykro. Gerald Antioch był dobrym człowiekiem. Mógł wysoko zajść w dyplomacji. - Przechylił głowę tak samo, jak robił to Doug. - Ale teraz nosisz nazwisko Ross, o ile się nie mylę? Czy to znaczy, że byłaś mężatką? Owdowiałaś czy się rozwiodłaś?

- Douglasie! - wykrzyknęła Eloise tonem nagany. Mariżyn się obejrzała. Pani Fountain miała na sobie ciemnoróżową suknię z szerokim pasem, który podkreślał jej smukłą talię. Mąż i syn zerwali się z miejsc. Starszy pan pozostał w fotelu, podpierając się na lasce, trzymanej między nogami.

- Przeszłość pani Ross - ciągnęła Eloise - ani nas nie interesuje, ani nie ma dla nas znaczenia. Liczy się to, że wyjdzie za Douga i zostanie panią Fountain.

Uśmiechnęła się do młodych, pochyliła się, ujęła dłoń Mariżyn i z zachwytem spojrzała na pierścionek ze szmaragdem.

- Dokonałeś świetnego wyboru. Dobrze się spisałeś, Doug.

Marilyn nie była pewna, czy Eloise ma na myśli pierścionek, czy ją;

- Dobrze? - spytał Douglas, zacierając ręce z zadowolenia. - Powiedziałbym, że wspaniale się spisał.

- Uśmiechnął się do Marilyn. - Ojciec niii mówił, że prowadzisz organizację dobroczynną, którą założyłaś kilka lat temu. Opowiedz mi coś o niej, moja droga.

Marilyn posłusznie zaczęła mówić o fundacji. Rodzice Douga okazali żywe zainteresowanie tematem i zadawali wiele pytań. I tak minęła im pierwsza połowa wieczoru. Marilyn była ciekawa, kto i kiedy zamówił potrawy, ale wszystko było wyborne i ślicznie podane.

Na szczęście Doug nie wyskoczył z tym, że pragną jak najszybciej mieć dziecko, jak podczas pierwszego spotkania, a jego dziadek najwyraźniej o tym zapomniał.

Marilyn uśmiechnęła się na to wspomnienie i spojrzała na Douga. Przypuszczała, że on też pamięta ich pierwszy wspólny obiad, po którym wypili po lampce brandy. Uniósł kieliszek jak w toaście, ich spojrzenia się spotkały.

Eloise Fountain, siedząca naprzeciwko, westchnęła, a wzrok Douglasa przez moment stał się tęskny.

Oby-jiwoje wymienili uśmiechy pełne zadowolenia, co nie umknęło uwagi Marilyn. Ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Czowała, że nie tylko ją gnębią, ale wywołują rumieniec na twarzy. Cholera, nigdy się nie czerwieniła! Co się z nią dzieje dziś wieczorem? Odstawiła kieliszek z winem. To na pewno przez alkohol.

- Jak długo się znacie? - spytała Eloise.

- Wystarczająco długo - odparł Doug, przeciągając słowa i obrzucając Marilyn badawczym spojrzeniem - żebym nabrał pewności, że ta kobieta jest stworzona dla mnie.

- Dokładnie to samo czułem, kiedy poznałem twoją matkę - powiedział Douglas.

- Nic podobnego! - zaprzeczyła Eloise. - Tak uciekałeś, że myślałam, iż cię nigdy nie dogonię.
- Bezlitośnie ze mną flirtowałaś, droczyłaś się i niemal doprowadziłaś mnie do szaleństwa - przypomniał jej mąż. - Moja droga, miałaś dopiero osiemnaście lat, a ja byłem na tyle przyzwoity, że chciałem, abyś trochę dorosła. -Zwrócił się do Marilyn: - Trzydzieści lat różnicy między nami wydawało mi się przeszkodą nie do pokonania.

Zona poklepała go po dłoni.

- Ale ci udowodniłam, że się mylisz, chociaż doprowadzenie cię przed ołtarz zajęło mi prawie dwa lata.

Doug i Douglas wybuchnęli śmiechem.

- Mam nadzieję - ciągnął Douglas - że ponieważ wy nie jesteście nastolatkami, ślub odbędzie się wkrótce.

Marilyn wbiła wzrok w talerz. Nagle poczuła się jak przestępca. Ci ludzie byli zbyt mili, by ich okłamywać. Spojrzała na Douga, mając nadzieję, że powie im prawdę. Zastanawiała się, czy sama powinna to zrobić. Ale Doug milczał i tylko ścisnął jej rękę, jakby ją ostrzegał, żeby nic nie mówiła. Bardzo dobrze, na razie nic nie powie, ale musi z Douglasem Ellerym Fountainem juniorem przeprowadzić w najbliższym czasie bardzo poważną rozmowę.

Udawać, że są zaręczeni, by dać Kelly szansę zdobycia tego, na co sobie zasłużyła wieloletnią ofiarną pracą w rodzinnej firmie, i pomóc jej zachować przedsiębiorstwo dla synów, to jedno. Ale wciąganie innych, na przykład rodziców Douga, w tę aferę, to zupełnie co innego.

W ten sposób sytuacja może się im wymknąć spod kontroli. A Marilyn lubiła sama decydować o swym losie.

I będzie decydowała. Zmusi Douga, by wyłożył karty na stół.

Aby zmienić temat rozmowy, Marilyn spytała:

- Ostatnie dwa miesiące spędzili państwo w Eu-

ropie, prawda? Jakie kraje państwo odwiedzili?

- Byliśmy we wszystkich hotelach Fountains - powiedziała Eloise. - Lubimy od czasu do czasu składać niezapowiedziane wizyty. Dzięki temu personel bardziej się stara.

Zamilkła na chwilę, a potem zadała pytanie, na które Marilyn powinna być przygotowana, ale, o dziwo, nie była. Bo to wszystko nie tylko wydawało się jej nieprawdziwe, ale było nieprawdziwe.

- Czy ustaliliście już datę ślubu, Marilyn?

- Ja... my...

- Marilyn nie poinformowała jeszcze o naszych planach swojej matki - przyszedł jej z pomocą Doug.

-Mamy zamiar wkrótce to uczynić.

- To dobrze. Gdzie mieszka twoja matka?

Marilyn się uśmiechnęła, czując, jakby zdjęto jej z ramion wielki ciężar. Na to pytanie mogła odpowiedzieć zupełnie szczerze.

- W Bostonie z moim bratem, ale w tej chwili nie ma ich 4f domu. Nie jestem pewna, gdzie przebywają.

Nic/a nic nie kłamała. Lucas prawdopodobnie siedział nadąsany w pokoju gościnnym w jej domu.

Matka przypuszczalnie już dawno temu rozgościła się w sypialni Marilyn. Zablokowane drzwi nie stanowiły dla niej przeszkody. Żeby je otworzyć, wystarczyło posłużyć się kawałkiem drutu. Jeśli nie było jej w sypialni, siedziała w salonie, zachowując wyniosłe milczenie, by ukarać swego syna za naruszenie obowiązujących reguł gry, które doprowadziły do całej tej afery. Ani matce, ani Lucasowi nawet nie przyjdzie do głowy, by spać na rozkładanej kanapie w jej gabinecie. Gdyby Marilyn została w domu, musiałaby się na nią przenieść.

- Kiedy wrócą? - spytał Franklin, napełniając kieliszki.

- Naprawdę nie wiem. - W innych okolicznościach,

uświadomiła sobie, cała ta sytuacja by ją śmieszyła. Widząc podziw i rozbawienie w oczach Douga, ciągnęła: -Są dość nieobliczalni.

- Musimy ogłosić wasze zaręczyny, jak tylko uda ci się poinformować matkę. Mam nadzieję, że będzie równie zachwycona twoim wyborem, jak my cieszymy się wyborem Douga - powiedziała Eloise.

- To chyba niepotrzebne. I Doug, i ja chcemy uniknąć rozgłosu. - Marilyn się uśmiechnęła, ale w głębi duszy czuła się jak skończony kłamca. Ucieszyła się, kiedy wkrótce po deserze i kawie starsi państwo udali się na spoczynek, tłumacząc się zmęczeniem po podróży, a Franklin oświadczył, że na niego też pora. Ani on, ani jego kierowca nie lubili zarywać nocy.

Kiedy zostali sami, Doug wstał i ujął dłonie Marilyn, zmuszając ją do podniesienia się. Przyglądał się jej, wywołując w niej przyjemny dreszczyk.

- Wolalbym, żeby ten dzień upłynął nam inaczej -powiedział. - Chciałem cię mieć tylko dla siebie przez cały weekend. - Wziął ją w ramiona.

- Nie - zaprotestowała. - Nie całuj mnie, Doug. Musimy porozmawiać.

Zmarszczył czoło, słysząc ton jej głosu.

- O czym?

- O wyznaniu twoim rodzicom prawdy!

- Jak to?

Wyrwała mu się i stanęła po drugiej stronie kanapy.

- Och, nie udawaj, że nie wiesz, o co mi chodzi! -zawołała, chwytając się obiema rękami oparcia kanapy. Pilnując się, żeby nie mówić podniesionym głosem, ciągnęła: - Myślą, że naprawdę jesteśmy zaręczeni. - Zagryzła usta. - Uważają też, że razem tu mieszkamy.

Ani przez chwilę nie podejrzewała, że rodzice Douga

uwierzyli, że zaproponował jej apartament w hotelu, ponieważ w jej domu akurat jest remont. Ani w to, że u niego zepsuła się instalacja przeciwpożarowa. Nie miała wątpliwości, że państwo Fountain uważali, że razem z Dougiem urządzili sobie miesiąc miodowy przed ślubem.

Próbowała sobie tłumaczyć, że są ludźmi dorosłymi, ale mimo to czuła się skrupowana, że rodzice Douga myśleli sobie to, co musieli myśleć.

Już wkrótce dowiedzą się, że nie było żadnych zaręczyn, nie będzie ślubu i niewątpliwie uznają Marilyn za puszczalską. A bardzo jej zależało na ich pochlebnej opinii.

- Nosisz na palcu pierścionek ode mnie - powiedział cicho Doug. - Zgodziłaś się być moją narzeczoną do czasu zebrania udziałowców, a właściwie do dnia urodzin Kelly i Kerry'ego. I nic tego nie zmieni, czy ci się to podoba, czy też nie.

Podszedł do niej.

- A ja jestem twoim narzeczonym. I bardzo mi się to podoba.

Uśmiechnął się do Marilyn tak, że aż zaparło jej dech. Jego krótki pocałunek nieomal odebrał jej zdolność logicznego myślenia. Jednak znów odepchnęła Douga.

- Czuję się jak oszustka. Nie możemy im tego zrobić! To cudowni ludzie. Polubiłam ich.

- Ja też ich lubię, ale czy ich powrót do domu cokolwiek zmienił? Czy powiedzieliśmy im coś innego niż to, co powiedzieliśmy dziadkowi? Powody, dla których chcę, żeby mój dziadek wierzył, że się zaręczyłem, dotyczą również mojego ojca. Nie zapominaj, że naszym celem nie jest oszukiwanie dla osiągnięcia zysku, ale stworzenie Kelly okazji zdobycia tego, co zgodnie z prawem należy się jej i jej synom.

Trudno było z nim dyskutować, kiedy używał do-

kładnie tych samych argumentów, co ona w myślach podczas kolacji. Położył jej dłonie na ramionach.
- Marilyn, ci chłopcy są moimi bratankami. Synami mojego jedyne go brata. Chcę, żeby też należeli do naszej rodziny.

Zagryzła usta i spojrzała na niego.

- Więc czemu nie poślubiłaś Kelly?

Roześmiał się cicho, zmysłowo. Jego śmiech przypominał mruczenie lwa.

- Bo jej nie kocham, a ona nigdy nie była zakochana we mnie.

- A Caroline kochałaś?

Niemal się uchylił, jakby zadała mu cios. Dobrze wiedziała* że nie miała prawa stawiać takiego pytania. Po chwili spojrzał jej prosto w oczy.

- Teraz uważam, że nie. Może byłem zaślepiony. Pochlebiali mi, że szukała u mnie pocieszenia, a potem przekonała mnie, że mnie kocha. Marilyn, miałem dwadzieścia cztery lata, właśnie dostałem pierwszą pracę w liniach lotniczych, z której musiałem zrezygnować z powodu śmierci mojego brata. Chyba traktowałem jego byłą narzeczoną jako swego rodzaju nagrodę, kogoś, kto mi pomoże pogodzić się ze stratą. Myliłem się. Nie jestem ani pierwszy, ani ostatni, który źle wybrał.

- Dobra - musiała przyznać. Sama źle wybrała, poślubiając Freddy'ego Rossa. -Rozumiem to. Może rzeczywiście powrót twoich rodziców niewiele zmienił, ale z całą pewnością nie pobierzemy się, chociaż im to powiedzieliśmy, i będą głęboko rozczarowani.

- Przecież nic takiego im nie powiedzieliśmy.

- Nie oszukuj sam siebie. Powiedzieliś swojemu ojcu, że uciekamy, żeby wziąć potajemnie ślub.

- Nieprawda. Spytałem go tylko, czy słyszał o ucieczkach zakochanych. Sami z mamą wyciągnęli z tego wnioski.

Marilyn przygryzła usta.

- Nie rób tak - poprosił Doug zachrypniętym głosem i przyciągnął ją do siebie.

Spojrzała na niego.

- Doug...

Powiedziała to takim błagalnym tonem, że zupełnie go rozbroiła. Jęknął cicho i przytulił ją mocno.

- Wiesz, że przez cały wieczór doprowadzałaś mnie do szaleństwa? - Pochylił się, by ją pocałować.

Zachwiała się lekko, uniosła ręce i zmierzwiła mu gęste włosy.

Przez cały wieczór pragnęła tego pocałunku. Rozkoszowała się nim, rozkoszowała się dotykiem jego rąk na swym karku, jego barczystymi ramionami pod swymi palcami.

Kochała go. Miłość wypełniała ją całą i sprawiała, że miała ochotę płakać, bo wiedziała, że to uczucie nie może przynieść jej szczęścia.

Za szybko skończył ją całować, oczy mu błyszczały.

- Boże, jak cię pragnę! Muszę albo natychmiast wyjść, albo za dziesięć minut znajdziemy się razem w łóżku.

Przycisnęła ręce do piersi Douga, jego słowa sprawiły, że ośwładnęło ją pożądanie. Tak łatwo byłoby mu ulec, ale... Pokręciła głową.

- Wiem - powiedział. - W tej sytuacji nie czułabyś się dobrze.

- Gdzie przenocujesz? - Spojrzała nerwowo na drzwi, prowadzące do wolnego Apartamentu

Koralowego. Jeśli tu zostanie, czy będzie miała dość sił, by do niego nie pójść?

- Na swojej łodzi. Jest tam całkiem wygodnie. Zresztą będę tam spał nie pierwszy raz. - Uśmiechnął się i musnął jej wargi swymi ustami. - Chcesz do mnie dołączyć?

Bardzo tego pragnęła, ale pokręciła głową.

- Wiem - powtórzył. - Wrócę na śniadanie. Śpij smacznie - rzucił pospiesznie i wyszedł.

Marilyn *leżała*, na łóżku i wpatrywała się w ciemność. Wiedziała, że musi coś postanowić.

Jeśli zostanie z rodzicami Douga, będzie się z nim codziennie widywała i jej życie stanie się nie do zniesienia. Przecież go kochała, mimo że nie mogła się do tego przyznać. Zdecydowała, że nawet gdyby to oznaczało konieczność przeprowadzki do wuja, z samego rana się stąd wyniesie.

- Ale nie przed śniadaniem - oświadczyła Eloise. - Już je wiozą na górę. Chodź, zjemy razem. - Miała na sobie kimono z czerwonego atłasu, które zaszeleściło, kiedy przechodziła przez drzwi na taras i zajmowała miejsce za okrągłym stołem, nakrytym dla czterech osób i ocienionym wielkim parasolem. Nalała kawę i sok pomarańczowy dla siebie i Marilyn. - Praca może poczekać. Zresztą i tak dziś niedziela. Chyba nie pracujesz w weekendy?

- Na ogół nie - przyznała Marilyn, siadając naprzeciwko Eloise.

Trzech kelnerów wniosło na tacach półmiski ze srebrnymi pokrywkami. Niektóre postawili na podgrzewanym pomocniku z nierdzewnej stali; inne, z owocami, umieścili na potłuczonym lodzie.

- Jesteś nie lepsza od mojego syna - powiedziała Eloise. - No cóż, obydwójcie będziecie musieli zacząć wię-

cej o siebie nawzajem dbać, spędzać wspólnie więcej czasu, a mniej poświęcać na interesy.

- W soboty i niedziele zajmuję się korespondencją, dotyczącą fundacji - wyjaśniła Marilyn.

Dołączył do nich Douglas, mąż Eloise. Prezentował się niezwykle elegancko w sztychach na miarę granatowych bermudach i białej koszulce polo.

- Ale ślicznie pachnie kawa. - Usiadł i wziął filiżankę, napełnioną przez żonę.

Tymczasem kelnerzy zdjęli pokrywki z półmisek i czekali, gotowi nakładać potrawy.

W powietrzu unosił się kuszący aromat, ale Marilyn zdecydowała się tylko na owoce i grzanek, potem, za namową Eloise, spróbowała „jeden plasterek szynki” i „odrobinę niezwykle pulchnej jajecznicy”. Pani Fountain oświadczyła, że jeśli nie zje jej Marilyn, wyręczy ją Douglas.

- A bardzo mnie martwi poziom jego cholesterolu. Jak wiesz, Douglas przeżył już dwa zawały, na szczęście niegroźne. Dlatego tak wcześnie odszedł na emeryturę. - Poklepała męża po dłoni. - Chcę go mieć przy sobie jeszcze przez wiele lat. Ty też będziesz musiała zadbać o to, żeby mój syn nie przesadzał z pracą. Ci Fountainowie zajmowaliby się interesami na okrągło, gdyby im na to pozwolić.

- Nieprawda, mamó. Obaj w tej chwili nie pracujemy.

Marilyn odwróciła się na krześle i niemal przestała oddychać. To aż śmieszne, jak piorunujące wrażenie robił na niej ten mężczyzna. Miał na sobie dzinsy, ucięte nad kolanami, i szary podkoszulek bez rękawów. Pod opaloną skórą wyraźnie rysowały się silne mięśnie. Jego ramiona aż prosiły, by ich dotknąć. Jego usta, kiedy się do niej nachylił, tak ją kusiły, że trudno jej

było w to uwierzyć. Jego oczy, gdy uniósł głowę, obiecywały cudowne rzeczy, i Marilyn już nie mogła się doczekać, kiedy spełnią się te obietnice. Eloise się uśmiechnęła.

- Dzień dobry, Dougie. Usiądź. Zostało mnóstwo jedzenia.

- Świetnie - ucieszył się, przysuwając krzesło bliżej do Marilyn. - Bo po śniadaniu razem z moją panią wybieramy się łodzią na wycieczkę.

Marilyn czuła dotyk jego uda na swojej nodze i zabrakło jej sił, by mu się sprzeciwić.

Potężne silniki wprawiały w drżenie łódź, kiedy Doug utrzymywał niewielką prędkość manewrową.

Marilyn ogarnęło dziwne podniecenie na myśl o tym, co ich czeka. Kiedy wypłynęli z English Bay, Doug gwałtownie zwiększył obroty i łódź wyrwała do przodu. Pęd powietrza odgarnął Marilyn włosy z twarzy.

Nachyliła się do przodu, roześmiana, rozkoszując się poczuciem absolutnej swobody.

- To coś wspaniałego! - powiedziała, kiedy łódź śmigła po wodzie, chwilami przypominając lekki kamyczek, odbijający się od grzyw kolejnych fal.

- Proszę, przejmij ster - zaproponował, wstając. Położyła ręce na kole sterowym, które pracujące silniki wprawiały w drgania. Douglas kierował jej ruchami, pokazując, jak należy wziąć długi, szeroki wiraż. Przecięli tor wodny promów, unieśli się na pierwszej fali, a potem zapadli w głąb. W powietrze wytrysnęła spieniona woda. Marilyn oblizała usta, zamrugała powiekami i nastawiła twarz, gotowa na kolejny słony prysznic.

Doug ujął Marilyn pod brodę i zlizął sól z jej warg, nim ją pocałował. Pragnęła, by ten pocałunek nie miał

końca, ale Doug odsunął się i usiadł na miejscu dla pasażera, pozwalając jej kierować łodzią. Bawiła się ponad godzinę, płynąc to tu, to tam, śmiejąc się, kiedy pryskała na nią woda, słuchając spokojnych poleceń Douga, kiedy znaleźli się w pobliżu innych łodzi, ucząc się, kto ma pierwszeństwo i dlaczego.

- Skieruj się do najdalszego punktu lądu, który widać na horyzoncie. - Wyciągnął rękę i pokazał palcem.

Spojrzała w tamtą stronę i skierowała łódź w kierunku spowitego lekką, fioletową mgiełką cypla, majaczącego w oddali.

- Dokąd płyniemy?

- Do Zatoczki Przemysłowców, jednego z ulubionych przeze mnie celów morskich wypraw - powiedział, przekrzykując ryk silników. Pochylił się i bardziej zwiększył obroty. Łódź jeszcze przyspieszyła, zaczęła niemal unosić się nad falami.

- Znam to miejsce! - zawołała. - Wujek Edwin ma niedaleko letni domek. Wspólnie przemierzaliśmy szlaki turystyczne w okolicy.

- Czyli wiesz, jak tam wspaniale. Spojrzała na niego.

- Widziałam tam kąpiących się. Chyba powinnam była skorzystać z propozycji Johna i wybrać sobie jakiś kostium.

Uśmiechnął się.

- Nie martw się. Możesz popływać, jeśli będziesz miała ochotę. Rano kupiłem ci kostium kąpielowy. Obawiałem się, że nie uda mi się ciebie namówić do pływania nago w środku dnia.

- Na pewno nie wtedy, kiedy w pobliżu są inni ludzie - przyznała.

- A gdybyśmy byli sami?

- Nie wiem.

Roześmiał się i pochylił, by ją pocałować w kark.

- Po wczorajszym ranku myślałem, że już się przyzwyczaiłaś do tego, że cię oglądam ociekającą wodą.

Pozostawiła to bez komentarza i skupiła się na kierowaniu łodzią.

- Lepiej, jak przejmę od ciebie ster - oświadczył, gdy znaleźli się w pobliżu latarni morskiej, sterczącej na końcu skalistej wysepki. - Może tu być trochę niebezpiecznie dla kogoś, kto nie zna tego miejsca. Wkrótce, zostawiwszy latarnię morską daleko w tyle, Doug zwolnił. Płynęli wąskim przesmykiem, z jednej strony mieli podwodne skały, a z drugiej - stromy brzeg, w pobliżu którego stały na kotwicach liczne łodzie. Mijali motorówki i żaglówki. Po spokojnej tafli wody oddzielającej łodzie od brzegu sunęły pontony i kajaki, a między nimi widać było kąpiących się, rozpryskujących wodę na wszystkie strony. Dzieci piszczały z uciechy, dorośli obserwowali je z pobłażliwymi uśmiechami.

W końcu znaleźli się w oddalonym zakątku zatoczki, którego unikali inni żeglarze, i Doug rzucił kotwicę.

Następnie wziął wielki zwój żółtej liny, zawiązał jeden jej koniec, zepchnął na wodę ponton i popłynął nim na brzeg. Tam przesunął linę przez pierścień w skale i wrócił na łódź, gdzie zawiązał drugi koniec liny.

Kiedy wyłączył silniki, spowiała ich głęboka cisza.

Marilyn cicho spytała, dlaczego nie tylko rzucił kotwicę, ale również przywiązał łódź. Wyjaśnił, że robi tak większość właścicieli, bo po rzuceniu kotwicy łodzie lekko dryfują.

- Poza tym - dodał - nie wpadniemy na skały, które znajdują się u wejścia do zatoczki.

- Jakie skały? - Marilyn nerwowo spojrzała na gład-

kie lustro wody, nie widząc ani śladu groźnych, częściowo zalanych skał, które mijali, gdy tu płynęli.
- Nie widać ich, ponieważ jest przyptyw - wyjaśnił z uśmiechem. - Ale wierz mi, że są. Nie masz się jednak czym przejmować, bo odpłyniemy, nim poziom wody zbytnio opadnie. A na razie możemy odpoczywać i być... ze sobą.

Być ze sobą... Zabrzmiało to wyjątkowo i przez kilka długich chwil Marilyn, patrząc Dougowi w oczy, pragnęła uwierzyć, że za sprawą jakiegoś cudu tak rzeczywiście będzie. Słońce bezlitośnie paliło ją w plecy. W końcu ledwo mogła oddychać.

- Popływamy przed obiadem czy po? - spytał. Spojrzał na nią spod zmrużonych powiek Uśmiech zamarł na jego ustach, jego wzrok palił ją nie mniej niż słońce. - A może... w ogóle zrezygnujemy z pływania?

- Popływamy - powiedziała, jej głos zabrzmiał ostro. -Przed obiadem. - Stwierdziła, że musi coś zrobić, żeby nie tylko ochłonać, ale również ostudzić ciało, nim zrezygnuje zarówno z pływania, jak i z jedzenia, by wybrać tę trzecią ewentualność. - Mówiłeś, że kupiłeś dla mnie kostium kąpielowy? Skinał głową.

- Myślę, że będzie na ciebie dobry. Wisi w toalecie. Pierwsze drzwi po lewej.

Odwrócił ją i wskazał schodki, prowadzące do przytulnej, malutkiej kabiny, z której było wejście do mikroskopijnej łazienki.

Zaskoczył ją widok białego, jednoczęściowego kostiumu pływackiego; spodziewała się raczej skąpego bikini. Zadowolona z wyboru Douga, włożyła kostium. Opinał ją jak druga skóra i poczuła się w nim bardziej naga niż w bikini.

Doug pływał, kiedy wyszła na pokład.

- Jeśli masz ochotę, zanurkuj - zaproponował. - Woda ma głębokość ponad czterech metrów i temperaturę dwudziestu czterech stopni.

Nie było to dużo w porównaniu z wodą, w jakiej wzięła gorącą kąpiel na tarasie w hotelu. W pierwszej chwili Marilyn zrobiło się bardzo zimno, ale szybko się przyzwyczała. Pływała energicznie, aż krew zaczęła jej szybciej krążyć w żyłach, potem przekręciła się na plecy i unosiła na wodzie, czując na twarzy gorące promienie słońca.

- Wyglądasz jak syrena z tymi włosami, unoszącymi się wokół głowy - powiedział Doug tuż przy jej uchu. Otworzyła oczy i uśmiechnęła się do niego.

Objął ją w pasie i przyciągnął do siebie. Był gorący mimo niskiej temperatury wody.

- Zaczerpnij głęboko powietrza - poprosił.

- Dlaczego? Uśmiechnął się.

- Zrób, o co cię proszę.

Posłuchała go. Objął ją i zaczął całować, kiedy wolno się zanurzali. Marilyn otworzyła oczy i stwierdziła, że Doug ma zaciśnięte powieki. Bąbelki powietrza tworzyły srebrną smugę, biegnącą w górę przez zieloną toń wody. Opadali, chociaż Marilyn odnosiła wrażenie, że się unosi, a nie leci w dół.

Bąbelki powietrza rozrywały się w jej sercu, mózgu, żyłach, mile łaskocząc. Pragnęła, by ta chwila trwała wiecznie, chociaż wiedziała, że to niemożliwe.

Prawie zabrakło jej powietrza, kiedy w końcu przestał ją całować i odbiwszy się energicznie, pociągnął za sobą na powierzchnię.

Łapczywie chwyтали powietrze, serca waliły im jak oszałałe.

Odgarnął jej włosy z twarzy i roześmiał się gardłowo.

- Widziałem to raz w kinie. Zawsze chciałem to zrobić.

- Nie robiłeś tego nigdy przedtem?

Pokręcił głową, trzymając ją jedną ręką. Jego spojrzenie i wspomnienie pocałunku sprawiły, że znów zapragnęła się zanurzyć, wtulona w jego ramiona.

- To dobrze - mruknęła.

Rozbroił ją swym uśmiechem, który wyrażał zadowolenie, triumf, męską próżność i tkliwość.

Znów poczuła w żyłach srebrne bąbelki. Marilyn zaczęła płynąć, nie chcąc, by Doug wyczytał z jej oczu więcej, niż powinien.

Płynął obok niej, delikatnie kierując ją w stronę łodzi.

- Wracajmy na pokład, nim wyziębisz sobie organizm.

Marilyn uważała, że jej to nie grozi, bo potrafił sprawić, że krew w niej wrzała, ale posłusznie podpłynęła do łodzi. Zgrabnie się podciągnął i podał Marilyn rękę, by pomóc jej wyjść z wody.

Długie, silne nogi, podobnie jak ręce, porastały mu gęste, ciemne włoski, ale tors miał prawie gładki. Owinął ją razem z głową w wielki, szkarłatny ręcznik i poczuła się jak Czerwony Kapturek. Masował jej ramiona, plecy, a rogiem otarł twarz.

Drugim rogiem też osuszyła mu twarz. Nie na wiele się to zdało.

- Masz mokre włosy - stwierdziła. - Nie zabrałeś drugiego ręcznika?

- Nie.

Marilyn rozchyliła ręcznik i owinęła nim również Douga. Aż stracił dech, kiedy ich zimne ciała się zetknęły. Przytulił się do niej.

- Pragnę cię - wyszeptał. - Bardzo cię pragnę. Nasza wczorajsza wieczorna rozłąka to była prawdziwa tortura.

- Doug, musimy porozmawiać. Powinieneś o czymś wiedzieć - powiedziała, ale pozwoliła, by mocniej ją objął.

- Porozmawiamy później - mruknął, kładąc ją na pokładzie, nagrzanym przez słońce. - Teraz pragnę cię posiąść. Tutaj, w blasku słońca, pod gołym niebem. Tego też nigdy wcześniej nie robiłem.

Marilyn się roześmiała.

- Ja też nie. Chyba przy tobie staję się nienasycona. W jego oczach zapaliły się wesołe iskierki.

- Nie możesz mnie o to winić. Pamiętasz „metr pięćdziesiąt wzrostu, niebieskie oczy i sto czterdzieści kilogramów bujnych, kobiecych wdzięków”?

- Wydaje mi się, że to było wieki temu.

- Albo zaledwie pięć minut temu... Chodź tu do mnie, ty moja nienasycona kobietko.

Resztę dnia spędzili, kochając się, leżąc w pełnym słońcu na pokładzie, grzebiąc w koszu z prowiantem, przygotowanym przez personel hotelu, sącząc wino i barszkując w wodzie. Wreszcie nadszedł wieczór i zaczął się odpływ.

Niechętnie się ubrali. Doug znalazł dla Marilyn obszerny sweter, w którym mogła wrócić do miasta.

- Nie pamiętam przyjemniejszego dnia w całym swym życiu - wyznała, kiedy skończył cumować łódź w przystani.

- Będzie takich więcej - obiecał. Na widok jego miny serce przestało jej bić. Coś w tonie jego głosu sprawiło, że gardło jej się ścisnęło. Wiedziała, że powinna mu uzmysłwić, że ich związek nie ma przyszłości, chociaż bardzo pragnęła, żeby było inaczej.

- Doug, musisz mnie wysłuchać.

- Marilyn... - zaczął, ale nie powiedział tego, co zamierzał powiedzieć, tylko nachylił się i pocałował ją długo, namiętnie, aż obydwójgu zakręciło się w głowach.

Dłonie zanurzył we włosach Marilyn i przycisnął jej głowę do swej piersi.

- Nie mogę cię stracić. Jeszcze nie teraz. Proszę, Marilyn, zostań ze mną trochę dłużej.

Jak mogła się mu oprzeć? Jak mogła się oprzeć swemu własnemu pragnieniu? Dobrze wiedziała, że to niewykonalne. Nawet jeśli zdawała sobie sprawę z tego, że „trochę dłużej” znaczy do dnia zebrania udziałowców. Jak łatwo wyrzuciła to z pamięci. Jak szybko przyzwyczała się traktować znajomość z Dougiem jak coś naturalnego, choć w istocie była ona wynikiem spiska

Pociągnął ją za rękę i pozwolił mu zaprowadzić się pod pokład, minąć miękkie koje, otaczające z trzech stron stół z drewna tekowego, i przejść przez drzwi do pomieszczenia na dziobie.

Tam położył ją na łóżku, zajmującym zwiężającą się przestrzeń, i wyciągnął się obok niej. Znow ją pocałował. Po dłuższej chwili ukryła twarz w zagłębieniu jego szyi. Miał słoną skórę, pachniał Dougiem. Odwróciła głowę i przycisnęła usta do jego brody, wsunęła dłoń pod koszulę i zaczęła głaskać jego tors.

Jęknął, ściągnął jej przez głowę obszerny sweter, zsunął ramiączka kostiumu kąpielowego, a następnie wtulił głowę w jej piersi.

Przebiegł ją lekki dreszcz, z ust wydobył się zduszony jęk. Brakowało jej słów, miała tylko miłość, którą mogła go obdarzyć, podzielić się z nim. I tak jak poprzednio, kiedy już zaspokojeni leżeli wtuleni w siebie, po policzkach popłynęły jej łzy.

Tym razem Doug nie zapytał, dlaczego Marilyn płacze. Wiedział też, że nie są to łzy radości. Otarł je, szepcząc słowa przeprosin, godząc się na istnienie czegoś, czego nigdy nie zrozumie. Wiedziała o tym, chciała mu wszystko wyjaśnić, ale za każdym razem, gdy próbowała, albo przerywał jej pocałunkiem, albo coś ją ścisnęło za gardło, więżąc słowa, zanim się narodziły. Po-

tem znów ją pocałował, delikatnie, niczego nie żądając, ale tak, że aż odczuła w sercu ból.

Marilyn próbowała sobie wmawiać, że jest wdzięczna Dougowi za jego zrozumienie, za jego akceptację, ale w głębi serca wolałaby, żeby walczył o ich miłość. Pragnęła, żeby miał dość sił, by zmienić to, czego nie można było zmienić.

Nie kochali się więcej, tylko długo leżeli przytuleni do siebie, nim w końcu Doug się poruszył.

- Chyba pora na nas. - Usiadł, a potem przeszedł, lekko przygarbiony, do kabiny, gdzie mógł się wyprostować, i zapalił przyćmione światło.

Marilyn zasłoniła oczy ręką i nasłuchiwała cichych odgłosów przystani - olinowania stukającego o maszty, skrzypiących cum, fal, objających się o burty, krzątający Douga. Potem usłyszała szum płynącej wody.

- Masz ochotę na prysznic? - usłyszała tuż nad uchem.

Zdjęła rękę z twarzy i przyglądała mu się, nic nie mogąc odczytać z jego miny, bo twarz Douga pozostawała w cieniu. Cieszyła się, że zasłaniał sobą światło.

- Tak. - Myślała, że Doug się odwróci. Nie zrobił tego, tylko stał, jakby na nią czekał.

To niesamowite, że nagle poczuła skrzępowanie. Jednak wstała, minęła go i weszła do malutkiego pomieszczenia z plastikową zasłonką, odgradzającą sedes i szafkę. Z przyjemnością weszła pod prysznic, z którego leciała gorąca woda.

Spływała po jej słonych włosach, a kiedy Marilyn pomyślała o szamponie, pojawił się Doug z butelką w ręku. Nalał na dłoń gęstego płynu i wmasował go w jej włosy, aż utworzyła się obfita piana. Potem spłukał szampon i sięgnął po odżywkę.

- Jesteś cudownym gospodarzem - oświadczyła, starając się przybrać swobodny ton, ale jej uwaga za-

brzmiała melancholijnie. - Jeśli mam być szczerą, muszę stwierdzić, że jesteś też cudownym mężczyzną. Nigdy nie będę żałowała tego, że cię poznałam.

- Tak, to ja - powiedział, wyciskając sobie odrobinę szamponu na głowę i wcierając go energicznie we włosy. - Twój najcudowniejszy, niezrównany Douglas, który okłamuje dziadka i rodziców i sprawia, że kobieta, którą... z którą się spotyka, płacze.

- Och, Doug, nie płakałam przez ciebie - zaprotestowała, strząsając pianę z ramion. - Tak się po prostu złożyło. Los nam nie sprzyja i żadne z nas nic nie może na to poradzić.

Doug dosłyszał rozpacz w jej głosie i złapał ją za rękę.

- Dlaczego? - spytał.

- Ponieważ nie jestem taką kobietą, jakiej potrzebujesz - odparła, starając się oswobodzić z jego uścisku i wyjść z mikroskopijnej łazienki. Zakręcił wodę, ale stał plecami do drzwi, blokując drogę.

- Dlaczego to nie ja mogę o tym zdecydować?

- Ponieważ nie myślisz jasno. Nie kierujesz się rozumem.

- Marilyn - szepnął po chwili. Jego twarz była ledwo widoczna w słabym świetle, wpadającym przez ciemne szyby bulaju nad ich głowami. - Pokochaj się ze mną i przekonaj w głębi swego serca, że to coś więcej niż tylko seks.

Bała się pozwolić mu powiedzieć, co to jest, bała się, że może to okazać się prawdą, choćby tylko przez chwilę. Zawsze pragnęła, żeby to była prawda, ale wiedziała, że nie ma się co łudzić.

Mimo to chętnie poszła z nim znów do kajuty dziobowej i położyła się na pościeli ze skotłowaną pościelą. Tuliła go i kochała się z nim długo, niespiesznie. Potem wzięła prysznic, a kiedy Doug wszedł do

łazienki, żeby się umyć, Marilyn poszła się ubrać.

Pochylił się i pocałował jej wilgotne włosy, odgarnął je z policzka i uśmiechnął się do niej.

- To był jeden z najwspanialszych dni w moim życiu - powiedział. - Obiecuj mi, że będą jeszcze inne, równie dobre.

Oddała mu uśmiech, ale wiedziała, że nie może mu złożyć takiej obietnicy. Mogła go tylko pocałować, bez słów zapewnić go o miłości, która przepęłniała jej serce. Przypomniała sobie słowa Kelly, wypowiedziane, zda się, wieki temu, że może trudno złamać jej serce, ale łatwo je zranić.

Niezupełnie miała rację.

Serce Marilyn było i złamane, i zranione.

Doug i Marilyn w milczeniu wrócili do hotelu i w milczeniu wjechali na górę prywatną windą. Dopiero kiedy rozsunęły się drzwi, Doug zapytał:

- Wszystko w porządku? Zmusiła się do uśmiechu.

- Jasne - skłamała. - W największym porządku. Ale kiedy minęli łukowate przejście do westybulu, Marilyn ujrzała coś, czego nie spodziewała się zobaczyć. Stwierdziła, że nawet w połowie nie domyślała się, jakie kłopoty ściągnęła sobie na głowę.

- Aha! - Douglas zerwał się z fotela. - A oto i oni. Już się zastanawialiśmy, czy nie powiadomić Straży Przybrzeżnej. Marilyn, spójrz tylko, jaką mamy dla ciebie niespodziankę! - Był rozpromieniony.

Marilyn na chwilę zamknęła oczy, potem znów je otworzyła, ale nic to nie pomogło.

- Mamo, cóż za niespodzianka - powiedziała słabym głosem. - Na miły Bóg, co ty tu robisz?

- Dowiedziała się od swojego brata, że może znaleźć ciebie i Douga tutaj, więc zadzwoniła - wyjaśniła Eloise. Wzięła Marilyn za rękę i pociągnęła ją za sobą. - Naturalnie natychmiast zaprosiliśmy ją i Lucasa. Jaka szkoda, że wczoraj się minęliście, kiedy przyjechali do Vancouver. To zrozumiałe, że nie mogliśmy pozwolić, by wdychali zapach farby.

Dziękuję, wujku Edwinie!

Marilyn gapiała się na matkę, która wytrzymała spojrzenie córki. Na jej twarzy malował się dobrotliwy uśmiech.

- Moje drogie dziecko - powiedziała - o ile dobrze rozumiem, ty i ten młodzieniec macie nam do zakomunikowania coś bardzo ważnego. Proszę, przedstaw mi swojego narzeczonego.

Marilyn ujrzała w oczach matki chciwość i aż się wzdrygnęła w głębi duszy. Ale zachowała się tak, jak przystało na córkę swego ojca.

- Mamo, pozwól, że ci przedstawię Douglasa Elle-

ry'ego Fountaina juniora. Douglasie, moja matka, Rosemary Antioch.

Pani Antioch łaskawie skinęła głową Douglasowi i Marilyn odetchnęła z ulgą. Rosemary nigdy by się nie przyznała przed Fountainami, że jej rodzona córka wolała uciec z własnego domu, niż spędzić pięć minut w towarzystwie swojej rodziny, albo że miała słuszny powód do ucieczki, ani nawet, że malarze byli tylko wytworem wyobraźni.

- Gdzie jest Lucas? - spytała Marilyn, mając nadzieję, że zabrzmiało to jak pytanie kochającej siostry, a nie hipokrytki, jaką się czuła.

Douglas się uśmiechnął.

- W biurze. Mamy mnóstwo gier komputerowych. Możemy go nie zobaczyć przez następne dwa tygodnie.

Marilyn bardzo to odpowiadało. Gdyby udało się namówić jeszcze matkę...

- Skoro już padły słowa „dwa tygodnie” - zaczęła pani Antioch - obie z Eloise uważamy, że przez ten czas zdążymy wszystko załatwić. Twoje urodziny będą idealnym dniem na ślub. Ponieważ obydwójce już drugi raz wstąpicie w związki małżeńskie, nie ma potrzeby urządzania wielkiej fety, ale z pewnością można zorganizować wszystko ze smakiem i stosownie do rangi wydarzenia. Czy zgadzasz się?

Marilyn odjęło mowę. Cofnęła się o krok.

- Nie! - zaprotestowała dziwnie głośno i piskliwie. - To niemożliwe. To... to o wiele za wcześnie.

- Nonsens. - Eloise się roześmiała. - Moja droga, gdzie jest wola, a patrząc na was, z całą pewnością mogę powiedzieć, że jej nie brak, szczególnie że niemal uciekliście jak para zakochanych, tam z pewnością znajdzie się i wyjście. W tym celu twoja matka i brat wprowadzili się do Pokoi Koralowych. Stwierdziliśmy

z Rosemary, że będzie znacznie wygodniej, jeśli wszyscy będziemy razem podczas finalizowania spraw. -Co?

- Kolejne nieszczęście z serii? - mruknął jej Doug do ucha. Marilyn ciekawa była, dlaczego powiedział to takim rozbawionym tonem. Jej wcale nie było do śmiechu.

- A więc to nie koniec serii nieszczęść - westchnęła Marilyn nazajutrz, kiedy znów udało im się wymknąć na łódź, zacumowaną w przystani nieopodal domu Douga. - Najpierw wrócili twoi rodzice, potem moja matka i brat wprowadzili się do hotelu, a na koniec wyznaczyli datę naszego ślubu.

- Nie martw się. - Uśmiechnął się, sięgając do skrzynki z lodem, znajdującej się na pokładzie, i wręczył jej puszkę napoju chłodzącego. - Nie mogą nas zmusić do powiedzenia „tak”. Wystarczy, że w odpowiedniej chwili powiemy „nie”.

- Moim zdaniem - stwierdziła - powinniśmy to oświadczyć natychmiast. Należało wyznać prawdę w chwili, kiedy nasze matki zaczęły za nas wszystko ustalać. Bo kiedy ty przez cały dzień doglądałeś remontu swojego mieszkania, ja musiałam przymierzać suknię ślubną, której nie mam zamiaru włożyć. Doug, musimy je powstrzymać.

Leżał na ławce, z głową na jej kolanach, oczy miał ukryte za okularami przeciwsłonecznymi.

- Marilyn, gdybyś się teraz wycofała, zepsulibyśmy cały misterny plan. Posłuchaj, do zebrania udziałowców zostało już tylko półtora tygodnia. Chyba uda nam się ich zwodzić jeszcze tyle czasu?

- Moje urodziny, rzekomy dzień naszego ślubu, są zaraz następnego dnia! Więc jak będzie: czmychniesz sprzed ołtarza, czy też ja mam to zrobić?

Wzruszył ramionami, przesunął okulary na czoło i spojrzał na nią badawczo.

- Jak wolisz. Uważam, że byłoby niegodziwością z mojej strony, gdybym wystawił cię do wiatru, więc zgadzam się na to, żebyś to ty wystawiła mnie. Będę stał z wysoko podniesioną głową, zrobię smutną minę, ale postaram się zachowywać dzielnie. Powiem wszystkim, że jednak nie pasowaliśmy do siebie. Wtedy nie będzie to już istotne, bo zebranie się odbędzie, a dziadek nie wprowadzi w życie groźby, że przekształci firmę w spółkę akcyjną. Kelly zyska jeszcze jeden rok, by udowodnić, że jest osobą kompetentną i świetnie radzi sobie sama.

Marilyn zdjęła ciemne okulary i spojrzała na niego.

- Chwileczkę! Czy to znaczy, że nazajutrz po zebraniu udziałowców przestaniesz kierować firmą?

- Już ci powiedziałem, że zamierzam zaczekać do dnia urodzin Kelly i Kerry'ego, które przypadają trzy dni po twoich urodzinach.

- Mówiłeś, że zrezygnujesz ze stanowiska dyrektora, a nie że w ogóle opuścisz firmę.

- To jedyne wyjście.

- Kiedy doszedłeś do takiego wniosku? Przesunął palcem wzdłuż brzegu puszki z napojem.

- Od dawna się nad tym zastanawiałem. Chcę dać Kelly szansę, tak jak to obiecałem Frankowi.

Spojrzał na Marilyn.

- I teraz wiem, że muszę żyć tak, jak sam tego chcę, a nie tak, jak mnie do tego zmuszają okoliczności. Pragnę realizować własne plany, robić to, co chcę, tak, jak chcę. A z całą pewnością nie chcę być dyrektorem JetCorp.

- A kim chcesz być? Wrócić do lotnictwa cywilnego?

- Nie - powiedział. - Chcę kierować szkołą dla pilotów.

Jego wzrok stał się nieobecny.

- Nic na świecie nie daje większej satysfakcji, niż obserwowanie, jak ktoś, szczególnie młody, nagle uświadamia sobie, że samodzielnie pilotuje samolot, że sprawuje nad nim pełną kontrolę. Zostawić daleko w dole ziemię, pokonać lęk, odkryć całkiem nowy świat, w którym liczy się tylko jedno: żeby dobrze wykonać to, co do człowieka należy. Uświadomienie młodym ludziom, że są do tego zdolni, to niesamowite uczucie.

Ich spojrzenia się spotkały.

- To magia, Marilyn, czysta magia.

- Tak - przyznała, przypominając sobie dzieci, które dostały pierwszy w życiu elektryczny wózek inwalidzki, protezę, aparat słuchowy. Większość początkowo się bała, ale ten lęk pomieszany był z radością i podnieceniem, które wkrótce wypierały strach. Uśmiechnęła się i przesunęła dłonią po jego włosach. - Tak, Doug. Wiem.

Leżał z na wpół przymkniętymi powiekami. Zdziwiło ją, ale zarazem ucieszyło, że nie spytał, skąd to wie. Potem jednak przypomniała sobie, że słyszał, jak z jej ust padły bardzo podobne słowa, kiedy przedstawiała fundację i jej działalność na spotkaniu z przedsiębiorcami.

Pomyślała o Kelly, która wykonywała obowiązki dyrektora, ale jej wysiłki nigdy nie zostały docenione przez tych, którzy powinni je docenić. Pomyślała o synkach Kelly, którzy mogli w przyszłości przejąć kierowanie światowym konsorcjum. Pomyślała również o Dougu i tym, co widziała w jego oczach, kiedy mówił o swej szkole latania.

Przypomniała sobie, jak Doug zwierzał się jej ze swych marzeń: o domu na wsi, pełnym dzieci i zwierząt... i poczuła bolesny skurcz krtani.

- Wiem - powtórzyła, pociągawszy łyk piwa imbirowego. - Dobra. Wytrzymam do końca.

Uśmiechnął się i serce znów jej mocniej zabiło. Cholera, dlaczego wystarczy, by przez chwilę patrzyła mu w oczy, a cała zaczynała płonąć, ogarniało ją pragnienie bycia z nim, całkowitego zespolenia, wspólnego unoszenia się na niebotyczne wyżyny? I chociaż wydawało się to niemożliwe, zawsze udawało im się osiągnąć ten stan.

. - Nie martw się - powiedział. - Myślę, że musimy im wmówić, że jeśli zanadto będą nas naciskać, naprawdę uciekniemy i pozbawimy ich przyjemności uczestniczenia w całej tej weselnej hecy, której tak pragną.

- Masz rację - zgodziła się Marilyn, ale nadal miała wątpliwości.

- Naturalnie możemy właśnie tak zrobić, jeśli tego chcesz - dodał lekko Doug.

Usiadła prosto.

- Co? Mamy uciec? A niby dlaczego?

- Znajdzie się kilka powodów - oznajmił, uśmiechając się. Usiadł i wyciągnął przed siebie nogi.

Zachodzące słońce padało na jego porośnięte włoskami uda. Doskonale wiedziała, jakie są w dotyku, jaki smak ma jego skóra. Na tę myśl w głowie się jej zakręciło, a serce zaczęło szybciej bić. - Na przykład ten - dodał.

- To znaczy?

- Sposób, w jaki na mnie patrzysz. Jakbyś chciała mnie zjeść.

Uniósł rękę i przesunął dłoń po jej gołym ramieniu.

- Chcesz spróbować?

Zrobiło jej się tak gorąco, że nie mogła ani mówić, ani się ruszać.

Ujął jej dłoń i przycisnął do siebie.

- Widzisz, jak na mnie działasz?

Wyrwała mu rękę, zdając sobie sprawę z obecności ludzi na innych łodziach, zacumowanych w przystani.

- Tak samo, jak ty na mnie - szepnęła.

- W takim razie, najdroższa, proponuję, żebyśmy się razem udali pod pokład.

Najdroższa? Czy mówił poważnie? Na pewno nie. Marilyn wiedziała, że powinna mu zwrócić na to uwagę, ale jego pocałunki sprawiały, że nie mogła logicznie myśleć, a co dopiero mówić. A potem było za późno. Zresztą nie użył ponownie tego słowa.

Wmawiała sobie, że się z tego cieszy, że był to tylko nic nie znaczący, pieszczotliwy zwrot, tak jak czasem zwracał się do niej „moja droga”, nawet kiedy byli sami. Ale w takich chwilach, kiedy szeptał jej do ucha słowa miłości, trudno było nie marzyć...

Jednak później, kiedy jechali z powrotem do hotelu, przypomniała sobie, że to wszystko to tylko gra. Po prostu dała się ponieść wyobraźni.

Dobrze, że jej fantazje szybko się rozwiewały, bo z chwilą, kiedy weszli do Apartamentu Regenckiego, rzeczywistość zaatakowała ich z siłą zimowej nawałnicy.

Oprócz rodziców Douga i Rosemary Antioch zastali tam Franklina i Kerry'ego, który spoglądał oskarżyciel-sko na Douga i Marilyn. Wszyscy mieli kwaśne miny.

Zobaczyli Kelly w połowie drogi między drzwiami windy a kanapami, na których siedzieli pozostali obecni, jakby przyszła dopiero kilka chwil przed nimi. Odwróciła się, kiedy usłyszała Marilyn i Douga.

Miała wielkie oczy, była blada jak ściana; patrzyła na nich pełna udręki.

- Tak mi przykro - powiedziała. - Próbowałam go powstrzymać, ale zanim tu dotarłam, było już za późno.

- Witaj, Kelly - rzucił Doug. - Kerry, co cię tu sprowadza?

- Ciekawa notatka w dzisiejszej gazecie - oświadczył Kerry, wstając. Zmrużył oczy, podbródek wysunął do

przodu. Albo go wyznaczono na rzecznika zebranych, albo sam sobie wyznaczył tę rolę. Nikt poza nim nie odezwał się ani słowem, nawet matka Marilyn, co było czymś nadzwyczajnym. Jednak Marilyn się domyśliła, że w jakiś sposób cała intryga wyszła na jaw.

- Tak? - spytał Doug. Marilyn podziwiała jego opanowanie wobec konsternacji, rozczarowania i niedowierzania niemal wszystkich tu zebranych. - Cóż to za notatka, Kerry?

- O waszych zaręczynach.

- O naszych zaręczynach? - spytała Marilyn, w końcu odzyskawszy mowę. - Nie miało być żadnego publicznego ogłaszania naszych zaręczyn!

- Ale jest! - wykrzyknął Kerry, machnąwszy gazetą, którą ścisnął pod pachą. - Ze wszystkimi szczegółami, łącznie z datą ślubu, który zgrabnie ustalono nazajutrz po zebraniu udziałowców. Zebraniu, na którym, dzięki tym zaręczynom, miało zostać przegłosowane, by nie przekształcać firmy w spółkę akcyjną.

Marilyn otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć. Doug ścisnął jej rękę, nakazując milczenie. Uniósł brwi.

- I co z tego? Masz coś przeciwko temu? Odnosiłem wrażenie, że tobie też zależało na tym, żeby firma pozostała pod kontrolą rodziny. Jeśli uważasz inaczej, wielka szkoda, że uzyskasz prawo udziału w głosowaniu dopiero kilka dni po zebraniu. Może w przyszłym roku uda ci się przeważać szalę. Ale jeszcze nie w tym.

- Tak, to rzeczywiście wielka szkoda - powiedział Kerry. - Szczególnie zmartwi się tym moja siostra.

- Twoja siostra? - powtórzył Douglas jak echo. - Co ma z tym wszystkim wspólnego twoja siostra?

Nikt jej nie widział przez kilkanaście ostatnich lat. O ile wiem, nawet twoja matka.

Marilyn spojrzała szybko na Douga, który wpatry-

wał się w twarz swojego kuzyna. Widocznie Kerry nie zdążył jeszcze przedstawić Kelly.

- Ale ponieważ twój dziadek dysponuje moimi głosami - ciągnął Kerry - a do tego głosami mojej matki i siostry, wyobrażam sobie, że przegłosuje, by Fountain Enterprises przekształcić w spółkę akcyjną, skoro się wydało, że wasze zaręczyny są sfingowane.

- Skąd ta pewność, że są sfingowane?

Kerry zrobił kilka kroków, aż znalazł się tuż przed Dougiem.

- Chcesz przez to powiedzieć, że zaręczyliście się naprawdę?

- Czy coś w tym złego?

- Jasne, że tak - odparł Kerry. - Ponieważ jeśli jest prawdą, że zamierzasz się ożenić, oznacza to, że z całą premedytacją chcesz wykołować moją siostrę. Ale ja na to nie pozwolę!

- Kerry, proszę - powiedziała Kelly. - Daj spokój.

- Pani Kelly, to spotkanie rodzinne, więc nie rozumiem pani obecności tutaj - odezwał się Franklin. - Bez względu na to, co panią łączy z Kerryem OToole'em, nie ma pani prawa wtrącać się w sprawy Fountainów. Proponuję, żeby pani stąd wyszła.

- Pani Kelly zostanie, dziadku - rzekł stanowczo Doug, obejmując wolną ręką Kelly za ramię.

- Mówiłem ci, Doug! - krzyknął staruszek, próbując wstać. - Ostrzegałem cię, że ci dwoje spiskują! Jeśli to prawda, co powiedział ten chłopak, możesz mieć pretensję tylko do siebie, jeśli rodzina straci kontrolę nad firmą.

Syn delikatnie zmusił go, by usiadł, i poklepał uspokajająco po ramieniu.

- Nie denerwuj się, tato. Daj Dougowi możliwość wytłumaczenia się. Dlaczego mamy bardziej wierzyć Kerry'emu niż jemu?

Kerry, nie zwracając uwagi na pozostałych, nachylił się jeszcze bliżej do Douga, aż znaleźli się prawie twarzą w twarz.

- Liczyłeś na to, że się o tym nie dowiem, co? No tak, Kerry OToole, czarna owca w rodzinie, jest za głupi, by brać do ręki gazetę. Ale przeczytałem wszystko i wolę powiedzieć prawdę i widzieć, jak twój dziadek odbiera ci firmę, niż patrzeć, jak rozsypują się w gruzy nadzieje i marzenia mojej siostry.

Marilyn wyrwała gazetę Kenyemu i spojrzała na zdjęcie, zrobione na przyjęciu weselnym, na którym towarzyszyła Dougowi. Tańczyli ze sobą, trzymała lewą dłoń na jego ramieniu, pierścionek ze szmaragdem był wyraźnie widoczny. Spoglądali sobie w oczy, obojętni na cały świat.

Napis pod zdjęciem głosił: DZIEDZIC IMPERIUM FOUNTAINÓW POŚLUBI CÓRKĘ ZMARŁEGO AMBASADORA, Krótki artykuł poniżej rozpoczynał się słowami: „Rosemary Antioch, matka narzeczonej, powiedziała, że...” Marilyn nie czytała dalej, tylko odrzuciła gazetę i spojrzała z wyrzutem na swoją matkę, która wytrzymała jej wzrok.

- Mamo! Jak mogłaś?

Kerry podszedł i uśmiechnął się nieprzyjemnie.

- A dlaczego miałyby tego nie zrobić? Przypuszczam, że to nawet logiczne, uwzględniając fakt, że na zebranie udziałowców zjedzie się cała rodzina, nawet z najodleglejszych zakątków świata. Oszczędzi im to konieczności ponownego przyjazdu na wasz ślub.

- No właśnie - powiedział Doug, zagłuszając słowa Marilyn: „Nie będzie żadnego ślubu”.

- Doug - wykrzyknęła jego matka - zamierzasz poślubić Marilyn, czy też nie?

- Naturalnie, że zamierzam. - Doug poprowadził Marilyn i Kelly do pustej kanapy. - Napijesz się, ko-

chanie? A ty, Kelly? Widzę, że pozostali zostali już obsłużeni. Usiądźcie.

Nie czekając na odpowiedź, podszedł do szafki, wrzucił do szklaneczki kilka kawałków lodu, dodał whisky, a następnie nalał do dwóch kieliszków białego wina. Wrócił, wręczył jeden kieliszek Marilyn, drugi - Kelly, mrugnął do niej i usiadł między kobietami, pozornie spokojny, nie zwracając najmniejszej uwagi na napiętą atmosferę, panującą w pomieszczeniu.

- Zdaje się, że mamy kłopot - powiedział i założył nogę na nogę. Marilyn pociągnęła łyk wina i prawie się zakrztusiła. - Z powodu nieedomówień wynikło nieporozumienie. Wyjaśnijmy sobie wszystko.

- Doug, czy Marilyn powinna pić wino, skoro macie zamiar jak najszybciej mieć dziecko? - spytał ironicznie Franklin.

Matka Marilyn prychnęła.

- Nie ma powodu do niepokoju, prawda, Marilyn, moja droga? Czy twój „narzeczony” o tym wie? Marilyn spojrzała na swoją matkę, na Eloise, na Douglasa i Franklina, a w końcu na Douga, który gapił się na Rosemary z wyraźną niechęcią. Wolno przeniósł wzrok na Marilyn.

Marilyn, dygocząc, odstawiła kieliszek na małym stolik i wstała.

- Nie - odparła w odpowiedzi na sarkastyczne pytanie matki. - Nigdy nie uważałam za konieczne wyznać Dougowi, że nie mogę mieć dzieci. Zdaje się, że wszyscy już wiecie, że te zaręczyny od samego początku były sfingowane.

- Marilyn... - Doug też wstał. - Chcę...

- Nie - zaprotestowała. - Zapomnij o tym, Doug. Nie widzisz, że nie ma sensu dalej udawać? Zabawa się skończyła.

Wskazała ręką na wyraźnie zszokowanych rodziców Douga.

- Kerry powiedział im prawdę. Uwierzyli mu. Próbowaliśmy, ale nie udało nam się. Przykro mi, Kelly. Kelly stanęła za Marilyn i ścisnęła ją za rękę na znak zachęty, by mówiła dalej.

- Chciałabym was wszystkich przeprosić. To, co zrobiliśmy, było czymś wysoce nagannym. Nie usprawiedliwia nas nawet to, że kierowaliśmy się najlepszymi intencjami.

- Ale dlaczego uknuliście ten spisek? - spytał Franklin. - Jaki mieliście cel?

Nim Marilyn zdążyła odpowiedzieć^odezwała się Kelly.

- Aby nie dopuścić do tego, by na zebraniu przegłosowano przekształcenie firmy w spółkę akcyjną - wyjaśniła.

- W takim razie cholernie dobrze, przepraszam, Eloise i pani Antioch, cholernie dobrze, że się wam nie udało! - Franklin znów wsparł się na lasce, próbując wstać. Utkwił gniewny wzrok w Dougu. -

Pomyśleć, że ty, mój własny wnuk, spiskowałeś z tym... tym... nicponiem -wskazał na Kerry'ego - i jego małą... lafiryndą - obrzucił pogardliwym spojrzeniem Kelly. - Oświadczam, że firma zostanie wystawiona na sprzedaż nazajutrz po zebraniu udziałowców. Dopilnuję tego osobiście. Skoro nie ma odpowiedniego mężczyzny w rodzinie Fountainów, który mógłby stanąć u steru, jest to moim obowiązkiem i prawem jako przewodniczącego zarządu. Ty, Doug, od dziś nie jesteś dyrektorem.

- Nie! - krzyknął Doug, zrywając się z kanapy. - Firma nie zostanie przekształcona w spółkę akcyjną! Obiecałem to Frankowi! A statut nie mówi ani słowem, że musi to być mężczyzna. Jest w nim napisane „członek rodziny Fountainów i...”

- Doug, zaczekaj - przerwał mu Kerry. - Może się myliłem. Może niepotrzebnie przyszedłem tu taki nabuzowany - ciągnął, zacinając się. - Jeśli rzeczywiście zamierzasz poślubić Marilyn, może nie jest tak źle, jak mi się początkowo wydawało.

- Pewnie, że zamierzam ją poślubić. - Doug odwrócił się od Kerry'ego i spojrzał na Marilyn. - Tu, teraz, w obecności świadków, oświadczam ci, że pragnę, żeby nasze zaręczyny wszyscy uznali za jak najbardziej prawdziwe.

- I nie zamierzasz wykołować mojej siostry? - spytał Kerry, trzymając dłoń na ramieniu Douga i starając się go skłonić, by odwrócił się w jego stronę.

Doug strącił jego rękę.

- Do cholery, odwal się, człowieku! To nie ma nic wspólnego z tobą i Kel...

- Mylisz się! Słuchaj, wyjdźmy i omówmy to spokojnie, w cztery oczy. Możemy ustalić szczegóły, możemy...

Doug go nie słuchał.

- Marilyn, czekam na twoją odpowiedź. Obrzuciła go piorunującym spojrzeniem.

- Nie słyszałam pytania.

- Do cholery, wyjdiesz za mnie? - warknął. Nagle stwierdziła, że ma tego po dziurki w nosie.

- „Do cholery” nie, nie wyjdę - wypaliła. - Przez ostatnie trzy tygodnie zalecałeś się do mnie, spałeś ze mną, sprawiłeś, że się w tobie zakochałam, ale nie dam się dłużej wykorzystywać! Prosisz mnie, żebym za ciebie wyszła, tylko dlatego, że coś na tym skorzystasz. Cóż, wielka szkoda, że twoja rodzina straci kontrolę nad firmą, ale nie zamierzam dłużej brać udziału w żadnej grze, by do tego nie dopuścić.

- Ale co będzie z Kelly? - nie poddawał się Kerry. Ich spojrzenia się spotkały.

- Uważam, że twoja siostra może mówić sama za siebie. I najwyższa pora, żeby to zrobiła. Ona ma najwięcej do stracenia, ale to ty z Dougiem ułożyliście cały ten plan i przekonaliście ją do niego. Potem Doug nakłonił do udziału w nim mnie. Obydwaj nie jesteście lepsi od starych pierników.
- Starych pierników? - powtórzył Douglas, krążąc wokół swego poirytowanego ojca i próbując go zmusić do tego, by usiadł. - Rozumiem, że mnie też do nich zaliczasz, młoda damo?
- Owszem. A przede wszystkim ciebie, Franklinie, chociaż bardzo cię polubiłam i szanuję od chwili, kiedy cię poznałam. Żałowałam wtedy i żałuję teraz, że dałam się w to wszystko wciągnąć, chociaż kierowałam się chęcią utarcia nosa Dougowi. Uważałam, że jest zarozumiały i przyda mu się nauczka. Tamtego dnia, kiedy poprosiłeś, żebym zwracała się do ciebie „dziadku”, omal mi serce nie pękło, bo widziałam, jak bardzo pragniesz wierzyć w prawdziwość moich zaręczyn z Dougiem. Nie zgodziłam się, ponieważ uważałam, że nie mam do tego prawa, bo nasze zaręczyny od samego początku były tylko grą. Jesteś dobrym, uczciwym człowiekiem. Zgromadziłeś również ogromne doświadczenie zawodowe, o czym świadczą twoje osiągnięcia. Douglasie, chociaż znamy się tak krótko, stwierdziłam, że jesteś taki sam, jak twój ojciec. Przykro mi to mówić, ale obaj nie traktujecie serio kobiet i nasze pozorowane zaręczyny z Dougiem miały nie dopuścić do szkody, do której mogło w związku z tym dojść. Przepra...
- Marilyn, nie musisz się tłumaczyć - przerwał jej Doug. - Ta sprawa nie dotyczy ciebie.
- Nieprawda. Nie powinnam nigdy dać się w to wciągnąć. Ale zgodziłam się pomóc mężczyźnie, który zwrócił się do mnie o pomoc, i kobiecie, której odmó-

wiono prawa do czegoś, co dla niej liczy się najbardziej. Obrzuciła wzrokiem obecnych mężczyzn.

- A prawda wygląda tak: wszyscy cierpicie na nadmiar testosteronu i macie nadmiernie wygórowane mniemanie o swojej płci.

Doug zamrugał powiekami.

- Co...

Marilyn nie dała mu dojść do głosu.

- Kerry, zaproponowałaś Dougowi, żeby wyszedł z tobą i omówił sprawę, która najbardziej dotyczy twojej siostry. Nie słyszałam, żebyś zaprosił do udziału ją. A ty, Doug, też nie jesteś lepszy. Najpierw mnie wykorzystałaś, a potem poprosiłaś o moją rękę w obecności zgromadzonych tu osób, ponieważ stwierdziłaś, że plan, który ułożyłaś razem z Kerrym z myślą o dobru Kelly i, przypominam ci, swoim własnym, jest poważnie zagrożony.

- Marilyn, ja...

Odwróciła się od niego, nie chcąc go słuchać.

- Franklinie i Douglasie, już dawno ktoś powinien wam powiedzieć, że od śmierci brata Douga waszą firmą zarządza Kelly. Jest inteligentną kobietą o wysokich kwalifikacjach zawodowych, ale z uwagi na płć nie chcecie jej awansować na stanowisko, na które zasługuje.

- To nieprawda! - zakrzyknął Franklin, próbując wstać. Jego syn, wciąż stojący za nim, nie pozwolił mu na to. - Awansuje o wiele szybciej od innych kobiet, zatrudnionych w naszej firmie, a wszystko dlatego, że jest faworyzowana przez Douga. Swoje sukcesy zawodowe zawdzięcza wyłącznie mojemu wnukowi. Zaszła najwyżej, jak tylko mogła.

- Mylisz się - powiedział Doug. - To ja zawdzięczam jej wszystkie swoje sukcesy. I wcale nie zaszła najwyżej, jak mogła. Marilyn mówi prawdę. Kelly zasługuje

na to, by sprawować funkcję dyrektora, ponieważ faktycznie nim jest.

- Tylko ktoś z rodziny Fountainów ma do tego prawo Kelly się wyprostowała.

- Należę do rodziny Fountainów - oświadczyła. -Nazywam się Jennifer Kelly Fountain.

Po tych słowach w pomieszczeniu zapanowała wrzawa. „Córka Grace i Iry?”, „To niemożliwe!”, „Jest naszym pracownikiem!”, „Nazywa się Jennifer Kelly”, „Nie należy do rodziny Fountainów, chociaż robiła wszystko, żeby do niej należeć. To przez nią Frank...”

- Dosyć! - powiedziała Kelly takim tonem, że wszyscy umilkli. Marilyn bez trudu wyobraziła ją sobie za stołem konferencyjnym, z drewnianym młotkiem w ręka - Proszę, żebyście usiedli i pozwolili mi wszystko wyjaśnić. Jak już powiedziałam, nazywam się Jennifer Kelly Fountain. Jestem siostrą Kerry'ego, córką Grace i Iry.

- To nieprawda! - Franklin jeszcze raz zerwał się z fotela i stał chwiejnie, podpierając się laską. - Nie należy pani do naszej rodziny. Uknuliście spisek razem z Kerrym! Mówiłem ci, Doug! Ostrzegałem cię! Ale czy ty kiedykolwiek słuchasz? Skądże! Jesteś mądrzejszy ode mnie! No cóż, teraz masz dowód, jak bardzo się myliłeś. Jako przewodniczący zarządu zwalniam cię ze stanowiska dyrektora. Już nie pracujesz w naszej firmie, młody człowieku, podobnie jak ta pani! - Spojrzał jadowicie na Kelly. - Wiedziałem o tym - powiedział. - Pani i Kerry O'Toole od dawna coś knuliście. Nie dopuszczę do tego! Nie pozwolę...

Urwał, bo atak kaszlu sprawił, że znów opadł na fotel. Syn stał za nim, ściskając go za ramiona.

Odezwało się kilka osób jednocześnie, domagając się wyjaśnień.

Kelly stawiała czoło rodzinie, która do tej pory jej nie

znała. Jej siła i odwaga podbudowały Marilyn. Razem to zaczęły i pomoże Kelly wytrwać do samego końca.

- Zatrudniłam się w Fountain Enterprises pod nazwiskiem Jennifer Kelly, ponieważ piętnaście lat temu ty, Douglasie, odrzuciłeś moją ofertę pracy. Chciałabym móc pracować w firmie jeszcze przez wiele lat. Kiedy Doug i Kerry obmyślili ten plan w związku z ultimatum, postawionym Dougowi przez Franklina, choć niechętnie, jednak na to przystałam, bo nie widziałam innej drogi. Zawsze traktowaliśmy ów plan jedynie jako chwyt, dzięki któremu moglibyśmy nieco[^]zyskać na czasie. Jeszcze jeden rok.

- Dlaczego? - spytał Franklin. - Mielicie nadzieję, że nie pożyję dłużej?

- Nie! - Kelly pokręciła głową. - Przypuszczam, że będzie pan żył jeszcze drugie dziewięćdziesiąt lat. Jest pan zbyt swarliwy i uparty, by postąpić inaczej. Próbował pan zmusić Douga do małżeństwa, bo ma pan staroświeckie poglądy. A Doug, ponieważ jest dobrym człowiekiem i ma poczucie obowiązku wobec rodziny, zrobił, co mógł, żeby pana uspokoić. Nie dlatego, że uważał, iż pan umrze, ale dlatego, że mu obiecałam, że kiedy oboje z moim bratem skończymy trzydzieści pięć lat, razem z nim i kilkoma innymi udziałowcami zablokujemy wszelkie próby przegłosowania uchwały o przekształceniu Fountain Enterprises w spółkę akcyjną. Jedynym sposobem, żeby powstrzymać pana od przeforsowania tego na najbliższym zebraniu udziałowców, było przekonanie pana, że Doug wkrótce zamierza się ożenić.

Odwróciła się do Marilyn.

- Uważam, że powinniśmy cię przeprosić za wciągnięcie w tę aferę. Jak również twoją matkę, którą najwyraźniej tak ucieszyły twoje „zaręczyny”, że podała to do publicznej wiadomości, czego sobie nie życzyłaś.

Próbowałam powstrzymać Kerryego przed przyjściem tutaj, ale nie docierały do niego żadne argumenty. Zanim tu dotarłam, już zdążył ujawnić cały nasz plan. -Urwała i obrzuciła swego brata jadowitym spojrzeniem. - A on lepiej od innych powinien wiedzieć, jak ważne jest zachowanie tajemnicy.

- Kel, żebyś się nie zagalopowała. - W tonie głosu zazwyczaj nonszalanckiego Kerryego dało się słyszeć wyraźne ostrzeżenie, co zdumiało Marilyn i Douga.

- Co... - zaczął Doug, przeszywając Kerry'ego przenikliwym wzrokiem, ale teraz przy głosie była Kelly.

- Przykro mi, Kerry - powiedziała - ale mam dość sekretów. Rodzina musi również dowiedzieć się o twoim zaangażowaniu w sprawy firmy.

- Słucham? - spytał Doug.

- Nie teraz, Kelly! - warknął Kerry.

Brat i siostra przez jakiś czas mierzyli się gniewnie wzrokiem, nie zwracając uwagi na zaciekawione spojrzenia pozostałych. W końcu, jakby milcząco osiągnęli zgodę, Kelly krótko skinęła głową.

- Dobrze. Ale potem... Franklinie, Douglasie - zwróciła się do starszych panów - chcę, żebyście to dobrze zrozumieli. Nikt z nas, członków młodszego pokolenia, nie chciał, żeby rodzina straciła kontrolę nad firmą. Doug, który nigdy nie chciał nią kierować, został do tego zmuszony. Natomiast mnie, chociaż zawsze tego pragnęłam, nikt nigdy na to nie pozwolił. Teraz to widzę. Moje starania były daremne. Róbcie, co chcecie, z Fountain Enterprises. Przepraszam za swój udział w tym spisku i niniejszym składam rezygnację.

- Nie ma mowy! - wykrzyknął Doug. - Nie przyjmuję twojej rezygnacji. To ja odchodzę z firmy. I to natychmiast.

- Nie wolno ci tego zrobić! - ryknął Franklin. - Doug-

lasie, powiedz swojemu synowi, że nie może zrezygnować - polecił, najwidoczniej zapominając, że przed chwilą sam wyrzucił go z pracy.

- Przykro mi, dziadku, ale już to zrobiłem. W rodzinie jest ktoś, kto o wiele lepiej ode mnie nadaje się na moje stanowisko, więc proponuję, żebyście skorzystali z okazji. Nie ma innego wyjścia.

- Owszem, jest oświadczył Franklin, stukając laską w podłogę. - I wszyscy świetnie wiecie, jakie to wyjście!

Kelly znów mało nie prychnęła. \.

- Naturalnie, że wiemy. Równie dobrze, jak~to, że nie zrobi pan tego. Doug już dawno powinien się poznać na pańskim blefie, podobnie jak ja.

Franklinowi zadrżał podbródek.

- Zarzuca mi pani, że blefuję?

- Tak, i dobrze pan o tym wie - powiedziała Kelly. - Tak samo zamierza pan przekształcić JetCorp w spółkę akcyjną, jak ja wziąć udział w pierwszym locie na Marsa.

- Nie zamierzam tego zrobić, tak? - wycodził przez zęby, mrużąc oczy i wysuwając podbródek. Znów wstał i oparł się na lasce.

- Nie - powtórzyła Kelly, uśmiechając się do niego. - Nie ma pan najmniejszego zamiaru. Ponieważ Doug złożył rezygnację, a pan jest za stary, żeby przejąć jego obowiązki, zaś ojcu Douga nie pozwala na to stan zdrowia, albo spełni pan swoją groźbę, albo... - Wzruszyła ramionami.

Franklin stuknął laską w podłogę.

- Albo co?

- Albo powierzy mi pan obowiązki, którym potrafię sprostać, które wykonuję i które chcę nadal wykonywać.

- W statucie...

- ...jest mowa o „członku rodziny Fountain”.

- Intencją autorów było, żeby na czele firmy stał mężczyzna z rodu Fountain, a nie kobieta!

Kelly wzruszyła ramionami.

- Zrobi pan tak, jak będzie pan uważał. To pańska firma. Jednak straci mnie pan jako pracownika, a także najlepszego szefa ochrony, jakiego kiedykolwiek miała firma. - Znow spójrzała na swego brata.

- Wybacz, Ker. Muszą wiedzieć, że ty też dla nich pracujesz.

Powiedziawszy to, odwróciła się i wyszła. Marilyn pospieszyła za nią, nie zważając na Douga, który prosił, żeby zaczekała na niego. Odwróciła się na chwilę, usłyszawszy za sobą głuchy odgłos upadku.

Doug leżał jak długi na dywanie. Kerry z zadowoloną miną cofnął nogę, którą podstawił kuzynowi.

Marilyn i Kelly wsiadły do windy i zjechały na dół.

Kiedy na parterze rozsunęły się drzwi, Kelly położyła palec Marilyn na guziku, blokującym drzwi, i powiedziała:

- Przytrzymaj przez chwilę.

Spokojnie podeszła do wielkiej donicy z palmą i przyciągnęła ją tak, by zablokować drzwi windy.

- Zmywajmy się. Lada moment zjadą windą dla personelu, kiedy się domyślą, co zrobiliśmy.

Marilyn skinęła głową. Kelly objęła ją ramieniem.

- Podrzucić cię gdzieś?

Marilyn nie mogła mówić, więc znow jedynie skinęła głową.

- Dokąd?

- Wszystko mi jedno. Byle jak najdalej stąd.

- Dobra. - Kelly się uśmiechnęła. - Jedźmy do mnie, żeby się upić.

- Dlaczego, do cholery, to zrobiłeś? - spytał Doug, gramoląc się z podłogi, by zmierzyć się z Kerrym, któ-

ry najwyraźniej gotów był do walki. Gdzieś zniknęła jego poza playboya. Doug stwierdził, że jego kuzyn ma groźną minę.

- Panie nie życzą sobie, by ktoś im towarzyszył - powiedział Kerry.

- I ty postanowiłeś je chronić? Ty? Nie rozśmieszaj mnie! - Doug zdzielił Kerry'ego pięścią prosto w brodę, a ten zwałił się jak potężne drzewo. Upadł u nóg Rosemary tak, że mógł widzieć, co nosiła pod sukienką.

Masując brodę ręką, Kerry uśmiechnął się do kobiety.

- Fioletowe, pani Antioch? Nigdy bym tego nie pomyślał!

- Jak pan śmie? - wysapała, przyciskając rękę do sukienki i cofając się. Patrzyła na niego wściekłym wzrokiem, kiedy najpierw usiadł, a potem zgrabnie wstał. - Ty łobuzie, jak można zaglądać kobiecie pod sukienkę! Wspaniały przykład, jakich obrońców ma ten kraj! Złożę na pana skargę do pańskich przełożonych, młody człowieku. Ambasador nie żyje, ale nadal mam znajomości. Nigdy nie wywarł pan na mnie takiego wrażenia, jak na nim, i...

Kerry jęknął.

- Pani Antioch, proszę. Już nie pracuję dla rządu, a poza tym to tajemnica. Pani mąż nigdy nie powinien być pani o tym powiedzieć.

- Nie zrobił tego. - Prychnęła. - Ale mam oczy i uszy. Ludzie zawsze uważają, że żony dyplomatów pełnią jedynie funkcje dekoracyjne. Ale ja jestem inna. Uważnie słuchałam i obserwowałam. I poznałam pana, jak tylko pan tu wszedł z tą swoją rewelacją.

Zwróciła się do Eloise, Douglasa i Franklina.

- Nie można wierzyć szpiegowi, prawda? Ma kłamstwo we krwi. Jest...

- Pani Antioch. - Chociaż Kerry powiedział to spo-

kojnie, jego ton tak przestraszył matkę Marilyn, że urwała w pół zdania i cofnęła się jeszcze krok. Na Dougu największe wrażenie wywarło spojrzenie kuzyna, którego nigdy wcześniej u niego nie widział. Miał nadzieję, że Kerry nigdy tak na niego nie spojrzy. Był to wzrok, który mógł zabić.

- Pani Antioch - powtórzył - ujawniła pani fakt, dotyczący mojej osoby, którego nigdy nie zamierzałem ujawnić.

- Powiedziałam to w najlepszej intencji - odparła, a usta jej drżały. - To... to pańska rodzina. Myślałam, że o wszystkim wie.

- Nie wiedziała i bardzo się starałem, żeby się nie dowiedziała.

- Jesteś szpiegiem? - spytał Franklin, zapadając się głębiej w fotela Eloise podniosła rękę do serca i usiadła na oparciu kanapy. Doug położył jej dłoń na ramieniu.

- Nie jestem szpiegiem - ciągnął Kerry tym samym tonem, spokojnym, ale groźnym, wodząc wzrokiem po obecnych. - Szpiegzy pracują dla wroga. Ja byłem po naszej stronie, pani Antioch, pracowałem dla tego samego rządu, co pani mąż. Już nie pracuję. Niezależnie od tego, wszystko, czego się pani o mnie dowiedziała w przeszłości, nadal pozostaje tajemnicą, i jeśli najmniejsza wzmianka o tym, co ujawniła pani o mnie, wydostanie się poza cztery ściany tego pokoju, osobiście dopilnuję, by stała pani przed sądem. Czy wyraziłem się jasno?

- Tak. Tak, naturalnie. Przepraszam.

- Ja również - powiedział. - Proszę mi wybaczyć... rodzinie. - Słowo to wypowiedział z ironicznym uśmiechem, ale Doug odniósł wrażenie, że Kerry odczuł w tym momencie żal.

Jeśli Kerry zamierzał z wdziękiem opuścić zebranych po wypowiedzeniu swojej kwestii, niezupełnie

mu się to udało. Chociaż kilkakrotnie nacisnął guzik, winda się nie pojawiła.

- Zawsze jest jakieś wyjście zapasowe, kuzynie - powiedział Doug i skierował się do windy dla personelu. Reszta rodziny podążyła za nimi.

Kiedy zjeżdżali na dół, a rodzice i dziadek głośno się ze sobą sprzeczali, udało mu się mruknąć do Kerry'ego:

- Zaskoczyłeś wszystkich. Nawet mnie\

- Mój drogi kuzynie - odparł z uśmiechem Kerry, kiedy winda się zatrzymała - w tym zawsze byłem niedościgniony. Dzięki temu nie raz udało mi się ująć z życiem. A skoro już mowa o niespodziankach, dziś wieczorem zaskoczyła mnie twoja pani.

Doug obserwował, jak jego rodzice i dziadek spierają się o to, kto ma prowadzić samochód.

- Nie ciebie jednego. Razem z Kelly dały wspaniały popis. Ciekaw jestem, dokąd pojechały?

Kerry się roześmiał i wyciągnął rękę.

- Stawiam dziesięć dolców, że są u Kelly i próbują się upić. Założysz się?

Doug przyjął zakład.

- Nie Marilyn - odparł. - Ogranicza się do jednej lampki wina.

Ale Kerry go nie słuchał. Podszedł do samochodu Eloise i Douglasa i zajął miejsce za kierownicą.

Doug usłyszał, jak Kerry mówi tonem, którego nigdy wcześniej u niego nie słyszał:

- Douglasie, Eloise, Franklinie... proszę, wsiadajcie. Pojedziemy do mojej siostry. Mam coś do zakomunikowania wam wszystkim.

Doug zgubił Kerry'ego na pierwszych światłach i dotarł do domu Kelly pierwszy.

Marilyn i Kelly opróżniały właśnie drugą butelkę

chablis, pomstując na wszystkich mężczyzn, kiedy Doug pojawił się w ogrodzie.

Podszedł do kobiet. Marilyn zerwała się na równe nogi i zasłoniła się przed nim kieliszkiem niczym tarczą. Kelly siedziała przy stole, uśmiechając się.

- Nie chcę z tobą rozmawiać - powiedziała Marilyn. - Razem z Kelly doszliśmy do wniosku, że nie lubimy mężczyzn. Prawda, Kel?

- Prawda. Precz z mężczyznami. Mężczyźni to dranie.

- Słyszałeś? Nie chcemy rozmawiać z draniem.

- Trudno. Ale ja chcę porozmawiać z tobą. Cofnęła się o krok.

- Nie chcę cię słuchać.

- Nie masz wyboru.

Marilyn cofnęła się jeszcze o krok. Miał rację. Nie mogła siłą woli stać się głucha. Ale siłą woli postarała się opanować. Była to winna Kelly, sobie, temu, co sobie nawzajem przysięgły - że się nie ugną i nie zrezygnują z twardych warunków, które postawiły. Zadarła buntowniczo głowę.

- Odejdź. Nie chcę cię widzieć.

- Powiedziałaś, że sprawiłem, że mnie pokochałaś - przypomniał jej Doug.

- I co z tego? Czy to nie jedna z twoich mocnych stron? Sprawianie, żeby kobiety traciły dla ciebie głowy?

- Nie zauważyłem tego.

- Łzesz - wtrąciła się Kelly. - Łamiesz serca dziewczynom, odkąd skończyłeś czternaście lat. Wiem to od Franka.

- Kelly, zostaw nas samych.

Kelly, ku zaskoczeniu Marilyn, wzięła butelkę wina i zostawiła Marilyn samą z Dougiem na tarasie przy basenie. Gdzie się podziała kobieca solidarność? Co się stało z ich rodzącą się przyjaźnią?

Marilyn cofnęła się jeszcze o krok i nagle znalazła się pod wodą. Na próżno próbowała odzyskać równowagę. Doug wskoczył do basenu i wziął ją w ramiona. Woda sięgała mu tylko do pasa.

- Odejdź! - zażądała, starając się naśladować ton, jakim mówiła Kelly. Ale Doug jej nie posłuchał. Zaczął ją całować. I całował tak długo, aż przywarła do niego, a woda w basenie niemaksie zagotowała. Całował ją, kiedy rozległ się zdumiony\okrzyk:

- Dougie! Na Boga, co ty robisz w libraniu w basenie? Doug jęknął i odwrócił głowę.

- Całuję się ze swoją narzeczoną, mamó, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Ja nie - powiedziała - ale twój dziadek może być trochę zgorszony. Nie mogłeś sobie wybrać odpowiedniejszego miejsca?

- Marilyn mnie tu zaciągnęła. Od tygodni dokądś mnie ciągnie. Czy mogłabyś nas zostawić samych, żebym się wreszcie przekonał, dokąd zamierza mnie zabrać?

- Nie teraz, synu - zaprotestował Douglas II, prowadząc przez trawnik utykającego ojca. - Czy moglibyście do nas dołączyć? Postanowiliśmy zwołać naradę rodzinną.

Doug podniósł Marilyn, posadził ją na stopniach, prowadzących do basenu, i pomógł jej po nich wejść. Zdziwiła się, że chociaż się zatacza, jednak może iść.

Lucas i jej matka, którzy przyjechali nie wiadomo jak, nie wiadomo z kim, gapili się na nią. Jej brat był wyraźnie zgorszony.

- Spójrz, mamó - rzucił z satysfakcją - Marilyn jest pijana!

- Lucas... - Marilyn wbiła mu palec w klatkę piersiową. - Zamknij się.

- Przynosisz wstyd naszej... - Znów go ubodła pal-

cem, tym razem silniej. Lucas cofnął się i niezgrabnie, z głośnym pluskiem, wpadł do basenu, co sprawiło Marilyn wielką przyjemność.

Wypląnął na powierzchnię, próbując zaczerpnąć tchu.

- Nie... mogę... oddychać...

Matka obrzuciła Marilyn jadowitym spojrzeniem i ruszyła synowi na pomoc.

- Widzisz, co zrobiłaś? Nie wiem, co by powiedział ojciec na twoje skandaliczne zachowanie.

- Prawdopodobnie coś w rodzaju „Zuch!” - oświadczył Douglas.

Zapaliły się lampy na tarasie, wyszła Kelly, otuliła Marilyn grubym kocem i posadziła ją na krześle.

- Usiądź, zanim się przewrócisz. Łatwo się upijasz. Musisz więcej ćwiczyć. My, Fountainowie, słyniemy z tego, że mamy mocne głowy.

Marilyn chciała jej wyjaśnić, że nie cierpi z powodu nadmiaru wina, lecz z nadmiaru Douga, ale ponieważ był tuż obok, nie mogła tego powiedzieć. Zdaje się, że w ogóle nie mogła mówić.

Pojawił się Kerry, niosąc w jednym ręku dwie butelki szampana, a w drugim - tacę z wysmukłymi kieliszkami. Postawił wszystko na stoliku, z wprawą otworzył jednego szampana, napełnił kieliszki, a następnie wręczył je każdemu, zaczynając od Franklina - seniora rodu.

Starszy pan wstał.

- Proponuję wznieść toast. - Uniósł wysoko kieliszek. - Za pierwszą kobietę-prezesa Fountain Enterprises, inaczej JetCorp, Jennifer Kelly Fountain. O ile, oczywiście, jej kandydatura zostanie zatwierdzona przez radę nadzorczą.

Kelly przez całą minutę gapiła się na niego w absolutnej ciszy. Nikt nie powiedział ani słowa.

Potem Kelly zerwała się na równe nogi, wydała

okrzyk wojenny na tyle głośny, że zadrżały szyby w oknach, i zarzuciła ramiona na szyję zdecydowanego seniora rodu, przewracając go na krzesło i przy okazji rozlewając szampana.

Znów zapanowała wrzawa. Sięgano po kieliszki, trącano się nimi, napełniano je ponownie. Kerry otworzył drugą butelkę. Wznoszono kolejne toasty, coraz bardziej szalone. Śmieli się, gwar robił się coraz większy, wszyscy byli coraz bardziej rozochoceni, kiedy nagle rozległ się dziecięcy głosik.

- Mamo, czy możecie zachowywać się trochę ciszej? Próbujemy spać.

Wszyscy odwrócili się jak na komendę. Marilyn nie wiedziała, czy te słowa wypowiedział Jimmy, czy Joe, bo chłopczyk stał w cieniu, ale kiedy zrobił krok do przodu, ciągnąc za sobą brata-bliźniaka, zorientowała się, że to przemówił Jimmy.

Rozległo się ciche łkanie. Marilyn odwróciła się i zobaczyła, że Eloise wstała i nie odrywa oczu od dzieci. Drżała na całym ciele. Padła na kolana na kamiennym tarasie, po policzkach płynęły jej łzy.

- Spójrzcie tylko na nich! - powiedziała. - Jacyż oni są podobni do Franka! - Spojrzała z niedowierzaniem na Kelly. - Czy to są dzieci Franka, czy to są moi wnukowie? - Wyciągnęła rękę, jakby chciała dotknąć chłopców, ale po chwili ją opuściła. Ukryła twarz w dłoniach i zaczęła cicho płakać.

Douglas podszedł do żony, ukucnął obok niej i ją objął, nie odrywając wzroku od dzieci. Potem spojrzał z wyrzutem na Douga.

- Przez wszystkie te lata wiedziałeś o tym i nic nam nie powiedziałaś?

Doug zrobił niepewną minę.

- Mamo, tato, ja...

- Ja go prosiłam, żeby o niczym nie mówił - powiedziała Kelly.

- Ale dlaczego? - zapytała Eloise, unosząc głowę. - Dougie, musiałeś wiedzieć, ile by to dla nas znaczyło...

- Nie do niego należało ujawnienie tego faktu. - Suche oświadczenie najstarszego z Franklinów sprawiło, że wszyscy oprócz Eloise przenieśli na niego wzrok. Tylko matka Douga łąpczywie wpatrywała się w swych wnuków. - Czy przypominasz sobie, co mówiłeś - ciągnął, patrząc na pobladałą twarz syna - co obaj mówiliśmy o matce tych dzieci, kiedy umarł ich ojciec? Douglas spuścił głowę i stał tak przez dłuższą chwilę. Potem podniósł wzrok, w jego oczach widać było coś na kształt przeprosin, kiedy spojrzał na milczącą Kelly, stojącą za dziećmi, opiekuńczo trzymającą rękę na ramionkach synków.

- Pamiętam - przyznał. - Na moment zacisnął zęby, ale zaraz natarł na swego syna. - Mimo wszystko, Doug, powinienes nas o tym powiadomić. Mieliliśmy prawo o tym wiedzieć!

- Franklin ma rację - powiedziała Kelly. - Decyzja w tej sprawie nie należała do Douga. Zobowiązałam go do utrzymania wszystkiego w tajemnicy. Frank... -po raz pierwszy zawahała się, głos jej się załamał. -Frank nawet nie wiedział, że będzie ojcem. Dowiedziałam się, że jestem w ciąży, dopiero po katastrofie samolotu.

Eloise spojrzała na Kelly.

- O mój Boże... - jęknęła. - Byliśmy tacy okrutni. -Przytrzymując się ręki męża, wstała. - Kelly, czy nam wybaczysz?

Nie czekając na odpowiedź Kelly, dotknęła dłonią policzka męża i spojrzała na niego.

- Douglas, kochanie, czy możesz mieć do niej pre-

tensję, że nie chciała dzielić się z nami radością swego macierzyństwa?

- To nie było tak, Eloise - powiedziała Kelly. -A przynajmniej nie do końca. Rzeczywiście czułam do was złość za to, jak mnie potraktowaliście. Ale z czasem zrozumiałam, że wasze uczucia zrodziły się z żalu, z potrzeby znalezienia kogoś, na kogo moglibyście zrzucić całą winę. Już dawno temu wam wybaczyłam. A tak długo zachowywałam wszystko w tajemnicy -i nadał tak bym robiła, gdyby nip obawa, że moi synowie tracą to, co im się słuszenie należy - tylko z uwagi na dobro dzieci. Chciałam, żeby rośli bez nacisku, bez poczucia obowiązku wobec rodu. Widziałam, jak bardzo cierpi Doug, zmuszony do zajmowania się tym, co go nie interesuje. Wiedziałam, jak bardzo chce się od tego uwolnić. Zdałam sobie sprawę, że mogłam mu umożliwić odzyskanie tej swobody kilka lat temu, ujawniając istnienie dzieci Franka, ale zdecydowałam się przede wszystkim być matką, a dopiero potem -członkiem rodu Fountain.

Spojrzała na Franklina, wyraźnie rzucając mu wyzwanie.

- I zawsze przede wszystkim będę matką. Jeśli uważasz, że nie potrafię połączyć obowiązków matki z obowiązkami dyrektora firmy, możesz wycofać swoją propozycję.

- Kto to jest „dyrektor”? - spytał Joe.

- Ważny szef - wyjaśnił Doug.

- Kim są ci ludzie? - spytał Jimmy. - Dlaczego ta pani płacze?

- Ta pani jest twoją babcią - powiedziała Kelly. -A pan, stojący obok niej, to wasz dziadek. A tam siedzi wasz pradziadek.

- Mamy babcię, dziadka i pradziadka?

- Tak. Douglasie, Eloise, Franklinie, chciałabym wam przedstawić swoich synów, Jamesa Franklina Fountaina i Josepha Irę Fountaina, czyli Jimmy'ego i Joego.

Joe podszedł bliżej i przyjrzał się uważnie Franklinowi.

- Jesteś bardzo stary?

- Bardzo - odpowiedział Franklin.

- Tak stary, że możesz umrzeć?

- Chyba tak - odrzekł Franklin. - Ale postaram się jeszcze pożyć kilka lat, żeby patrzeć, jak rośniecie. Jesteś Jimmy czy Joe?

- Joe.

Starszy pan z powagą uścisnął rączkę najpierw jednego chłopca, a potem drugiego.

- A ty jesteś Jimmy? James Franklin Fountain, mój imiennik?

Jimmy wzruszył ramionami i spytał:

- Pradziadku, co mówi arbut, kiedy wąż sunie mu po brzuchu?

- Jimmy, nie! - Kelly na chwilę zasłoniła oczy ręką. - Żadnych zagadek dziś wieczorem.

Doug ujął Marilyn za rękę i zmusił, by wstała. Cichutko przemknęli przez trawnik i wyszli przez furtkę. Na podjeździe stał samochód Douga, drzwi od strony kierowcy były otwarte, w środku paliło się światło.

Pomógł jej wsiąść, odwiózł ją do domu, a potem pomógł wsiąść. Marilyn spojrzała bezradnie na zamknięte te na klucz drzwi frontowe.

- Nie mam torebki. Nie mam kluczy.

- A drzwi na taras, przez które uciekliśmy, są zamknięte?

Wzruszyła ramionami. Zdziwiło ją, że znalazła w sobie dość sił nawet na to, tak była wykończona.

Kiedy jechali do niej, w pewnej chwili dostała dreszczy.

Drzwi lekko się przesunęły. W powietrzu uniósł się zapach perfum jej matki. Wciąż opatulona w koc, który dała jej Kelly, Marilyn podniosła żaluzje i zostawiła drzwi szeroko otwarte, żeby wywietrzyć pokój.

Doug ściągnął jej koc z ramion, rzucił go na krzesło, a potem zdjął jej przez głowę bluzeczkę. Marilyn, szcękając zębami, spytała:

- Co robisz?

- Szykuję cię do łóżka.

- Sama potrafię to zrobić. Nie jesteś mi potrzebny.

- Owszem, jestem. Tak samo, jak ty jesteś potrzebna mnie.

Odwrócił ją i rozpiął jej stanik. Potem znów ją obrócił, rozpiął jej szorty i ściągnął razem z majteczkami. Położył Marilyn i przykrył po sam nos. Ale i tak dygotała z zimna.

- Nic nie rozumiesz. Nie jestem ci potrzebna.

- Czyżby? W takim razie ciekaw jestem, czemu odczuwam nieodparte pragnienie, by położyć się obok ciebie, rozgrzać cię i kochać się z tobą do białego rana? - spytał, ściągając z siebie wilgotne ubranie. - Masz coś przeciwko temu?

- Ostatni raz, przez wzgląd na dawne czasy? - spytała. Spojrzał na nią niemal z politowaniem.

- Dobrze wiesz, że nie, Marilyn.

- Czyżby?

Wślizgnął się do łóżka i przytulił do niej, by ją rozgrzać własnym ciałem. - Tak.

Jak mógł być tak gorący, kiedy ona przemarzła do szpiku kości? Ponieważ miał czyste sumienie?

W przeciwieństwie do niej. Powinna mu teraz wszystko powiedzieć, ale zamknął jej usta pocałunkiem.

Kochali się wolno, żarliwie, a kiedy skończyli, Marilyn znów zaczęła cichutko płakać.

- A teraz mi powiedz - zaczął Doug - czemu tak się wzbranasz przed tym, co, jak dobrze wiesz, jest nieuchronne? Kocham cię. Ty kochasz mnie. Dlaczego więc płaczesz?

- Ponieważ nie mogę ci dać dzieci. Poroniłam, kiedy razem z Freddym byliśmy w Andach. Gdy w końcu trafiłam do szpitala, okazało się, że już za późno, by uratować dziecko, a macica była tak mocno uszkodzona, że musieli mi ją usunąć., Nie mogę ci urodzić dzieci, Doug. Powinnam ci o tym powiedzieć, zanim tak mocno się zaangażowaliśmy. Wiedziałam, czego pragniesz od życia, wiedziałam, że nie mogę ci tego dać, ale pomyślałam, że ukradnę dla siebie miesiąc szczęścia, a ty potraktujesz mnie jak kolejną przelotną miłośćkę.

- Skończyłem z przelotnymi miłośkami kilka tygodni temu.

- Nie chciałam, żebyś się we mnie zakochał. Gdybym od samego początku była wobec ciebie szczerą, nigdy by do tego nie doszło.

- Wiedząc, że nie możesz mieć dzieci, mogłaś uniknąć tego, żebym się w tobie zakochał, tylko w jeden sposób: gdybyś mi wyznała prawdę w ciągu pierwszych trzech sekund naszej znajomości Tymczasem pocałowałaś mnie na powitanie i wtedy już było za późno dla nas obojga.

- Nie jest za późno. Pragniesz mieć liczną rodzinę, dom na wsi. A ja...

Podparł się na łokciu i położył jej palec na ustach.

- Marilyn, ile masz dzieci? Odsunęła jego rękę.

- Nie mam dzieci! Nie mogę mieć dzieci! Nie słyszałeś, co ci właśnie powiedziałam?

- Słyszałem każde słowo. Nie możesz urodzić dziec-

ka, ale ile masz dzieci? Tych, o których zawsze mówisz „moje dzieciaki”?

Oczy zrobiły jej się okrągłe ze zdumienia.

- Chodzi ci o dzieci, którym pomaga fundacja?

- No jasne. Czy nie mówiłaś, że niektóre pozostają pod kuratelą sądową? Że trudno dla nich znaleźć rodziny zastępcze, bo z chwilą, kiedy zostaną adoptowane, rząd przestaje finansować ich szczególne potrzeby? Zawsze znajdzie się kilkoro, które możemy adoptować, prawda? Możemy nawet stworzyć drużynę koszykarską na wózkach inwalidzkich.

Gapiała się na niego.

- I to ci wystarczy? Spojrzał jej prosto w oczy.

- Cała drużyna koszykówki? Chyba tak, ale jeśli chcesz więcej...

- Mam na myśli to, że nie będą to twoje dzieci. Powiedziałeś, że obojętne ci, czy to będą synowie, czy córki, byleby były zdrowe i twoje. Te dzieci nie będą ani zdrowe, ani twoje.

- Będą twoje, jeśli je zaadoptujesz?

- Naturalnie, że tak. Często się nad tym zastanawiałam. Ale nie wiem, czy dziecko powinno się wychowywać w niepełnej rodzinie.

Położył się i przytulił Marilyn.

- Więc nie zaprzataj sobie tym więcej głowy, moja kochana. Nasze dzieci nie będą się wychowywały w niepełnej rodzinie. Wychowamy je wspólnie, stworzymy liczną, kochającą się rodzinę.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Więcej małych Fountainów, żeby zagwarantować, by firma jeszcze przez długie lata pozostała przy nas. Jimmy i Joe będą zadowoleni, że nie będą jedynymi mądralami.

- Mądralami?
- Małymi Fountainami.

Marilyn położyła mu dłoń na piersiach, czuła, jak równo i mocno bije jego serce.

- Jesteś tak żaloszny i nieporadny jak Jimmy, kiedy opowiadasz dowcipy - oświadczyła.

Całował ją długo, a kiedy zaczęło jej się kręcić w głowie, spytał:

- A czy jestem żaloszny i nieporadny, kiedy całuję?
- Odrobina praktyki nigdy nie zaszkodzi. Praktykował przez kilka następnych minut.
- Co powiedział arbuz? - spytała Marilyn.
- - Znam lepsze sposoby spędzenia czasu, niż powtarzanie przez całą noc dowcipów swego bratanka.
- A jeśli cię ładnie poproszę?
- Wtedy spróbuję cię odwieść od tego zamiaru.
- Czy nie mam nic do powiedzenia w tej sprawie, panie Fountain?
- Ależ skądże znowu, pani Ross. Pod warunkiem, że powie pani „tak”.
- A jak brzmi pytanie?
- Wyjdiesz za mnie?

Marilyn zastanawiała się nad odpowiedzią wystarczająco długo, by na twarzy Douga pojawił się niepokój. Potem się uśmiechnęła, nachyliła i pocałowała go długo, namiętnie, nim uniosła głowę i szepnęła:

- Tak. Ale pod jednym warunkiem.

Doug przewrócił ją na wznak i przytrzymał obie ręce.

- Moja droga, chyba w tej sytuacji nie możesz stawiać żadnych warunków.
- Domagam się, żebyśmy uciekli i potajemnie wzięli ślub.

Wybuchnął głośnym śmiechem.

- Musielibyśmy mieć dużo szczęścia, skarbie. O co

się założysz, że o świcie pojawią się wszyscy, łącznie z sędzią pokoju, niosąc obrączki i suknię ślubną?

- Możemy się wymknąć przed świtem. Pokręcił głową.

- Mam lepszy pomysł, jak spędzić ten czas.

- Coś lepszego od ucieczki zakochanych?

- Znacznie lepszego - powiedział.

Kiedy rano wzeszło słońce, Marilyn musiała przyznać, że miał absolutną rację.

Może nie tylko^lieszczenia występują seriami.

Pod zarzutem zamordowania kobiety lekkich obyczajów policja aresztuje Lucasa Haw-thornea, pochodzącego ze znanej i szanowanej rodziny, właściciela klubu dla mężczyzn.

Córka prokuratora okręgowego Bostonu, początkujący adwokat Alice Kendall, uważnie śledzi przebieg śledztwa, ale nie spodziewa się, że oskarżony zwróci się do niej o pomoc jako do obrońcy.

Alice wie, że powinna trzymać się z daleka od Lucasa, znanego ze Swych podbojów przystojnego uwodziciela, ale mimo to decyduje się wystąpić w sądzie przeciw własnemu ojcu...